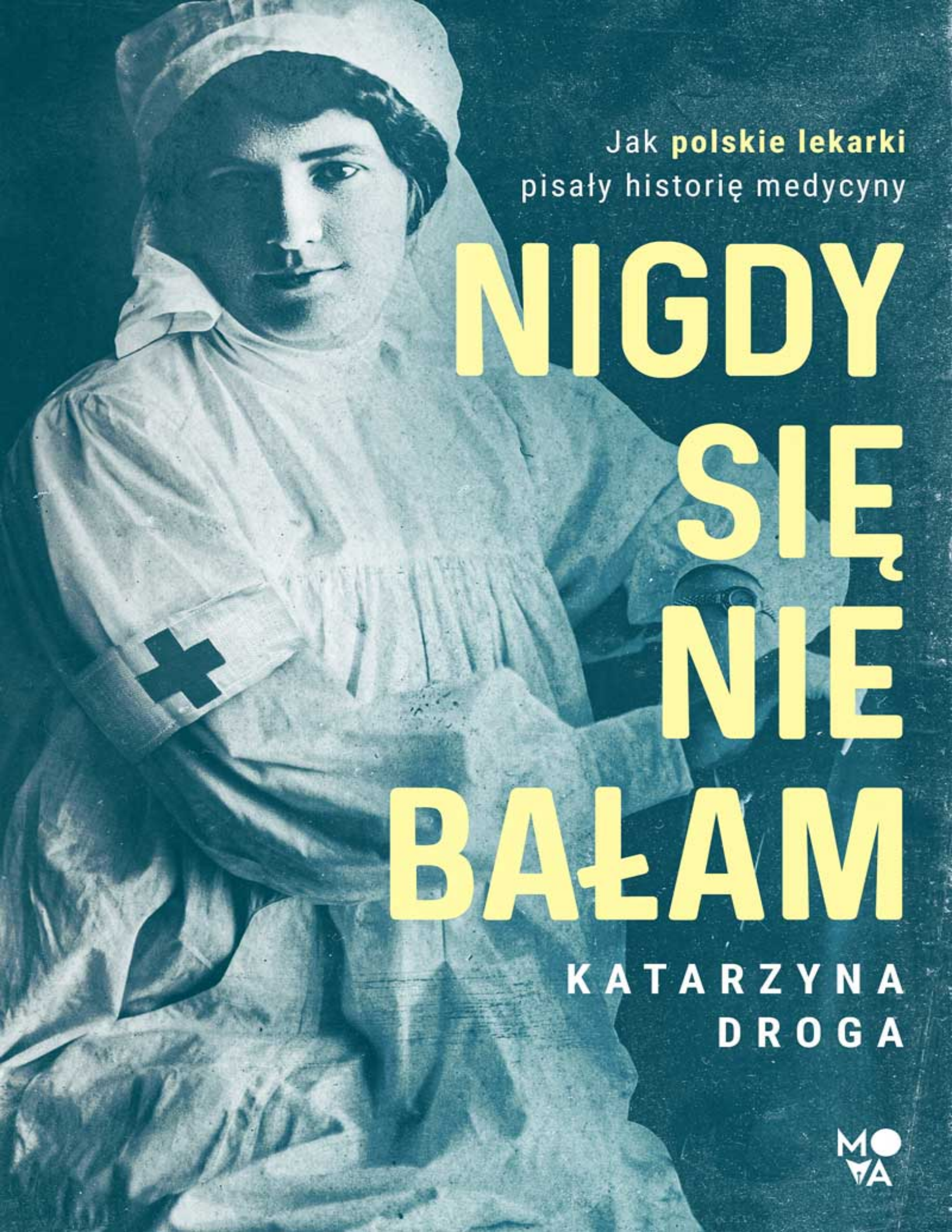

Jak **polskie lekarki** pisały historię medycyny

NIGDY SIĘ NIE BAŁAM

KATARZYNA DROGA

MOVA

KATARZYNA
DROGA

NIGDY SIĘ NIE BAŁAM

Jak **polskie lekarki**
pisały historię medycyny

MOVA

Wszystkim Lekarkom,
kontynuatorkom dzieła swoich poprzedniczek
w tym pięknym zawodzie. Z prośbą o pamięć o tych,
które przecierały szlaki kobietom w medycynie.
Wiek XXI należy do Was, ale XIX i XX
zbudowały One.

Wstęp

Jeszcze nie tak dawno, bo na początku XIX wieku, kodeks *O prawidłach i examinach urzędników medycznych* ustanawiał: „życząca bydź babą położniczą powinna złożyć świadectwo o swoiem prowadzeniu się i umieć czytać i pisać iakiemkolwiek używanym w Europie językiem”[1]. „Baba położnicza” to był usankcjonowany prawnie szczyt marzeń kobiety o pracy w świecie medycyny, mimo że Magdalena Bendzisławska już w XVII stuleciu dokonywała chirurgicznych zabiegów, a Regina Pilsztynowa, niezwykle barwna postać, była okulistką znaną w Europie i Azji. Długo odmawiano kobietom prawa wykonywania zawodu i długa była droga do tego, by uznano je za pełnoprawne, równe mężczyznom lekarki. Uważano, że nie mają rozumu, sił i kompetencji.

Dużo zmienił wiek XIX, kiedy to w wielu krajach Europy kobiety mogły zacząć studia medyczne na równi z kolegami płci męskiej, ale i tak nadal postrzegano je głównie jako lekarki kobiet i dzieci. Polskie prekursorki medycyny – Anna Tomaszewicz-Dobrska, Justyna Budzińska-Tylicka, Bronisława Dłuska – musiały studiować w Szwajcarii lub we Francji, a jednak miały siłę i odwagę, by walczyć o prawo kobiet do pracy w służbie zdrowia. Dlatego zamieszczam w książce portrety tych, które torowały drogę swoim następczyniom. Dzięki nim kobiety weszły falą do

zawodu lekarza po drugiej wojnie światowej. Pokazały, że mogą być także chirurgami, onkologami, naukowcami, dyrektorami placówek medycznych. Są silne, chociaż wrażliwe. Potrafią stawić czoła nie tylko chorobom, ale także ciosom losu, tak jak Bohaterki tej książki.

W moim przypadku często dzieje się tak, że jedna książka rodzi następną. Do tej zainspirowała mnie praca nad powieścią *Doktor Irka. Wojna, miłość i medycyna*. Zbierając materiały i śledząc losy doktor Ireny Sitowskiej, rozmawiałam z sędziwymi lekarkami, które pamiętały dawne lata, epokę powojenną, same też miały niezwykłe przeżycia, refleksje i wspomnienia. Były świadkami wieku XX, tego, jak zmieniała się rodzima medycyna – ba, one same ją zmieniały. Niektóre zdobywały szlify podczas wojny, także w czasie powstania warszawskiego, inne współtworzyły rozwój medycyny w PRL-u. Szkoda byłoby, by ich doświadczenia i przeżycia znikły gdzieś w otchłani niepamięci. Zgodziły się ze mną porozmawiać, bym mogła zapisać ich wspomnienia.

Serdecznie dziękuję moim Bohaterkom, zwłaszcza że lwia część pracy nad książką przypadła na rok 2020, kiedy wszyscy stanęliśmy wobec próby losu, jaką okazała się pandemia. Utrudniła ona spotkania, ale jednocześnie pokazała, jak ważna jest w naszym życiu medycyna.

Moje bohaterki to lekarki o różnych specjalizacjach i doświadczeniach. Mają różne osobowości i w swoich opowieściach eksponują różne etapy życia, bo uważają je za najważniejsze. Praktykowały lub nadal praktykują w różnych miejscach Polski, a nawet świata. Ale łączy je to, że większość życia poświęciły leczeniu i pacjentom. I jedno ważne słowo: odwaga. W pokonywaniu barier i w walce z wrogiem, jakim jest choroba i śmierć.

Wszystkim Paniom Doktor: dziękuję.

Katarzyna Droga

[1] *Prawidła o examinach urzędników medycznych*, art. VII § 1, *O examinach bab położniczych*, art. VII § 2, Sankt Petersburg 1810, Biblioteka Uniwersytetu Wileńskiego F2-KC 396.

Część I

PIONIERKI. ONE PRZECIERAŁY SZLAKI

Rozdział 1

Pierwsza była Magdalena

Prawo do wykonywania zawodu dał jej król August II Mocny. Stało się to dokładnie 6 października roku pańskiego 1697. Siedemnasty wiek, Wieliczka, „gabinet” przy kopalni soli. Chirurgia to w tym czasie szanowane rzemiosło, a chirurdzy tworzą silny cech. Ale są to także czasy, w których kobiety nie zostają chirurgami. Zatem jak to się stało w przypadku Magdaleny?

Cyruliczka z patentem

„Ja, Magdalena Bendzisławska, przysięgam, iż szczerze, pilnie, wiernie i życzliwie chorych górników opatrywać, dobrymi maściami goić i aby żaden przez niedbalstwo moje umorzony nie był. Od żadnego zapłaty nie będę wyciągać nad to, co z żupy względem tego biorę. Z wszelką pilnością około zdrowia chorych górników bez żadnego braku między osobami chodzić będę”[2].

Tak brzmiała przysięga, którą złożyła przed specjalną komisją pierwsza polska cyruliczka. Termin „cyruliczka” jest odpowiedniejszy niż „chirurg” – i to nie tylko ze względu na karkołomną odmianę specjalizacji chirurgicznej w rodzaju żeńskim: „chirurżka”. Brzmi dziwnie, być może dlatego, że chirurgami przez wieki byli mężczyźni, a i dzisiaj, kiedy kobiet

chirurgów jest sporo, niełatwo przełamywać schematy myślenia i nieraz słyszy się anegdotę, w której pacjent przed operacją pyta pochyloną nad nim lekarkę: „A gdzie pan doktor?”.

W czasach Magdaleny Bendzisławskiej, której przyszło żyć i praktykować na przełomie XVII i XVIII wieku, działo się nieco inaczej. Cyrulik, inaczej balwierz, to był zawód – rzemiosło zrzeszone w cechu. W mentalności ludzi odrębne od medycyny studiowanej na uczelniach w Padwie, Bolonii czy rodzimym Krakowie albo przynajmniej uważane za medycynę „zewnętrzną”, w przeciwieństwie do „wewnętrznej.” Ślady tego podziału znajdujemy do dziś, wciąż bowiem funkcjonuje „interna”, określająca specjalizacje dotyczące chorób wewnętrznych. Z kolei chirurgia całkowicie zmienia swoje oblicze, odkąd ludzkość uczy się sztuki znieczulania i prężnie rozwija się anestezjologia – czyli właściwie od drugiej połowy XIX wieku. Wtedy to William Morton zastosował eter i dopiero to otworzyło wrota tej kluczowej dla medycyny zabiegowej specjalizacji. Znieczulenie pacjenta to podstawowy warunek, by chirurg mógł interweniować również wewnątrz organizmu ludzkiego.

Za czasów Magdaleny nie znano jednak silnych środków znieczulających, a cyrulik, który prowadził swój zakład, był raczej usługodawcą znającym się na ranach, zębach i leczeniu wszelkich urazów. I do tego musiał mieć przywilej królewski, by wykonywać zawód. Dostawał go, gdy wykazał się odpowiednimi umiejętnościami w fachu – zdał przed komisją rodzaj egzaminu. Cyrulicy dbali o renomę i jakość swoich usług. Mistrzowie mieli swoich czeladników – chłopców terminujących trzy lata (po tym czasie mogli zdawać egzamin na stopień mistrza). Po śmierci mistrza zakład prowadziła jego żona, a mistrzem stawał się najlepiej wykształcony czeladnik, „towarzysz” w cechu. Jeśli takiego kogoś nie było, kobieta zatrudniała chirurga z certyfikatem. Cech

musiał oczywiście wyrazić zgodę i zwykle się na to zgadzał. Nierzadko później wdowa wydawała się za następcę męża.

Magdalena była jedną z takich wdów. Musiała być bardzo młoda, gdy poślubiła Wincentego Bendzisławskiego i wspólnie osiedli w Wieliczce przy kopalni soli. Mąż dostał przywilej cyrulika od króla Jana III Sobieskiego. W żonie znalazł wierną i pojętną asystentkę – ramię w ramię stawiali czoła chirurgicznym wyzwaniom tamtych czasów. Magdalena przeszła wspomnianą wyżej trzyletnią praktykę, która czyniła ją „półtowarzyszem", a potem „towarzyszem" w cechu. Umiała to samo, co mąż – dziś nazwalibyśmy ją chirurgiem szczękowym i stomatologiem, bo wyrywała zęby, radziła sobie z „gnilcem", zapaleniami dziąseł, a także z zębami uszkodzonymi w czasie bójek lub wypadków. Była też okulistką, jako że cyrulicy tamtych czasów potrafili leczyć zaćmę i usuwać ciała obce z oka. I przede wszystkim byli podręcznym „pogotowiem urazowym".

Bendzisławscy mieszkali przy kopalni. Jak wynika z przysięgi, takich fachowców opłacały żupy, zatem zajmowali się górnikami oraz ich rodzinami i od nich już nie pobierali żadnych opłat. Z pewnością często mieli do czynienia ze złamaniami, stłuczeniami, urazami; musieli też amputować kończyny, jako że górnictwo zawsze było zawodem „kontuzyjnym". Chirurdzy tych czasów i jeszcze następnych dwustu lat musieli mieć silne nerwy i odporność psychiczną, bo umieralność ich pacjentów była wysoka, a wykonywane przez nich zabiegi – bolesne. Krzyki i omdlenia z bólu były ich codziennością. Nie potrafili tamować krwi po amputacji, nie mieli pojęcia o sterylizacji narzędzi, więc zabrudzone rany ropiały, a antybiotyków nie znano. Dokonywali zabiegów bez znieczuleń lub na pacjencie odurzonym wódką. W tamtych czasach stosowano niekiedy znane od średniowiecza gąbki znieczulające, nasączone mieszanką ziół, w tym opium. Dość skuteczne, tylko pacjent nie zawsze się

wybudzał. Niemniej czy Bendzisławscy stosowali takie gąbki – nie wiadomo. Ale na pewno mieli do czynienia z licznymi urazami i dawali sobie radę z nastawianiem kości, co potwierdzają badania archeologów. Wielu ludzi dzięki nim wracało do zdrowia i do pracy. Przy kopalni istniał przytułek dla kalekich górników lub za starych do pracy, którzy także byli podopiecznymi Bendzisławskich. Z pewnością Magdalenie i Wincentemu żyło się dostatnio i byli małżeństwem szanowanym w okolicy.

Prawa do puzdra z brzytwami

Niestety Wincenty Bendzisławski umarł. Magdalenie pozostawało zatrudnić kogoś na jego miejsce. Wykształconego we własnym zakładzie czeladnika nie miała – bo sama pełniła jego funkcję. Zabiegi wykonywała świetnie i okoliczna ludność musiała to wiedzieć. Postanowiła spróbować swoich sił i złożyła prośbę o uznanie jej umiejętności. Panował już August II Mocny. Udzielił zgody, by niewiasta wykonywała swój zawód, ale musiała się wykazać umiejętnościami przed specjalną komisją i złożyć odpowiednie dokumenty, czyli przywileje nadane jej mężowi. Musiała też dowieść, że zna się na maściach i lekach stosowanych wewnętrznie, umie opatrywać rany i posługiwać się narzędziami odziedziczonymi po mężu. A były wśród nich: kleszcze do wyrywania zębów, słój z pijawkami, puzdro z brzytwami, grzebieniami i nożycami, „korcęgi do binczaygu” (szczypczyki stomatologiczne). Komisja zadawała także pytania teoretyczne w rodzaju: kim jest chirurg? Należało odpowiedzieć, że „sługą natury, który za pomocą narzędzi i umiejętności leczy zewnętrzne uszkodzenia ciała ludzkiego”[3]. Magdalena zdała ten egzamin i dostała na piśmie dowód, że „jest chirurgiem w swym rzemiośle doskonałym”[4]. Kontynuowała zatem praktykę w Wieliczce. Teraz ona nacinała pacjentom ropnie, wyjmowała

ciała obce z oka, opatrywała rany, usuwała zaćmę i puszczała krew, przystawiała pijawki.

Szkoda, że nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące wieku i wyglądu Magdaleny. Czy nosiła jeszcze podwikę modną na początku XVII stulecia czy już czepek, który z pewnością był wygodniejszy w jej pracy? Czy miała dzieci? Czy do końca życia mieszkała w Wieliczce? Jaką kobietą była pierwsza Polka chirurg? Łagodną i spokojną czy surową i temperamentną? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Przypomina o niej tablica wmontowana w ścianę kopalni soli w Wieliczce.

Postać Magdaleny Bendzisławskiej przybliżył światu doktor Zdzisław Gajda, wieloletni kierownik Katedry Historii Medycyny Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Ustanowił medal im. Magdaleny Bendzisławskiej, nadawany lekarkom za wybitne zasługi w medycynie. W Wieliczce otwarto komorę solną jej imienia i zamontowano pamiątkową tablicę ku jej pamięci. Jest pierwszą cyruliczką znaną z imienia i nazwiska, udokumentowaną, ale prawdopodobnie przed nią podobne wdowy prowadziły zakłady cyruliczne – są zapisy o krakowiankach, niejakiej Bernatowej z XVI wieku czy jej poprzedniczce, tajemniczej Katarzynie.

---

[2] Podaję za: Lustracyja z 1661 roku, przywołana [w] Barbara Kaczkowska, *Magdalena Bendzisławska – pierwsza polska uznana lekarka*, „Galicyjska Gazeta Lekarska”, nr 2, 2018, https://ggl.com.pl/450-2/.

[3]* Michał Ślubowski, *Pierwsza linia obrony. Chirurdzy, czyli rzemieślnicy od brudnej roboty*, https://atlastrojmiejskichosobliwosci.pl/chirurdzy/

[4] Tamże.

Rozdział 2

Doktor Pilsztynowa. Osiemnastowieczny dr House w spódnicy

Świetnie strzelała, kochała klejnoty i pistolety. Uwielbiała przygody i podróże, przemierzała świat konno i statkami. Nazywała siebie „doktorką”. Była kobietą niezależną – wyczyn nie lada w XVIII wieku. Regina Salomea Pilsztynowa, z domu Rusiecka, primo voto Halpirowa, to najbarwniejsza postać spośród polskich prekursorek medycyny. Nazywana pierwszą polską praktykującą lekarką, chociaż leczyła bez dyplomu. Praktykowała w Turcji, Rosji, Polsce, nawet w Wiedniu.

Pierwsza polska okulistka

Panna Regina Salomea z dworku Rusieckich na Nowogródczyźnie od dziecka była zwariowana, niespokojna i ciekawa świata. Urodziła się w 1718 roku w katolickiej rodzinie drobnoszlacheckiej (najprawdopodobniej, chociaż niektórzy badacze twierdzą, że miała pochodzenie plebejskie). Sąsiedzi poznali jej temperament, gdy już jako młoda panienka pędziła konno po okolicy, a w strzelaniu przebiła niejednego młodzieńca. W kolasce trzymała fuzje i pistolety, „zawsze rada

strzelać”[5]. Rodzice wydali ją szybko za mąż w wieku czternastu lat za lekarza okulistę, luteranina Jakuba Halpira. Dobra partia, Jakub wiele podróżuje, może wiele nauczyć Reginę. Rodzinie spodobało się, że zabierze ze sobą niesforną dziewczynę, a jej uśmiechały się włóczęgi i poznawanie świata. Edukacji nie zaznała za wiele, ledwie umiała czytać i pisać, ale wyrosła na pannę bardzo głodną wiedzy.

Halpir po ślubie wyruszył do Turcji, by praktykować w Stambule. Regina sporo się przy nim nauczyła: przede wszystkim sporządzać nalewki i napary, które stanowiły podstawę ówczesnej farmakologii. Jakub był wyjątkowym racjonalistą, nietypowym w swojej mistycznej epoce – bazował na ziołach, nie uznawał magicznych i modnych leków jak wywary z nawozu końskiego lub krwi żółwia czy smażone ropuchy stosowane na koklusz. Specjalizował się w okulistyce i wykonywał zabiegi, którym jego żona ciekawie się przyglądała i przy których pomagała. Przyszedł czas, że wykonywała je samodzielnie. Spostrzegła też, że zawód lekarza może być bardzo intratny, zwłaszcza jeśli uzdrowi się zamożnego pacjenta albo – jeszcze lepiej – jego dzieci.

W Stambule Regina pilnie zdobywa wiedzę od męża i od jego kolegów. Włoski doktor z Malty uczy ją łaciny, by mogła wypisywać recepty, poznaje dzięki niemu łacińskie nazwy leków i sposoby na „rozmaite defekta”, on także obdarza ją księgami medycznymi. Babiloński kolega Halpira pokazuje jej wschodnie zabiegi konieczne w leczeniu oczu – a radzono już sobie na przykład z kataraktą. Regina zachwyca się Stambułem. Bardzo się jej tutaj podoba, pałace i barwne stroje, przepych, bogactwo tureckiego dworu. Nie przeszkadza jej niski status kobiety, mnóstwo eunuchów i targi niewolnikami. Ma piętnaście lat – obserwuje i opisuje zastany świat. Z asystentki męża przeistacza się w jego prawą rękę – i znacznie poszerza krąg pacjentów, bo jako kobieta może leczyć kobiety.

W kraju muzułmańskim mężczyzna lekarz nie mógłby żony tureckiej nawet zbadać, nie mówiąc o wstępie do haremu, który Regina dostaje bez problemu. Umie pomóc hurysom nie tylko za sprawą ziół. Z relacji, jakie zamieszcza w pamiętniku, wynika, że stosowała coś, co dziś nazwalibyśmy psychoterapią, umiała słuchać, wzbudzała zaufanie pacjentek i lubiła z nimi rozmawiać. Według niektórych badaczy stosowała także środki zmniejszające popęd seksualny, co mogło uspokajać kobiety zamknięte w haremie. Jej metody wynikały z powszechnego wówczas przeświadczenia o tym, że podstawą zdrowia jest równowaga „humorów", czyli płynów fizjologicznych. Teoria humoralna wywodziła się od Hipokratesa i bardzo długo dominowała w akademickiej medycynie. Regina potrafiła jednak korzystać z różnych źródeł, była wnikliwą obserwatorką i z powodzeniem łączyła metody arabskie z zachodnimi, zioła z modlitwami, a modlitwy z zaklęciami. Szybko zyskała sławę mądrej i pożądanej doktorki, ale na skutek intryg i zazdrości innych lekarzy nagle zakazano jej leczenia mężczyzn. Oczywiście złamała ten zakaz przy pierwszej okazji, ale nie bezmyślnie.

Otóż zachorował pewien ustosunkowany dworak, zięć tureckiego dostojnika, a z jego problemem nie dali sobie rady wołani medycy. Posłano po Reginę z informacją, że pacjent nie może oddać moczu, cierpi, zaczyna puchnąć. „Pięć dni z uryną nie chodził". Być może pomógłby Halpir, lecz akurat wyjechał. Zaciekawiona, chociaż niepewna Regina dzielnie udała się z wizytą do pałacu, gdzie zastała ledwo żywego, sczerniałego, miotającego się z bólu z kąta w kąt mężczyznę. Nie wiedziała, że medyk sułtana już rozłożył bezradnie ręce, że jej mąż już był tutaj i odmówił leczenia z obawy, że chory umrze i będą z tego tylko kłopoty. Nie miała pojęcia, jak to leczyć, ale poddała się intuicji. Wróciła do domu po słoik z syropem fiołkowym, potem kazała choremu popijać go trzy razy dziennie,

a następnie zaszyła się u siebie pewna, że pacjenta czeka śmierć, a ją surowa kara. Zastanawiała się, dokąd uciec, ale zanim cokolwiek wymyśliła, wezwano ją na dwór. Poszła jak na stracenie – niepotrzebnie, gdyż czekała ją miła niespodzianka. Pacjent ozdrowiał. Opowiedział w emocjach, jak po trzeciej dawce lekarstwa „poczuł wielkie rżnięcie” i w bólu wydostał się z niego kamień z krwawą uryną. Zaraz potem doznał ogromnej ulgi. Zdumiona i zadowolona Regina zaleciła teraz okłady, kąpiele i balsam kopaiwowy.

Sukces ten bardzo pomógł Reginie i jej mężowi – otoczyła ich sława dobrych lekarzy, zamieszkali przy pałacu, a jej przywrócono prawa leczenia mężczyzn. To był ten moment – Regina Halpirowa oficjalnie ogłosiła się „doktorką”, chociaż zachodziła w głowę, jak fiołki mogły pomóc. Obejrzała uważnie słoik, w którym prócz syropu były jakieś robale – mnóstwo chrząszczy z długimi wąsami. Zapewne one, jakiś pochodzący od nich składnik, lub dziwna mieszanka przyspieszyły urodzenie kamienia. Plus opieka boska, której bardzo ufała. Była żarliwą katoliczką i nie miała problemu z tym, by odprawiać gorące modły do Matki Boskiej nad muzułmańskim pacjentem. Chętnie też łączyła modlitwy z gusłami, kadzidłami i zaklęciami, co bardzo nie podobało się jej racjonalnemu mężowi. Do tego stosowała leki i chyba miała coś bezcennego dla lekarzy w każdych czasach: szczęście i intuicję, zestaw gwarantujący sukces! I sukces okazał się przyjemny. Od tego momentu bardzo młoda, szesnastoletnia doktorka sama potrafiła zarobić na piękne stroje, kosztowne klejnoty i ukochane pistolety. I czyniła to bez wahania, a potem z rozkoszą oddawała się zakupom na barwnych bazarach w Stambule.

Mąż patrzył na poczynania Reginy coraz mniej łaskawym okiem, zirytowany, że żona nie radzi się go we wszystkim i dystansuje go w karierze. Cały Stambuł mówił o tym, jak w czterdzieści dni wyleczyła

wzrok kobiecie niewidomej od siedmiu lat. Albo o wielkim sukcesie, kiedy przywróciła urodę młodemu imamowi, którego twarz obsypały krosty. Nawet nie zapytała męża co radzi. Zapewne chętnie sięgnąłby po muzułmańskie zwyczaje i podporządkował sobie żonę, ale Reginy one nie dotyczyły i potrafiła tego przypilnować. Mimo zachwytów nad strojami i obyczajami Turczynek sama nigdy nie zakrywała twarzy i nie ulegała lokalnej modzie, lecz ubierała się w polski strój szlachecki (damski lub męski). Chętnie i odważnie dyskutowała z mężczyznami. Intuicja podpowiadała jej, że tylko poprzez odrębność zyska i utrzyma szacunek. To jej mężowi nie mogło się podobać, aż tak postępowy mistrz Halpir nie był. Zaczął marudzić i narzekać, ale kiedy sam popadł w nie lada kłopoty, ona jedna potrafiła mu pomóc, chociaż rzecz jasna po swojemu i bez konsultacji.

Były to kłopoty dla lekarza niemałe: Zmarł pacjent Halpira, wkrótce po zażyciu lekarstwa, które mu przepisał. Lekarza aresztowano i oskarżono o otrucie. Regina najpierw odchorowała stres (z jej relacji wynika, że kiedy działo się coś złego, jej organizm reagował gwałtowną chorobą), a potem zaczęła działać. Poprosiła o pomoc sułtana, ten jednak zażądał od pięknej cudzoziemki jednoznacznej zapłaty w naturze. Oburzona Regina odmówiła – nie zamierzała być „chrześcijańską prostytutką”. Poszła inną drogą: postanowiła otrzeć łzy rodziny w żałobie pieniędzmi. Zwróciła się do majętnych pacjentów męża i zebrała pieniądze na odszkodowanie dla krewnych zmarłego pacjenta. Ogromna suma pięciu tysięcy lewów przywróciła wolność i prawo praktyki mężowi, który nie wiedział, że jego rezolutna żona na tym nie poprzestanie.

Regina dużo myślała i dedukowała. Zastanawiało ją, czemu zwyczajowe lekarstwo tak źle zadziałało, więc wszczęła własne śledztwo i odkryła, że zazdrosny o sukcesy jej męża aptekarz Fonesca dodał trucizny

do mikstury. Niewiele myśląc, pozwała go przed sąd i zagroziła utratą dobrego imienia, majątku i apteki. Spanikowany Fonesca wypłacił im odszkodowanie pokrywające straty, które ponieśli, byle tylko wycofała pozew. Regina triumfowała, nie lubiła tracić pieniędzy. Ale jej mąż coraz trudniej znosił samowolę żony. Mimo że urodziła córeczkę Konstancję, kłócili się coraz częściej. W dodatku Regina przestała ufać mężowi. Była przekonana, że zazdrosny o sukcesy w zawodzie Halpir zechce ją otruć, dlatego gdy chorowała, leczył ją Egipcjanin używający kadzideł. To było za wiele dla racjonalnego Halpira – porzucił żonę i wyjechał ze Stambułu, zostawiwszy jej trochę funduszy.

Regina nie mogła sama zostać w Turcji, więc postanowiła wrócić do domu. Przywdziała męski strój, zabrała dziecko i ruszyła do Polski. Podróż jej oczywiście obfitowała w przygody i rozmaite przypadki medyczne. Po drodze wyleczyła wzrok muzułmańskiej dziewczynce i rzemieślnikowi, pewnego szewca uzdrowiła z dyzenterii, używając ziół: kłączy kurzyśladu i wężownika, co według dzisiejszych znawców rzeczywiście mogło zadziałać. Jako jeden z najtrudniejszych przypadków wymieniła w pamiętniku chorobę syna pewnego baszy: „głowa [mu] spuchła, oczy i twarz, nie widzi, nie słyszy, nie gada, a język ma na pięć palców wysadzony”. Leczyła go kataplazmami, co trwało czterdzieści dni, ale zakończyło się sukcesem.

Następny przypadek to choroba siostry sułtana , która będąc w ciąży, poważnie zachorowała – miała gorączkę, uporczywe wymioty, kaszel i bóle krzyża. Regina zastosowała swoje balsamy na bazie cynamonu, anyżu i alkoholu, olejek eteryczny, do smarowania maści i oleje, a także puszczanie krwi. Ostatni zabieg, dość modny w owych czasach, w relacjach Reginy pojawia się rzadko.

Niebezpieczeństwo dopadło ją dopiero w Adrianopolu, gdzie próbowała uleczyć córkę wezyra z pasożytów (glisty) i podała jej lek w kawie, ale dziewczynka zmarła. Aby udowodnić, że powodem śmierci nie była mikstura, Regina musiała wypić ją sama na oczach dworu. Nic jej się nie stało, więc ją wypuszczono. Czym prędzej ruszyła dalej, przez Bułgarię, gdzie udało jej się wyleczyć kilka żon dostojników i Turka, który nie mógł chodzić. Dzięki temu zarobiła na dalszą podróż.

Zatrzymała się w Sofii i tam podjęła się pracy lekarki w haremie. Znów nieźle zarabiała, jadała smakołyki i opływała w luksusy. Ciekawe, że czekała tu na męża, który pragnął ją dogonić. Halpira dopadła bowiem choroba. „Pokurczyło” mu ręce i nogi, był cały w ranach. Chciał, by leczyła go najlepsza doktorka, jaką znał. Przypadek okazał się trudny, ale Regina wyciągnęła go z tego. Już mieli się pojednać, kiedy Halpir zaraził się morowym powietrzem i zmarł. Regina z Rusieckich Halpir w wieku dwudziestu lat została wdową. Sytuacja ta miała plusy i minusy. Była wolna, a odwoławszy się do zwyczaju obejmowania praktyki po mężu, mogła przejąć jego pacjentów. Ale też jako samotna kobieta w muzułmańskich krajach była narażona na niebezpieczeństwo, a droga do Rzeczpospolitej się przeciągała.

Ucieczka przed Rakoczym

Przebywała akurat w Widyniu, gdzie odbywały się targi niewolników wziętych w jasyr. Wpadła na pomysł, by wziąć udział w tym handlu i trochę zarobić. Zamierzała wykupić kilku jeńców, a potem odsprzedać ich chrześcijańskim rodzinom z zyskiem. Być może nie był to najbardziej etyczny pomysł, ale ostatecznie wykupieni przez nią ludzie wracali do rodzin. Aby zrealizować swój plan, musiała się pokazać na targach i tu

dopadł ją pech. Wpadła w oko samemu węgierskiemu księciu Józefowi Rakoczemu, który nie grzeszył manierami i wprost powiedział jej, czego od niej chce. Regina z Rusieckich nie zamierzała zostać jego kochanką. Musiała być ładna, bo książę zakochał się w niej i tak ją prześladował, że musiała coś przedsięwziąć. Najęła statek i uciekła przed Rakoczym Dunajcem do Ruszczuku. Książę nie był dżentelmenem – z zemsty za odrzucenie ogłosił ją szpiegiem i zażądał od tamtejszego baszy Ahmeta Agi aresztowania i wydania uciekinierki. Ale doktorkę znów uratowała jej medyczna wiedza. Syn baszy był umierający. Trudno dziś stwierdzić, co mu było – lekarka odnotowuje, że był spuchnięty, gorączkował i „miał język wywalony", tak że nie mogła mu podać leków doustnie. Walczyła z jego chorobą czterdzieści dni, modląc się nad nim żarliwie po katolicku. Oprócz modlitw stosowała okłady na głowę i twarz. Uleczyła go, a podskarbi basza Ahmet Aga wziął ją pod swoje skrzydła i Rakoczy musiał odwołać oskarżenia. Regina Halpirowa także tutaj ogłosiła się doktorką medycyny i okulistyki. Zaczęła świetnie zarabiać; postanowiła też inwestować i wróciła do swojego pomysłu z jeńcami.

Kupiła pięciu Austriaków, po czym powiadomiła ich bliskich o wysokości okupu. Cztery rodziny zapłaciły go pospiesznie, ale jeden niewolnik jej został: Józef Fortunat de Pilsztyn, przystojny, uprzejmy i honorem świadczący, że rodzina za niego zapłaci. Regina nie chciała czekać, bo wznowiła podróż do Polski. Zabrała go ze sobą, myśląc, że jeśli nie doczeka się pieniędzy, to zostawi jeńca u jezuitów w Barze. Józef Fortunat za nic nie chciał zostać w klasztorze. Jęczał, uciekał się do łez i błagał, by nie zostawiała go u zakonników. Oświadczył się Reginie na kolanach, przekonując, że skoro ona jest wolna, to on mógłby zostać jej towarzyszem życia… Przyjęła oświadczyny, przymykając oko na to, że według prawa ten człowiek był jej własnością. Kalkulowała: gdyby

zaciągnął się u jakiegoś możnego magnata, ona zostałaby żoną oficera, miałaby pozycję społeczną, spokój w pracy i całkiem zgrabnego męża u boku. Zainwestowała w broń i ekwipunek, wcale niemało. Pilsztyn odetchnął i zaciągnął się do wojsk księcia Michała Radziwiłła. Wzięli ślub i zamieszkali godnie, bo w pałacu Radziwiłłów w Nieświeżu. On chorąży, ona doktorka. I tu zaczęło się psuć, bo mąż nagle stał się dumny, kosztowny i wymagający.

Regina dobrze zarabiała – w Wielkim Księstwie Litewskim nie brakowało pacjentów. Żyli w brudzie, jadali niezdrowo. Łatwo dostrzegała przyczyny ich chorób, nie na darmo nauczyła się w krajach muzułmańskich dbania o higienę i dietę. Tu wręcz panowało obżarstwo, więc i schorzeń mnożyło się co niemiara. Zalecała dietę, ruch, mycie ciała i dzięki tym posunięciom odnosiła sukcesy – pacjenci czuli się lepiej.

Mąż jednak zmienił się nie do poznania – wytykał jej, że jest tylko doktorką, i wyciągał z niej wszystko, co zarobiła. Zirytowana umieściła córkę w klasztorze benedyktynek i ruszyła w świat. Tym razem do Petersburga, by praktykować na carskim dworze, gdzie władzę sprawowała cesarzowa Anna Iwanowna.

Z Petersburga do Wiednia

W rosyjskiej stolicy Regina najpierw zadbała o dobrą sławę wśród mieszczan, a potem, gdy zawołano ją na dwór, spektakularnie wyleczyła z zawrotów głowy cierpiącą księżniczkę i usunęła kataraktę z oczu pewnej dworki, tym samym przywracając jej wzrok. Spodobała się cesarzowej Annie chyba dlatego, że zapytana, po co kobieta przemierza taki kawał drogi i udaje się w podróż kosztowną oraz niebezpieczną, odpowiedziała:

„by zobaczyć drugą, równie silną kobietę na tronie”. Dostała miejsce przy dworze i wszyscy zazdrościli cesarzowej Annie Iwanownej jej doktorki.

A doktorka miał swój plan związany z dworem: zamierzała wydobyć z niewoli rosyjskiej kilku dostojników tureckich i odsprzedać ich rodzinom. Plan powiódł się znakomicie, bo cesarzowa oddała jej jeńców w prezencie. Po udanym kontrakcie Regina wróciła do Nieświeża. Może z nadzieją, że lepiej ułoży jej się z mężem? Jeśli tak, to myliła się bardzo, bo chorąży Pilsztyn nie był człowiekiem godnym zaufania. Wprawdzie przywitał ją ciepło, bo przywiozła majątek z Rosji (i kilka miesięcy po czułych powitaniach stwierdziła, że jest w ciąży), ale ostatecznie przehulał pieniądze i znów trzeba było kombinować.

Reginę olśniło, że w zasadzie nie dostała za męża okupu od jego rodziny. Pilsztyn zapewniał, że rodzice w Austrii z pewnością oddadzą jej pieniądze za wykup syna z niewoli, tylko trzeba by się po nie udać. Zatem nie bacząc na swój błogosławiony stan, ruszyła do Wiednia. Od teściów nie uzyskała wiele, a że słabo znała niemiecki, nie mogła działać jako lekarka. Poradziła sobie inaczej: oto do Wiednia przyjechał z haremem poseł turecki. Zgłosiła się do niego natychmiast z pytaniem, czy nie potrzebuje lekarki dla żon. Spadła mu z nieba, zwłaszcza że znała i język, i obyczaje – dostała pracę i dobre wynagrodzenie. Znów się odkuła i zyskała sławę – stała się znaną w Wiedniu lekarką. Musiała być szanowana, skoro jej synka trzymał do chrztu wiedeński książę. Turecki basza bardzo o nią dbał i wyposażył świetnie na drogę – wracała do Polski, do męża, z synem i drogocennymi prezentami.

Po powrocie zastała Józefa Pilsztyna w areszcie, a majątek, który zostawiła, okazał się mocno nadwyrężony. Mąż jednak bardzo się kajał, przepraszał, obiecywał poprawę i znów był czarujący, kochający, czego owocem stała się druga ciąża. Niestety, gdy tylko poczuł się pewniejszy

swojej sytuacji, zaczął lekceważyć żonę. Regina zorientowała się, że mąż ją zdradza. Co gorsza, nagle się rozchorowała i powzięła podejrzenie, że Pilsztyn chciał ją otruć. Chorowała bardzo, wypadły jej włosy i zęby. „A paznokcie schropowaciały” i „skóra się ze mnie złupiła”, jak zanotowała w swoich zapiskach. Wyszła z choroby, ale przejrzała na oczy – zrozumiała, że jej mąż jest utracjuszem, i postanowiła się z nim rozstać. Nie chciała już ratować tego małżeństwa. Nie myślała o rozwodzie, ale o separacji. Ruszyła znowu do państwa osmańskiego – miała tam jeszcze do odebrania pieniądze za jeńców z Rosji, a poza tym nie chciała widzieć małżonka na oczy. Postawiła na swoim – od roku 1743 nie wspomina o nim w *Pamiętniku* ani słowa. Za to pojawił się nowy „amorat”. W przypadku Reginy Salomei Pilsztynowej, która szczęścia w miłości nie miała, należy dodać – niestety.

Ostatnia miłość

Rok 1743, Regina Pilsztynowa ma dwadzieścia pięć lat i znów jest zakochana. Podaje się za wdowę, choć to nieprawda i jej mąż co raz wysyła listy z prośbą o zgodę, ale Regina je ignoruje – Pilsztyn przestał dla niej istnieć, chociaż nadal używa jego nazwiska. Osiadła w Przemyślu, gdzie otworzyła aptekę, rozwijała praktykę lekarską i poznała tajemniczego J.M.C.Z. Był młodszy od niej o siedem lat i okazał się jeszcze gorszym utracjuszem i wyzyskiwaczem niż Pilsztyn. Czegokolwiek się dotknął – niszczył, czy to pasieki, czy handel winami, czy wreszcie folwark, na którym gospodarował, zakupiony oczywiście przez Reginę Pilsztynową. Kiedy doktorka wyjechała w podróż i powierzyła mu dzieci, doszło do tragedii: umarł starszy syn, którego „zamknął w komórce bez jadła i napoju”, by chłopiec nie opowiadał, co się dzieje we dworze pod nieobecność matki.

W końcu Regina nie wytrzymała łajdactw „amorata” i podała go do sądu – oskarżyła o kradzież i ostatecznie wygrała. Najwyraźniej po tych przeżyciach zapragnęła na jakiś czas spokoju – osiadła na Wołyniu, gdzie kupiła sobie dworek w Dubniu, wyposażyła i wydała za mąż córkę, a młodszego syna oddała do szkoły. Chciała pozostać niezależną kobietą, leczyć i nie mieć już kłopotów z mężczyznami. Ale jej niespokojna natura nie dała jej długo wysiedzieć w dworku. Ciągnęło ją do podróży, do morskich wypraw, tęskniła za Stambułem. Wybrała się znów do Turcji, gdzie bez trudu dostała pracę lekarki w haremie i przez następnych kilka dekad miała pod swoją opieką trzy tysiące kobiet.

Jak wyglądała? Była brunetką czy blondynką? Wnioskując po licznych romansach i niemoralnych propozycjach, musiała być kobietą atrakcyjną. Istnieje rycina, która przedstawia kobiecą postać podpisaną: „Salomea Rusiecka”. Twarz młoda, ale poważna, w ręku księga, włosy skryte pod chustą, chyba jasne. To piękna i tajemnicza osoba. Na ile jednak oddaje prawdziwy wygląd intrygującej pani doktor z XVIII wieku? Nie wiadomo.

Wiadomo za to, że z pewnością była bardzo energiczna i odważna: wynajmowała statki, pływała po morzu, pisała że to nic takiego i niewiasty bać się żeglugi nie powinny. Przebierała się w męskie stroje, a kiedy napadł ją turecki zbój, wyjęła krócicę z kieszeni i przegoniła go na cztery wiatry. Była w Macedonii, Serbii, Grecji, zwiedziła Egipt. Leczyła z pasją, miała własne doświadczenia i pomysły na zabiegi, łączyła twardą wiedzę o lekach i ziołach z mistycznymi zaklęciami i modlitwami. Było to wyrazem nie tylko ducha epoki i tego, że Regina należała do osób religijnych, ale również tego, że wierzyła w psychologiczny aspekt procesu leczenia, nastawienie pacjenta i intencję lekarza. Nazwałaby to zapewne zupełnie inaczej, ale była po prostu prekursorką także w holistycznym spojrzeniu na pacjenta i jego chorobę.

W sprawie pieniędzy była nieprzejednana: kazała skrupulatnie płacić honoraria, potrafiła świetnie zarobić – nie umiała tylko utrzymać majątku, zwłaszcza że kiepsko trafiała z kapitałem uczuciowym, a mężczyźni ją wyzyskiwali. Nie miała szczęścia w życiu prywatnym, ale lekarką jak na swoje czasy była znakomitą. W zachodnich materiałach nazwano ją osiemnastowiecznym doktorem House'em. Napisała *Pamiętnik* – powstał już po roku 1760 w Stambule, z perspektywy kobiety dojrzałej. Opisuje w nim przypadki, które leczyła w swojej praktyce, a także własne choroby – jak choćby dziwną przypadłość, kiedy to bała się własnych rąk i nóg i służba musiała ją kołysać jak małe dziecię. Uleczyły ją egipskie kadzidła i mikstura o nieznanym składzie.

Najlepiej czuła się na dworze tureckim, gdzie leczyła kobiety z haremu, których nie mógł dotykać lekarz mężczyzna. Na dworze rosyjskim mniej jej się podobało. Nie wiadomo, kiedy i gdzie zmarła oraz gdzie jest jej grób. Na pewno po roku 1763 i zapewne w Turcji, gdzie najlepiej jej się żyło i gdzie urywa się po niej ślad. Już za życia była owiana legendą i uznana za nieprzeciętną postać.

---

[5] Przypisy w tym rozdziale pochodzą z *Pamiętnika* Pilsztynowej (oryginał w Bibliotece Książąt Czartoryskich w Krakowie).

Rozdział 3

Anna Tomaszewicz-Dobrska – pierwsza polska lekarka z dyplomem

Pozytywistka, ważna postać Warszawy przełomu stuleci XIX i XX. Uparta, świadoma swojej wartości, doprowadziła do tego, że mimo gorących sprzeciwów męskich autorytetów uznano jej dyplom i została pierwszą w Polsce legalnie praktykującą lekarką. Kosztowało ją to bardzo wiele.

Odważna Polka

Szwajcaria, Zurych, rok 1887. Śmietanka towarzyska zebrana w salonie Polki, poetki Seweryny Duchińskiej. Okazją jest benefis gospodyni. Panie w ogoniastych sukniach z turniurami, obowiązkowo ściśnięte gorsetami, piękne, romantyczne, panowie w surdutach i kamizelkach. Kwiaty, smakołyki, trunki, cygara dla panów, słodycze dla pań. Głos zabiera hrabia Władysław Plater – obywatel ogólnie szanowany, bogaty i decyzyjny. To on rozdziela stypendia naukowe i z zasady odmawia ich kobietom. Dwornie gratuluje pani Sewerynie, podkreślając, że szczególnie ceni sobie, iż bohaterka wieczoru nie należy do upiornych emancypantek, jest wzorem cnót domowych i talentu, nie kwestionuje miejsca kobiety

w społeczeństwie i rodzinie – miejsca ustalonego przecież przez naturę i religię! Któż hołduje owej chimerycznej emancypacji, która stawia kobietę w miejscu dla niej nienaturalnym? Kobiety, które nie mają ani rozsądku, ani wartości… Zapewne hrabia już widział błyski uznania w oczach otaczających go dam i dostojników. Tego, że gospodyni przygryza wargi i nic nie mówi, widzieć nie chciał. Oczekiwał aplauzu. Tymczasem w drugim końcu sali zerwała się z miejsca młodziutka szczupła blondynka. Poprosiła o głos, zdziwiony tłum ucichł.

– Panie hrabio, pozwoli pan, że odpowiem! Szanowni państwo! – zwróciła się do zebranych pewnym głosem. – Pozwolę sobie nie zgodzić się z przedmówcą! Umniejsza pan, panie hrabio, wartości kobiet zarówno w organizacji fizycznej, jak i uzdolnieniu psychicznym. Nie wolno! Czyż osoba dzisiejszej bohaterki, Seweryny Duchińskiej, nie jest najlepszym dowodem na to, że kobiety właśnie mogą i potrafią wzbić się na wyżyny kultury?

Ktoś próbował ją uciszyć, ktoś poprosił o recytację wiersza pani Duchińskiej, najlepiej tego, w którym jasno stoi, że kobiety mogą być równe aniołom. Blondynka zacisnęła zęby. Słyszała, jak niektórzy podpytują, kim jest ta ognista buntowniczka.

– Anna Tomaszewicz – przedstawiła się głośno. – Studentka drugiego roku medycyny na uniwersytecie w Zurychu!

Stała koło Stefanii Wolickiej, pierwszej Polki, która studiowała filozofię. Stefania wzięła ją za rękę i odprowadziła na drugi koniec sali.

– Jesteśmy pierwsze, Stefciu – powiedziała Anna. – Ale zobaczysz jeszcze: będą kobiety i lekarkami, i filozofkami, i prawniczkami…

Uparta córka

Sześć lat wcześniej. Mława, dom oficera żandarmerii carskiej pułkownika Władysława i Jadwigi Tomaszewiczów. Po ogrodzie biegają ich dzieci: trzy dziewczynki i trzech chłopców. To całkiem spora rodzina, w dodatku nieco różna od typowych rodzin ziemiańskich i oficerskich, bo taka, w której córki są traktowane tak samo jak synowie i dostają podobne wykształcenie. Rodzice dużo przebywają z dziećmi, co wynika też z faktu, że są nieco wykluczeni, zostawieni na uboczu życia społecznego. Jest ku temu niebagatelna przyczyna: pułkownik Tomaszewicz pochodzi z Wołynia i wprawdzie jest pochodzenia polskiego, ale zrusyfikowany i bez skrupułów robi karierę w wojsku carskim. Polacy nie mogą go zatem tolerować zarówno z pobudek patriotycznych, jak i po prostu z obawy, wielu bowiem działa w konspiracji, ma powstańczą przeszłość czy nienawidzi Rosjan. Ale pułkownik Tomaszewicz zakochał się w Polce i ożenił z miłości.

Jadwiga Kołaczkowska nie miała posagu, pochodziła ze szlacheckiego, patriotycznego domu. Zgrzyt był potężny, niemniej rodzinie panny groziło bankructwo i nie stać jej było na odrzucenie zalotów pułkownika. Władysław, starszy o dwanaście lat, pokochał Jadwigę szczerze, a i ona patrzyła na niego przychylnym okiem. Obiecała żyć z nim długo i szczęśliwie, jeździć po Polsce, gdzie rzucą go rozkaz i wojskowy przydział. I mieć dużo dzieci! Spełniło się – przyszło ich na świat sześcioro. I tylko drzwi porządnych polskich domów były dla nich zamknięte. Być może to powoduje, że rodzina przebywa więcej we własnym gronie i zaciskają się między nimi prawdziwe, szczere więzi.

Pułkownik chce wychowywać córki jak synów – dostają dobre wykształcenie, najstarsza Zofia studiuje fizykę na Sorbonie. Paulina pragnie studiować malarstwo. Anna, która urodziła się w 1854 roku, jest bystra, lubi się uczyć i od pewnego czasu – być może od dnia, w którym wykorzystała

swoją wiedzę i umiejętność szycia do tego, by uratować życie pogryzionej przez psa kotce – marzy, by zostać lekarzem. Anna jest śliczna: delikatna blondynka, zgrabna, do tego ma silną wolę. Całe rodzeństwo ma świadomość, że kiedy coś się dzieje, to ona przejmuje stery i zawsze wie, co robić, mimo że nie jest najstarsza. Chce się uczyć, chce leczyć.

W latach sześćdziesiątych XIX wieku studia wyższe dla panny nie są już marzeniem ściętej głowy. Niektóre zagraniczne uczelnie, także medyczne, przyjmują kobiety. Jest inny problem, finansowy – rodzice nie utrzymają na studiach dwóch córek, więc pojedzie albo Paulina, albo Anna. Dziewczyny oddają decyzję losowi – ciągną węzełki, czyli rogi chusteczki. Umawiają się, że ta, której trafi się węzełek, idzie na studia i nie będą mieć do siebie żalu. Wygrywa Anna, nie spodziewała się tego, płacze ze szczęścia. Paulina nie rozpacza. Ona jedna wie, że wszystkie rogi miały węzełki. Dała wygrać siostrze, wiedząc, jak bardzo Ania pragnie tej medycyny. Pomogła też przekonać rodziców, a nie było łatwo, gdyż nie chcieli ulec wymysłom córek i wyrokom chusteczki z węzełkami, zamierzali realizować swój plan i wysłać na studia Paulinę. Dopiero strajk głodowy, jaki zafundowała im Anna, krzycząc, że bez medycyny w ogóle nie chce żyć, przekonał najpierw spanikowanego ojca, a potem bardziej surową matkę. Paulina tłumaczyła rodzicom, że malować może i bez szkoły. Znajdzie sobie miłego męża i osiądzie w Mławie…

Anna ma inne ambicje. Zurych. Uniwersytet przyjmuje kobiety na wydział lekarski, ale nie od razu, najpierw dziewczyna poświęca dwa lata na kursy z korepetytorami. Do nadrobienia: fizyka, biologia, łacina i greka, język francuski do doszlifowania. Wreszcie jadą z matką do Zurychu. Jadwiga umieszcza córkę u znajomych, państwa Ottikierów, i Anna zaczyna studencki etap życia w Szwajcarii.

Jest rok 1871, przed nią sześć lat nauki. Wiele studentek rezygnuje ze studiów nie ze względu na anatomię czy fizjologię, lecz z powodów finansowych. Uczelnia nie przyznaje kobietom stypendiów (hrabia Plater do tego nie dopuszcza), dlatego często zatrudniają się jako guwernerki. Połączenie trudnych studiów i pracy bywa jednak niemożliwe. Problem finansów nie jest obcy Annie, podczas studiów włącza się w pracę naukową i osiąga sukcesy. Szybko zostaje asystentką uczonych – najpierw profesora Ludimara Hermanna (badają „wpływ chloralu na rozprzestrzenianie się podniet w mięśniach”[6]), potem profesora Eduarda Hitziga, z którym pracuje w szpitalu dla umysłowo chorych. Bada ludzki mózg i tu fart ją na chwilę opuszcza – zaraża się tyfusem. Przechodzi chorobę bardzo ciężko i tylko dzięki opiece swoich wykładowców przeżyje. Rok 1877 zamyka etap nauki – na podstawie rozprawy z zakresu fizjologii błędnika słuchowego Anna Tomaszewicz uzyskuje dyplom lekarski.

Barwny ptak wśród inteligencji szwajcarskiej i tamtejszej Polonii. Piękna zgrabna blondynka, śmiało wypowiadająca swoje zdanie, uparta i pracowita, zyskuje pochwały profesorów, a jej prace są solidne i odkrywcze. Niestety – niewiele jej to da, gdy zdecyduje się pracować w ojczyźnie.

Wybieram Warszawę

Anna Tomaszewicz, absolwentka uniwersytetu w Zurychu, odrzuca propozycje swoich profesorów, którzy chcą zabrać ją na praktykę do Japonii. Pragnie wrócić do Warszawy, ma nadzieję, że tu podejmie pracę. Liczy na poparcie profesora Henryka Hoyera, fizjologa z Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Medyko-Chirurgicznej, który bardzo chwali jej dorobek naukowy. Same superlatywy odnoszą się nie tylko do osiągnięć

w nauce, ale także siły woli, charakteru – profesor jest pełen podziwu, że jako studentka delikatna Anna musiała sama dokonywać eksperymentów, czyli wiwisekcji na zwierzętach, a czyniąc to, osiągała ciekawe wyniki. Wydaje się, że po takiej rekomendacji Warszawa przyjmie ją z otwartymi ramionami. Nic bardziej mylnego.

Anna przybywa. Wysiada na dworcu Głównym, oczekuje kwiatów i komitetu powitalnego, nie czeka na nią nikt. Składa akces do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, lecz jej nie przyjmują. Głosowanie pokazało, jak ma być: jedenaście kul białych, czyli za, dziewiętnaście czarnych, czyli przeciw. Tylko dlatego, że Anna Tomaszewicz jest kobietą, a dam w Towarzystwie nie ma i nie będzie. Według skądinąd szanowanych i wykształconych autorytetów z brodami nie ma wątpliwości: „kobiety mają proporcjonalnie zbyt małe mózgi do masy ciała, by mogły być lekarzami. Zbyt słabą psychikę i wolę, a w dodatku co miesiąc «chorują» i wówczas nie mogą pracować”[7]. Doktorzy dyskutują w kuluarach, pozwalając sobie na lekceważące uśmieszki. „Kobiety! Wiadomo, że nauka je deprawuje, zwłaszcza chemia. Wiadomo, że te, które pragną pracować w męskich rolach, to awanturnice burzące społeczny ład. Zbłąkane owieczki rodu niewieściego, które chcą się kształcić, idą w złym kierunku…”[8] Podczas męskich zebrań w klubach i Towarzystwie Lekarskim Warszawskim padają jeszcze mocniejsze słowa, tak obraźliwe, że jeden z młodych postępowych lekarzy, Konrad Dobrski, staje w obronie kobiet. On dał koleżance białą kulę i jawnie o tym mówi. Jako człek porywczy wymierza cios w szczękę starszemu koledze, który nazywa młode lekarki kurewkami. Pojedynek, groźba wykluczenia z Towarzystwa, a nawet z grona lekarzy? Konrad Dobrski naraził się na to, ale ocali swoją pozycję, jest oprócz niego kilku sprawiedliwych umysłów w medycznej socjecie Warszawy. Mimo to Anna Tomaszewicz nie tylko nie zostaje przyjęta do Towarzystwa Lekarskiego

Warszawskiego, ale też nie dostaje zgody na pracę w Warszawie. Niech wyjdzie za mąż i zajmie się rodziną, wyrokują zacni brodaci panowie.

Grupa tych osobistości, które wierzą, że kobiety mogą być równie dobrymi lekarzami, jest nieliczna. Są wśród nich lekarze: Jan Henryk Lubieniecki, Konrad Dobrski, wspomniany profesor Hoyer, a także publicyści: Aleksander Świętochowski i Bolesław Prus. Głoszą, że Annę odrzucono, by dać kobietom do zrozumienia, żeby nie szły w jej ślady. Nazywają ją kanarkiem, który pojawił się wśród wróbli i którego już zaczęto dziobać. Prus omal nie pokłócił się z „Kurierem Warszawskim", gdy wykpił mężczyzn w swoim artykule, a redaktorzy nie chcieli tego drukować. Niestety ani przemowy, ani publikacje nie zmieniają decyzji Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego – dyplom Anny nie uzyskuje nostryfikacji. Warszawa nie uznaje dyplomów zagranicznych… Młoda lekarka nie składa jednak broni – wobec takiego warunku wyjeżdża do Petersburga, by zdobyć potwierdzenie kwalifikacji. Tam kobiety z dyplomem lekarza już mogą pracować. Ale Anna znów ma pecha. W Petersburgu rzeczywiście honorują różne kobiece dyplomy, ale nie… szwajcarskie.

Raz pech, raz szczęście. Kiedy załamana stoi przed decyzją: wracać czy jechać gdzieś dalej, wyrzuca sobie, że nie przyjęła praktyki w Japonii, ratuje ją przypadek, nagła potrzeba dworu. Oto car gości zaprzyjaźnionego sułtana, a kiedy ten przybywa z gościną, to co najmniej na pół roku, a z nim liczny harem. I potrzebuje lekarki dla żon, nie byle jakiej, musi znać języki: angielski, francuski, niemiecki, musi mieć dyplom i tym razem odpowiednią płeć – właśnie żeńską. Nie ma takiej lekarki Rosjanki, ale zgłasza się Anna z Królestwa Polskiego. Władze przymykają oko na to, że na dyplomie widnieje nazwa „Zurych", i Anna szybko nostryfikuje dyplom. Pracuje w haremie. Wywiązuje się z kontraktu, a gdy sułtan zabiera żony do

domu, powraca do Warszawy. Jest rok 1880. Teraz nie mogą jej zabronić praktyki lekarskiej, bo ma dyplom nostryfikowany w Petersburgu.

Jak to – lekarz kobieta?

„Kurier Warszawski” z czerwca 1880 roku donosi: „pierwsza u nas kobieta-doktor, p. Tomaszewicz, w lecznicy przy ulicy Niecałej udziela w godzinach oznaczonych porady lekarskiej w chorobach kobiet i dzieci”.

Ale doktor Anna Tomaszewicz zaczyna swoją praktykę w niedobrym dla niej momencie. W prasie pojawiają się paszkwile, modna jest powieść niejakiego doktora Krupskiego o lekarce z Zurychu. Autor sugeruje, że tamtejsze studentki medycyny jedynie szukają romansów i mdleją na widok krwi. Szepcze się, że to o niej, chociaż wiele szczegółów się nie zgadza. Anna ma dwie specjalizacje: pediatrię i choroby kobiece, tak jak pozwalają przepisy. Widzi ogrom potrzeb wśród chorujących kobiet, ale jej gabinet świeci pustkami. Musi się zmierzyć z lawiną pomówień, pseudonaukowych artykułów i głupot głoszonych przez autorytety jako naukowe prawdy. Argumenty wracają jak bumerang: oto kobieta ma nie tylko za mały mózg, by być lekarką, ale też niedorozwinięty jak niektórzy tępi mężczyźni lub (sic!) Murzyni. Do pracy dyskwalifikuje ją comiesięczna słabość, a także ciąża, gdy wyjdzie za mąż. Jest zbyt emocjonalna, bo współczuje rodzącej, czego nie czyni żaden lekarz mężczyzna. W dodatku jakże słabej kobiecie patrzeć na krew, krajać, zszywać, widzieć wnętrzności? Część kobiet przyklaskuje tym poglądom – nawet Gabriela Zapolska błaga damy, by „nie krajały trupów i nie odstępowały od swojej kobiecości”[9]. Na koniec toczy się walka o niewinność kobiety, autorytety zamartwiają się, jak kobieta lekarka zbada obnażonego mężczyznę i będzie leczyć „wiewióra” (czyli syfilis). A poza tym „kobieta nie może być dobrym lekarzem, gdyż… nie

ma brody!”[10]. To, co dziś brzmi zabawnie, wówczas było bardzo ciężką kłodą rzucaną pod nogi pierwszej polskiej wykwalifikowanej lekarce.

Annę broni młody Konrad Dobrski, zafascynowany jej urodą i intelektem. Wkrótce oświadcza się jej i zostaje przyjęty. Teraz przyjdzie mu bronić żony, co czyni dzielnie nie tylko wśród kolegów, ale także na łamach prowadzonego przez niego magazynu „Zdrowie”.

Doktor Anna Tomaszewicz-Dobrska dostaje szansę pracy dopiero wtedy, gdy w przytułku położniczym wybucha epidemia, tak zwana gorączka połogowa – najgorszy wróg ówczesnych porodówek. Szpital trzeba zamknąć, kolejne zgony kobiet i dzieci przerażają. Działacze miasta widzą, że koniecznością jest zbudowanie nowych szpitali położniczych i unowocześnienie starych. I oto dobroczyńca i fundator szpitali Stanisław Kronenberg stawia warunek, że jednym z nich ma kierować Anna Tomaszewicz-Dobrska. Na jego decyzję wpłynął prawdopodobnie głos światłych przyjaciół: Bolesława Prusa i rekomendującego żonę doktora Dobrskiego. Anna objęła zatem Przytułek Położniczy numer 2 przy ulicy Żelaznej, który w 1911 roku zostanie przemianowany na Szpital Świętej Zofii (działający do dziś). Przepracowała w nim dwadzieścia dziewięć lat. Dość szybko uporała się z gorączką porodową – plagą ówczesnych lekarzy, którzy nie umieli ani stwierdzić jej przyczyny, ani jej zaradzić. Kilku prekursorów znajduje zależność między zachowaniem higieny a mniejszą liczbą zachorowań, jednak zostają wyśmiani. Amerykański ginekolog Charles Meigs grzmi, że lekarze nie mogą przenosić choroby z pacjentki na pacjentkę, bo są… dżentelmenami. A dżentelmeni mają przecież czyste ręce.

Już w tamtych czasach Ludwik Pasteur odkrył, że gorączkę porodową powodują bakterie zwane streptokokami, a jego uczeń Joseph Lister propaguje antyseptykę w szpitalach. Do Polski jednak nauka zwana

listeryzmem jeszcze nie dociera. Dobrska jest wśród tych, którzy piszą, że nie od rozmiaru lecznicy rzecz zależy, lecz od stanu jej urządzeń techniczno-sanitarnych. Rozumie zakaźną naturę gorączki i uczy personel i pacjentki higieny. Sama walczy z wiatrakami: w szpitalu nie ma toalet, tylko wiadra z tak zwanym proszkiem otwockim[11], personel nie uznaje wietrzenia pomieszczeń, zlew nie ma odpływu i pani doktor odkaża go osobiście. Zresztą dezynfekuje wszystko, co się da, karbolem, lizolem, spirytusem. Redukuje śmiertelność swoich pacjentek i noworodków nawet o dwa procent. Walczy z przesądami, z pomysłami akuszerek, aby okładać brzuch śledziami, pić wódkę z cynamonem, dotykać dróg rodnych pacjentki brudnymi rękami lub gąbką moczoną w oliwie – jedną dla wszystkich położnic. Spisuje przykazania dla personelu zwane „ślubami czystości”, w których wypowiada wojnę kołtunom, brudnym rękom i gąbkom z oliwą[12].

Doktorka wszystkich kobiet

W szpitalu przy ulicy Żelaznej pojawia się coraz więcej pacjentek. Coraz więcej kobiet w ciąży zamożnych i tych biednych, które nie zostawiają honorarium. Doktor Anna Tomaszewicz-Dobrska uważa, że jej obowiązkiem jest im pomóc. Coraz częściej przychodzą do niej panny z nieślubnym dzieckiem wyrzucone przez rodzinę. To czasy, w których kobietom zgwałconym lub uwiedzionym w przypadku ciąży pozostaje hańba lub pokątna aborcja. Są takie, które rodzą w bramach ulic i porzucają dziecko. Bywa, że same umierają, rodząc bez pomocy albo po nieudanych zabiegach dokonywanych przez pokątne „babki” w brudnych pokoikach. Młode ubogie dziewczyny pracują w szwalniach za posiedzenie w ciepłym miejscu i dwa posiłki.

Anna nie może się pogodzić z niedolą kobiet. Nie ubolewa jednak, lecz jest wściekła na system, bojowo nastawiona, cały czas działa. Pracuje w Schronieniu Nauczycielek, czyli przytułku dla starych i chorych guwernantek, które nie mogą już pracować i nie mają żadnych dochodów. Leczy w szwalniach, w których ubogie dziewczęta szyją przez osiem godzin dziennie za ciepły kąt i możliwość zjedzenia dwóch posiłków. Latem w swoim domu w Otwocku leczy pacjentów z gruźlicą. Jako członkini Towarzystwa Kolonii Letnich dla Dzieci organizuje najbiedniejszym czas i wyżywienie, współtworzy fundację Kropla Mleka, popularyzującą karmienie piersią. Prowadzi także działalność edukacyjną: to ważne, bo w tamtych czasach nie uczono dziewcząt ani budowy własnego ciała, ani tego, skąd bierze się ciąża i jak przebiega. Ani słowa o chorobach kobiecych, nie mówiąc już o antykoncepcji czy o chorobach wenerycznych, którymi wręcz masowo zarażali swoje żony szanowani mężowie. Dobrska stara się nauczać pacjentki, wygłasza odczyty. Prasa przedstawia ją jako polską uczoną, która nie przebrała się w strój męski, lecz mówi ciekawie i nawet jej z tą uczonością do twarzy.

Doktor Anna dba o wizerunek: lubi uroczysty strój, nosi jedwabne czarne suknie i złoty pas, czesze się w wysoki kok z jasnych włosów. Jest kobietą dostojną, z wiekiem coraz bardziej. Z czasem staje się autorytetem Warszawy i mentorką innych lekarek, które podobnie jak ona przebijają ten szklany sufit. Starzeje się, ale wciąż jest aktywna, choć samotna, gdyż życie prywatne nie ułożyło jej się szczęśliwie. Konrad Dobrski był świetnym lekarzem i dobrym mężem, wspierał ją w walce z antykobiecymi przesądami. Kochali się szczerze, doczekali się syna, ale w pewnym momencie coś musiało się potoczyć źle, rozstali się. Prawdopodobnie pochłonęła ich praca – więcej czasu spędzali w swoich gabinetach i szpitalach niż ze sobą w domu. Anna narzekała też na wymogi

macierzyństwa, które musiała łączyć z pracą zawodową. Syn Ignacy nie wyrósł na wzór cnót. Ukończył szkołę inżynierską w Monachium, ale całe życie gonił go niespokojny duch – a to założył hodowlę baranów w Turkiestanie, a to dzikich koni w Kanadzie. Nie miał szczęścia i wszystko, czego dotknął, plajtowało. W tym czasie zapracowani rodzice zapewne kłócili się także o niego.

Z czasem doktor Dobrska w swoich czarnych sukniach i mówiąca autorytatywnym tonem zaczęła stwarzać pozory chłodu i sztywności. Na jednym z przyjęć na początku nowego, obiecującego XX wieku mówi rozgoryczona, że tak naprawdę kobiety jeszcze nie wygrały i długa przed nimi droga. Jest samotna i zmęczona, walka z chorobami i głupotą wydaje jej się syzyfową pracą. W 1915 roku umiera jej mąż, ona zaś zmaga się z powikłaniami po gruźlicy. W 1918 roku jest bardzo źle – wezwany z Kanady syn Ignacy przybywa, by pożegnać się z matką. Nocą 9 kwietnia Anna czuje nadchodzący koniec, ale nie pozwala obudzić syna. Każe się umyć i przebrać siostrzenicy, która się nią opiekuje, przy niej umiera. Część majątku przeznaczyła na warszawską fundację Kropla Mleka.

---

[6] Alicja Urbanik-Kopeć, *Nonsens i lekarz bastard. Anna Tomaszewicz-Dobrska* (1854–1918), http://ihnpan.pl/wp-content/uploads/2021/01/2020-1-A.-Urbanik-Kopec.pdf

[7]* Kamil Janicki, *Anna Tomaszewicz-Dobrska. Pierwsza polska lekarka była ofiarą szykan i niewybrednych ataków*, https://wielkahistoria.pl/anna-tomaszewicz-dobrska-pierwsza-polska-lekarka-byla-ofiara-szykan-i-niewybrednych-atakow/

[8] Tamże.

[9] Monika Zieleniewska, *Precz z Polski z dziwolągiem kobiety-lekarza! Mówił słynny chirurg o dr Annie Tomaszewicz-Dobrskiej*, https://www.medonet.pl/zdrowie,pierwsza-

polka-z-dyplomem-lekarza-medycyny---dr-anna-tomaszewicz-dobrska,artykul,41500738.html

[10] Tamże.

[11]* Popularny w tym czasie środek dezynfekujący na bazie torfu.

[12] Alicja Urbanik-Kopeć, *Nonsens i lekarz bastard. Anna Tomaszewicz-Dobrska* (1854–1918), http://ihnpan.pl/wp-content/uploads/2021/01/2020-1-A.-Urbanik-Kopec.pdf

Rozdział 4

Doktorica Tonka z Bośni

Dziwne losy Teodory Krajewskiej, z domu Kosmowskiej, zaczęły się w pozytywistycznej Warszawie, ale pobiegły przez Szwajcarię i Wiedeń na Bałkany, do Tuzli, Sarajewa, Gorażde, do górskich miast i wsi. Leczyła Serbki, muzułmanki i wcale niemałą grupę Polaków mieszkających na tych terenach. W Sarajewie wciąż żywa jest pamięć o Doktoricy z Polski, u nas mało kto o niej pamięta.

Panienka z pensji

Warszawa, lata siedemdziesiąte XIX wieku. Świat jak z kart książki Marii Krüger *Godzina pąsowej róży*. Szanowana inteligencka rodzina Kosmowskich mieszka przy Krakowskim Przedmieściu. Córki od maleńkości otoczone niańkami i guwernantkami, dobrze wychowane zgodnie z tradycyjnymi wartościami religijnymi i patriotycznymi. Ojciec pracuje jako urzędnik; musi wykarmić swoją damską rodzinę, los obdarzył go bowiem ośmioma córkami! Wszystkie odbiorą dobrą edukację, lecz czy wyjdą za mąż, nie wiadomo – lepiej więc, by umiały same się utrzymać. Teodorze, zwanej w domu Tonką, rodzice planują karierę nauczycielki. Uznają, że najlepiej będzie, jeśli skończy gimnazjum, niestety rosyjskie, gdyż innych dróg kształcenia nie ma. Tonka uczęszcza zatem codziennie do

gimnazjum na Szkolnej, a służąca nosi za nią książki i przybory. Panna Kosmowska jest zdolną uczennicą, zwykle najlepszą w klasie. Szkolne lata przypadają na trudny czas po klęsce powstania styczniowego: postępuje rusyfikacja, damy klasowe to Rosjanki, lekcje odbywają się po rosyjsku, poza polskim, którego uczy ukochana nauczycielka Tonki – Józefa Kamocka. Ona i profesor Wojciech Grochowski rozbudzają w dziewczynie miłość do polskiej literatury oraz zainteresowanie filozofią i nauką. Nie tylko nauczyciele poruszają jej wyobraźnię – w salonie Kosmowskich spotykają się światłe umysły warszawskiej inteligencji, a rodzina przyjaźni się ze Skłodowskimi, których córki Bronka i Maria także mają ambitne aspiracje naukowe.

W Warszawie coraz silniej rozwijają się idee pozytywizmu: praca organiczna, pochwała nauki i użyteczności społecznej, równouprawnienie kobiet, ukazują się publikacje Aleksandra Świętochowskiego, Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej. O tym się mówi, więc również Tonka nasiąka ideami nowej epoki. Jest młodą nauczycielką z jasnym warkoczem, jasną cerą i błękitnymi oczyma – całkiem niepodobna do sióstr brunetek. Z przekonaniem włącza się w ferment warszawskiej młodzieży i… wychodzi za mąż za Antoniego Krajewskiego. Antoni jest nauczycielem filologii klasycznej, jednym z aktywnych pozytywistów, przyjacielem Bolesława Prusa, Zygmunta Miłkowskiego (Teodora Tomasza Jeża), Piotra Chmielowskiego. Ma piękną patriotyczną przeszłość: jako szesnastolatek uciekł z gimnazjum do powstania styczniowego.

Państwo Krajewscy prowadzą salon, w którym dyskutuje się kwestie społeczne, w tym prawo kobiet do pracy w męskich zawodach i równouprawnienia. Proszę bardzo – w Rosji kształci się kobiety na lekarki i jest ich sporo, a w Polsce tylko dwie, Anna Tomaszewicz-Dobrska i Teresa Ciszkiewiczowa, walczą właśnie o uznanie ich w medycznym świecie.

Teodora Krajewska słucha o nich z podziwem. Być może przeżyłaby życie jako światła warszawianka u boku męża, pewnie postępowa aktywistka i nauczycielka, lecz po czterech latach małżeństwa Antoni nagle umiera i teraz wszystko w życiu Tonki potoczy się inaczej.

Poważna wdówka

„Po śmierci męża stanęłam na rozdrożu”[13] – pisze Teodora Krajewska w swoim pamiętniku. Nie chce wracać do rodziców, nie chce uczyć polskich dzieci po rosyjsku. Pragnie wyjechać za granicę i studiować. Ojciec najpierw protestuje, potem doradza Petersburg, ale Tonka wybiera Genewę, w czym wspierają ją siostry, matka i pan Świętochowski, do którego zwraca się o radę. Stawia na swoim: zbiera fundusze i wreszcie w 1883 roku wyjeżdża do Szwajcarii. Późno zaczyna – jej rówieśnica doktor Dobrska już od kilku lat jest lekarką. Ale Teodora też jest zdolna, ambitna i odważna. Jako jedna z trzech kobiet na uczelni dostaje stypendium. Najpierw studiuje fizykę, medycynę zaczyna dopiero w 1885 roku jako osoba trzydziestoletnia. Jest asystentką profesora Maksa Schiffa na wydziale fizjologii. W przyszłości opisze problemy, z jakimi muszą się borykać studentki cudzoziemki w Szwajcarii: brak pieniędzy, poczucie obcości, wielkie ambicje i brak oparcia w rodzinie, nierzadko brak sił fizycznych. Radzi sobie z tym wszystkim – mało tego, działa aktywnie w polskich towarzystwach w Genewie.

Studia kończy w 1892 roku ze świadomością, że spędziła w Szwajcarii dekadę swojego życia. Czas na coś nowego, na wykorzystanie wiedzy, którą zdobyła. Staje przed dylematem, gdzie podjąć pracę. W Polsce nie nostryfikują jej dyplomu. Za to na ścianie uczelni widnieje ogłoszenie Ministerstwa Finansów w Wiedniu – oto Rząd Krajowy w Sarajewie

poszukuje lekarki do pracy w Bośni i Hercegowinie. Dla odmiany koniecznie kobiety, bo chodzi o leczenie muzułmanek, których mężczyźni nie mogą badać. Tonce podoba się idea niesienia oświaty w mroczne zaułki muzułmańskiego kraju. Postanawia być „lekarzem i misjonarzem zarazem". Zgłasza się i wygrywa konkurs. Zatem Bałkany. W tej decyzji gorąco wspiera ją przyjaciel męża, Teodor Tomasz Jeż, pisarz i podróżnik, który zjeździł Bałkany i gwarantuje Tonce, że wiejące grozą smaczne opowieści o tych stronach, między innymi o wampirach, to bzdury. Groza jest gdzie indziej: w zacofaniu, biedzie, zaniedbaniu przyszłych pacjentek, bo jako lekarka rządowa będzie leczyła wszystkich, nie tylko zamożnych. Teodora Krajewska, zachwycona perspektywą judymowania, pakuje sakwojaże i rusza na Bałkany. Po długiej i żmudnej podróży pociągami dociera do Tuzli.

Lekarka misjonarka

Pierwsze wspomnienie z hotelu: „pokój dobry, obsługa fatalna, jedzenie niemożliwe, mój humor jeszcze gorszy". Miasto jest malownicze, ale brudne. Muzułmanki okutane w czarne chusty, widać im tylko oczy z niepokojem patrzące na kapelusz cudzoziemki. Rosjanka? Niemka? „Polka" nic im nie mówi. Tonka ma ochotę wracać, ale zapisuje w pamiętniku: „Jestem tu i zostanę. Wytrwam".

Pierwsze zetkniecie z chorą umierającą na gorączkę połogową jest trudne – nie może jej uratować. Potem jednak pomaga dziecku, do którego ją wzywają, a później coraz częściej Doktorica słyszy pukanie do swoich drzwi. Kiedy dzięki jej staraniom żona pewnego Turka wychodzi obronną ręką z ciężkiej dyzenterii, staje się „tutejsza" i potrzebna. Lekarze mężczyźni wzywają ją do ciężkich porodów. Nie obawia się operacji,

potrafi obrócić źle ułożone dziecko, usunąć łożysko, zadbać o higienę, tak by uniknąć zakażeń i gorączki połogowej. Społeczność przyzwyczaja się do szczupłej doktorki, która pieszo lub konno, ze służącą Anką u boku, podąża do chorych. Anka to „dziewczyna hultaj”, Teodora często na nią sarka i gani za lenistwo i nieposłuszeństwo, ale dziewczyna potrafi utrzymać czystość i jest potrzebna do pomocy. Doktorica jeździ z wizytami, zwłaszcza do muzułmanek, które nie mogą opuszczać swoich ciasnych, ciemnych mieszkań. Przyjmuje też pacjentów w poradni, organizuje ambulatorium dla kobiet, do którego chętnie przychodzą Serbki i katoliczki, bo Tuzlę zamieszkuje mieszanka narodowa i wyznaniowa. Doktor Krajewska nie bierze żadnych opłat od pacjentów, jest lekarzem rządowym. Wprawdzie pensję ma niską i niewystarczającą na konieczne wydatki, ale stałą i pewną. Pacjentki z wdzięczności zostawiają jej upominki – czasem pomarańczę, jakiś przysmak albo haftowany ręcznik.

Doktorica ma ręce pełne roboty: w Graczanicy wybucha epidemia cholery. Leczy tam młodego lekarza, który wręcza jej list do matki na wypadek śmierci. Jest już bardzo słaby, wyczerpany torsjami, bo przy cholerze „nie sposób zdążyć z naczyniami, chory wciąż wymiotuje i zmienia się w człowieka pierwotnego”. A jednak opium, kawa, czerwone wino, cierpliwość lekarki i silny organizm pacjenta robią swoje. Teodora wygrywa ze śmiercią i listu nie trzeba wysyłać.

Największym wyzwaniem są jednak choroby i dolegliwości muzułmańskich kobiet. Doktor Krajewska stara się dotrzeć do przyczyn, bada je, niektóre dopiero poznaje. Widzi, jak wiele chorób wynika z obyczajów: tu nie wolno wołać lekarza do porodu, kobieta powinna urodzić dziecko sama i najlepiej bez żadnego jęku. Gdy poród się komplikuje, każą jej pić wodę z prawego buta męża. Dopiero kiedy zaczyna umierać, wołają lekarza, by nie chować rodzącej z dzieckiem w łonie… Na

szczęście kobieta lekarz to co innego, może przybyć wcześniej i pomóc. Muzułmanki trapi osteomalacja, czyli rozmiękczenie kości – przypadłość, której Teodora nie spotyka u pacjentek innego wyznania. Nic dziwnego, izolowane od świata, zamknięte w ciasnych pokojach, często w kurzu i brudzie, muzułmanki mają mało ruchu. Obyczaje od pokoleń każą im gromadzić dywany, kotary i poduszki. Nierzadko lekarka diagnozuje wśród nich gruźlicę.

Wszystkie przypadki Teodora skrzętnie opisuje i je raportuje; referuje swoje wnioski na międzynarodowym kongresie w Berlinie w 1896 roku. Jest już wówczas autorytetem. Na fotografii z tego roku poważna czterdziestodwuletnia doktor Krajewska, w modnej w tej epoce fryzurze, w mocno wciętej ciemnej sukni z bufiastymi rękawami, wciąż jest bardzo ładna. Wiek XIX biegnie ku końcowi, historia niesie zmiany narodom i jednostkom. Teodorę z Tuzli też spotyka zmiana – dostaje propozycję pracy w Sarajewie. Jedzie tam na rekonesans. Poznaje doktora Leopolda Glücka i jego sympatyczną żonę Paulinę, w której znajduje przyjaciółkę. A po drodze diagnozuje pierwszy przypadek trądu w powiecie vlasenickim. Jest nowe wyzwanie – decyduje się na przeprowadzkę. Oczywiście wcześniej szuka swojej zastępczyni do Tuzli. Znajduje Polkę – doktor Jadwigę Olszewską.

Sarajewo, moja miłość

Miasto urokliwe, jakby porozrzucane po górach. Taka topografia okazuje się tyleż piękna, co trudna w komunikacji, zwłaszcza w docieraniu do pacjentów. Koń nie wespnie się tak wysoko, wiele dróg trzeba pokonać pieszo. Teraz dopiero przydaje się Tonce doświadczenie i wprawa z wędrówek po Alpach w Szwajcarii. Ale podoba jej się Sarajewo, ma co

robić: dostaje rządowy nakaz nauczania higieny w tutejszych szkołach żeńskich, wśród katoliczek, Serbek i muzułmanek, w seminarium nauczycielskim i szkole zakonnej. To bardzo potrzebna nauka, więc doktor Krajewska układa pieczołowicie „kurs higieny” i znów, jak przed laty w Warszawie, przeistacza się w nauczycielkę. Lekarskich wyzwań też nie brakuje, bo nawet gdy rodzina godzi się na wezwanie do chorej muzułmanki lekarza mężczyznę, może on rozmawiać z pacjentką tylko w towarzystwie jej męża, teścia lub starszego brata, a zbadać wyłącznie puls. Lekarze odmawiają stawiania diagnoz po takim badaniu i pozostaje posłać po Doktoricę.

W 1901 roku na Sarajewo i okolice spada zaraza ospy, która dotyka głównie muzułmanki, niezaszczepione na tę chorobę. Doktor Krajewska, której słuchają, szczepi dniem i nocą. Rząd oficjalnie kieruje ją do tego zadania, bo oczywiście lekarze płci męskiej nie mogą szczepić muzułmanek. Kolejki kobiet w burkach, z odsłoniętym tylko fragmentem ramienia, śnią się Teodorze po nocach. Przez kilka miesięcy odwiedza wioski i miasteczka, przeżywa śnieżyce, przemierza błota. Do niektórych miejscowości, jak do Mosztre, może dotrzeć tylko konno, w siodle. Podróżując w grubych czerwonych szarawarach z wełny, wysokich skórzanych kamaszach, zakopiańskim serdaku i czapce, ufa, że koń nie zatonie w błocie i nie zsunie się z kamiennej ścieżki. Powoli podąża za chłopcem, który pieszo wskazuje drogę i niesie torbę z przyrządami do szczepień. Doktorka Teodora szczepi dziennie osiemdziesiąt kobiet, czasem więcej. Po wyczerpującej akcji po raz pierwszy sama choruje – dopada ją niezrozumiała gorączka, cierpi na zapalenie jelit, zdarza jej się utrata przytomności. Koledzy lekarze diagnozują malarię i leczą ją chininą, lecz choroba wraca. Wszyscy medycy są zgodni: Tonka musi odpocząć.

Urlop spędza w Polsce. Spotyka się z rodziną, korzysta z leczniczych wód w pijalniach w Krynicy i Zakopanem. Rzeczywiście wypoczynek pomaga – po kilku miesiącach doktor Krajewska wraca na posterunek pracy jak nowa i pracuje bez przerw pół roku. Tym razem Kreszewo i nowa rządowa misja – walka z syfilisem, który jest tutaj prawdziwą epidemią. Kobiety powiadomione o przyjeździe lekarki czekają stłoczone w jednym z domów. Doktorica zaczyna od mycia rąk – zawsze wozi ze sobą mydło i ręczniki. Zbyt często nie można już pomóc kobietom pokrytym syfilitycznymi krostami, ze zniszczonymi nosami i trawionym gorączką. Ludzie przywykli do tej choroby. Dziewięcioletnia dziewczynka z dumą pokazuje Doktoricy krosty na rękach, chwaląc się, że też to ma. Większość kobiet cierpi też na choroby kości. Osteomalacja zbiera żniwo na skutek braku ruchu, niedożywienia, licznych porodów i długotrwałego karmienia. Jedna z kobiet nie umie powiedzieć, ile razy rodziła – po prostu ciągle i wszystkie dzieci umierały. Ma dwadzieścia sześć lat, a kości zdeformowane tak, że nie chodzi, tylko się czołga. Doktor Krajewska rozdaje lekarstwa, przestrzega przed następnymi ciążami, uczy higieny. Bada pilnie osteomalację i jeździ z wykładami po Europie, zahaczając o polskie góry.

Pewnego razu w Krynicy spotyka Gabrielę Zapolską, o której nie ma zbyt wysokiego mniemania. Pamięta jej żarliwe wystąpienia przeciw kobietom lekarkom. Uważa pisarkę za osobę sztuczną i afektowaną. Odmawia jej przebadania, gdyż Zapolska ma zwyczaj błagać o poradę i zmyślać symptomy choroby, a potem głośno krytykować diagnozy i zalecenia lekarzy. A jednak doktor Krajewska musiała czymś zaimponować kapryśnej pisarce, bo ta powiedziała, że była głupia, i po wyjeździe z pensjonatu wysłała jej bukiet czerwonych astrów.

Tonka wróciła do Sarajewa. Była w mieście tego znaczącego dla historii dnia, gdy zamordowano arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, co zapoczątkowało wybuch pierwszej wojny światowej. W czasie wojny nie ustawała w pracy, bywała blisko frontu i zmagała się z wojennymi epidemiami. Kiedy ojczyzna odzyskała niepodległość, chciała powrócić do Polski, ale nie było dla niej miejsca pracy w Warszawie. Do emerytury pozostała w Sarajewie. Musiała jednak zakończyć praktykę ze względu na chorobę oczu – nie pomogła nawet specjalistyczna operacja w Pradze.

Do kraju wróciła w 1927 roku i zamieszkała w Warszawie. Była bardzo skromna, nie chciała uroczystości ani benefisów. Mała emerytura nie zawsze przychodziła regularnie. Na starość Teodora musiała żyć bardzo oszczędnie. Kontaktowała się tylko z rodziną, a jej jedynym towarzystwem był ukochany kot. Zapewne tęskniła za Bośnią, gdzie była znaną osobą i miała wielu przyjaciół oraz wdzięcznych pacjentów. Tu nikt jej nie znał i nie doceniał. W ostatnich latach życia była niemal ociemniała, samotna i zapomniana. Zmarła w 1935 roku w wieku osiemdziesięciu jeden lat, została pochowana na Powązkach. Napisała piękne zdanie ku pamięci lekarzom następnych dekad: „Ujmując za rękę chorego, biorę jego duszę w posiadanie”.

---

13 Wszystkie cytaty pochodzą z *Pamiętnika* Teodory Krajewskiej z Kosmowskich, KAW, Warszawa 1989.

Rozdział 5

Justyna Budzińska-Tylicka. Kobieta radykalna

Typ ognistej rewolucjonistki i idealistki, kobieta, która nie waha się płomiennie przemawiać na spotkaniach, przenosić tajną bibułę, mieć marzenia wykraczające poza jej epokę. O czym marzyła Justyna Budzińska-Tylicka? O wolnej Polsce, o równych z mężczyznami prawach dla kobiet i o… medycynie. Wszystkie trzy marzenia miały się spełnić!

Łomżynianka z temperamentem

Urodziła się w 1867 roku w Łomży, w czasie, gdy bardzo żywe było jeszcze wspomnienie powstania styczniowego. Ojciec Justyny, Alfons Budziński, łomżyński weterynarz, był postacią nietuzinkową. Jako zapalony archeolog badał z pasją przeszłość okolic Augustowa, Suwałk, a potem Łomży. Brał udział w powstaniu styczniowym, za co został zesłany na Sybir. Wrócił w roku 1865, zamieszkał w Łomży i podjął pracę weterynarza. Miał na utrzymaniu gromadkę dzieci, ale nie zarzucił swoich pasji i badał jaćwieskie cmentarze kurhanowe. Gdy córka Justyna osiągnęła wiek, w którym należało pomyśleć o jej dalszym kształceniu, rodzice wyekspediowali ją do stolicy, gdzie siostra Budzińskiego prowadziła cenioną pensję.

Justyna kształci się i wyrasta na pannę z temperamentem. Różki pokazuje jako uczennica w rosyjskim gimnazjum: potrafi się przeciwstawić zapijaczonemu nauczycielowi, który ubliża Polsce. Wstaje z ławki, mówi, co o tym myśli, i wychodzi z klasy, trzaskając drzwiami. Jej protest obiega Warszawę, po raz pierwszy wszyscy powtarzają nazwisko: „TA panna Budzińska!”. Do gimnazjum nie ma powrotu, więc kontynuuje edukację na pensji ciotki. W tym czasie spada na nią pierwszy cios – w Łomży umiera ojciec. Teraz sama musi sobie radzić finansowo. Zarabia korepetycjami już jako szóstoklasistka. Uparta i zdolna zdaje maturę i zastanawia się, co dalej.

Jest w tym czasie szczupłą ciemnowłosą panienką w długiej sukni z białym kołnierzykiem. Jest niecierpliwa, należy do osób prędkich, chce działać, dążyć do swojego celu. Uczy się szybko i marzy o medycynie. Marzenia na razie bez szans – w Polsce kobiet na studia medyczne się nie przyjmuje, na wyjazd za granicę jej nie stać. Postanawia zostać nauczycielką i zarobić na studia. Jako guwernantka w ziemiańskim domu nie poprzestaje na swoich obowiązkach nauczycielki – naucza wiejskie dzieci w tajnej szkole, zbiera składki na inicjatywę skarbu narodowego, uczy się nocami. Po pięciu latach udaje jej się zebrać fundusze na wyjazd. Składa dokumenty na uczelnię w Paryżu. Przyjęta! Nareszcie ukochana medycyna. Ale także wielkie miasto, w którym wrze – ścierają się tu różne nurty polityczne i filozoficzne, młodzi ludzie spotykają się na zebraniach, dyskutują, szukają swojej drogi, a Polacy oczywiście dróg do wyzwolenia ojczyzny.

Lata dziewięćdziesiąte XIX wieku to czas fermentu – powstają nowe idee, dojrzewają rewolucje. Justyna wciąga się w nurt socjalistyczno-patriotyczny, zapisuje się do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, współdziała z ludźmi, którzy zapiszą się w historii, między innymi

z Bolesławem Limanowskim, Feliksem Perlem i przyszłym prezydentem RP Stanisławem Wojciechowskim.

Przez cały okres studiów trapi ją brak pieniędzy. Dorabia jako masażystka, organizuje spółdzielnie studenckie, których członkowie składają się, by nawzajem sobie pomagać. Wspólnota polega na tym, że gdy jeden członek spółdzielni zarobił jakieś pieniądze, solidarnie dzielił się z kolegami, by ci mogli kupić posiłek. Justyna nieraz żywi się bułką z herbatą, tanim obiadem w jadłodajni dorożkarzy. Nie przejmuje się – ważny jest dla niej ten gorący czas ideałów, żyje atmosferą Paryża, żarliwymi dyskusjami na mansardach, młodzieńczymi marzeniami. Jest pewna, że będzie wolna Polska, to tylko kwestia czasu. Kiedy odwiedza rodzinę w kraju, przewozi tajną prasę, rewolucyjne odezwy. Omal nie przypłaci tego więzieniem, ale ma szczęście. Jest pewna, że tak trzeba, że jej misja to walka o równe prawa ludzi, w tym kobiet. W tym okresie przychodzi miłość. Poznaje Stanisława Tylińskiego, równie jak ona zaangażowanego w walkę o ideały. Stanisław pracuje i studiuje agronomię. Ślub bierze na czwartym roku, a i macierzyństwo nie daje na siebie czekać. Przychodzi na świat syn Stanisław, Justyna rodzi go w Warszawie w roku 1895.

Ostatnie lata studiów są dla Justyny ciężkie – mąż traci pracę, a ona musi godzić opiekę nad małym dzieckiem z zajęciami i praktykami. Dyplom otrzymuje w 1899 roku. Nadchodzi następne stulecie. Młoda doktorka otwiera praktykę w Étrépilly, małym miasteczku pod Paryżem. Specjalizuje się w chorobach układu oddechowego i gruźlicy, ale w Étrépilly leczy wszystkich i wszystko. To chyba najpiękniejszy okres w jej życiu, chociaż trudno byłoby go nazwać najspokojniejszym, jako że nie przesypia spokojnie nocy. Dość szybko zdobywa uznanie pacjentów. Jest wciąż w ruchu, jeździ na wizyty konno, potem rowerem. Stanisław

kończy studia i podejmuje pracę. Państwo Tyliccy zaciągają dług na dom i powozik, ale mają ogród, łąkę i przeżywają szczęśliwe rodzinne chwile. Rodzi się córka Wanda – co ciekawe, nie najmują niańki. Stosują nieznane wówczas „tacierzyńskie” i przez cały rok, kiedy Justyna jeździ do pacjentów, dzieckiem zajmuje się Stanisław. Drugie nowatorstwo polega na tym że Justyna karmi córkę piersią tak długo, jak to możliwe. Trzecie – sama edukuje syna. Chłopiec musi się uczyć, ale rodzice nie chcą się przeprowadzać do Paryża. Justyna zobowiązuje się do tego, co dziś nazywa się indywidualnym nauczaniem w domu. Staś pobiera nauki od matki w powoziku w drodze do pacjentów, w ogrodzie. Oprócz francuskiego uczy się polskiego. Liczyć do stu uczy się na przydrożnych kamieniach, obserwując je z powozu, gdy towarzyszy matce w drodze do pacjentów.

W domu Tylickich zawsze jest miejsce dla gości – bywają tu działacze i społecznicy, Polacy przebywający na emigracji, zagląda Roman Dmowski. Justyna nadal działa społecznie: walczy z alkoholizmem w środowisku robotniczym w Étrépilly, naucza o higienie, nie odmawia pomocy lekarskiej ubogim, działa w Kasie Pomocy.

Kiedy nadchodzi rok 1905 i wieści o demonstracji na placu Grzybowskim w Warszawie, o ruchach rewolucyjnych i nowych nadziejach na odzyskanie wolności, Tyliccy postanawiają wrócić do ojczyzny. Oznacza to sprzedaż praktyki i domu w Étrépilly, pozostawienie psa Wisełki i nowy etap w życiu. Gabinet kupuje francuski kolega po fachu, a doktorostwo wraca do kraju po latach emigracji.

Powrót do domu

W 1906 roku Tyliccy zamieszkali w Krakowie, bo Justyna jest notowana przez władze carskie i obawia się pokazać w Warszawie. Stolica Galicji ma

wiele do zaoferowania – pani doktor rzuca się w wir działalności. Organizuje wiece i zgromadzenia, wstępuje do Towarzystwa Szkoły Ludowej i do Koła Opieki nad Dziećmi. W Krakowie działają słynne Maria Turzyma i Kazimiera Bujwidowa. Z tymi paniami Justyna rozkręca naprawdę aktywną działalność społeczną i oświatową. Działa też na polu medycznym – nie tylko wśród dzieci. Doktor Budzińska-Tylicka szerzy wiedzę o higienie, walczy z powszechnym alkoholizmem, myśli o kobietach i chce podjąć temat świadomego macierzyństwa, co wówczas było prawdziwym tabu.

W 1907 roku władze carskie ogłaszają amnestię i Tyliccy decydują się na powrót do Warszawy. Justyna musi nostryfikować dyplom i zaraz po tej formalności obejmuje etat lekarki w Szpitalu Świętego Ducha. Zajmuje się chorobami gardła i wewnętrznymi. W Warszawie na początku XX wieku jest mnóstwo wyzwań na niwie społecznej. Pełno tu chorych dzieci z biednych rodzin, wynędzniałych i umierających kobiet, alkoholików, pokątnych aborcji, które kończą się śmiercią. Szerzy się gruźlica. Doktor Budzińska-Tylicka czuje się powołana do tego, żeby poświęcić temu swój czas. Wstępuje do towarzystw zajmujących się losem kobiet i dzieci, organizuje odczyty o higienie, zakłada Klub Wioślarski dla kobiet. Działa także z pierwszymi polskimi feministkami na rzecz równouprawnienia kobiet.

Czas płynie szybko, a historia stawia następne wyzwania. W roku 1914 wybucha wielka wojna światowa. Justyna staje na czele szpitala dla rannych. Z jednym chirurgiem i dwudziestoma sanitariuszkami opiekuje się dwustu pięćdziesięcioma pacjentami. Nazywają ją „panią doktór” – każdy wie, o kogo chodzi. Organizuje wojenne pogotowie kobiece, uważa, że Polki nie chcą być biernymi widzami, pragną czynu, chcą wziąć udział w wyzwoleniu ojczyzny. Jest dumna z syna, który wstępuje do Legionów

Polskich. Staś Tylicki ma dwadzieścia trzy lata, jest patriotą, ma narzeczoną. Syn takich rodziców nie mógł się nie zaangażować w walkę o wolność ojczyzny, tak go wychowali rodzice. Płacą za to najwyższą cenę, gdyż w 1918 roku, kiedy już świta jutrzenka swobody, Staś pada ofiarą pandemii hiszpanki dziesiątkującej wojsko. Jego matka siwieje w ciągu kilku dni. Życie jednak toczy się dalej i Justyna może ratować swoją psychikę tylko przez rzucenie się w wir pracy i aktywność społeczną. Żona Stanisława, Paulina z Chrzanowskich, po otrząśnięciu się z żałoby poślubi Stefana Starzyńskiego, późniejszego prezydenta Warszawy.

Polska jest kobietą

Rok 1918, smutny dla doktor Budzińskiej-Tylickiej, staje się rokiem odrodzenia Polski. Jaka będzie ta Polska? Czy tak samo sprawiedliwa, jeśli chodzi o prawa dla kobiet i mężczyzn? Tego dopilnują kobiety z trzema najaktywniejszymi na czele: Aleksandrą Szczerbińską, później Piłsudską, Marią Turzymą i doktor Justyną Budzińską-Tylicką. Kiedy w listopadzie 1918 roku Józef Piłsudski zaczyna urzędowanie w Warszawie, grupa pań przypomina Naczelnikowi o swoim istnieniu, stukając w jego okno parasolkami. Delegacji przewodzi Budzińska-Tylicka. Dokument, który trzyma w ręku, mówi o tym, że dzielenie obywateli ze względu na płeć jest w nowoczesnym państwie przeżytkiem, że kobiety powinny mieć prawo głosu i możliwość wejścia do sejmu jako posłanki. Piłsudski, choć nie darował sobie żartu, że pewno zaraz zaordynują prohibicję, przyznał im rację. Polki otrzymały prawa wyborcze na posiedzeniu sejmu 28 listopada 1918 roku, wcześniej niż Francuzki, Szwedki czy Angielki. Polska jest kobietą, kobiety są w Sejmie i biorą czynny udział w budowaniu odzyskanej ojczyzny. Także w obronie, bo oto rok 1919 przynosi wojnę polsko-bolszewicką. Justyna Budzińska-Tylicka jest lekarzem Ochotniczej

Legii Kobiet, pracuje niemal na froncie, w Pułtusku zostaje komendantką szpitala. Dostaje stopień oficerski.

W okres Polski międzywojennej Justyna wchodzi jako kobieta dojrzała, z blizną w sercu po stracie syna i niestety jako rozwódka. Jej małżeństwo nie przetrwało dramatu rodzinnego, być może także niespożytej aktywności społecznej Justyny. A ona nie ustaje w działaniach: na rzecz kobiet, na rzecz społecznego zdrowia. Jest członkinią Polskiego Towarzystwa Medycyny Społecznej, zakłada Zrzeszenie Lekarek Polskich, a po godzinach udziela się w Związku Równouprawnienia Kobiet i Lidze Kobiet Pogotowia Wojennego. Tworzy Klub Polityczny Kobiet Postępowych. Wstępuje do PPS-u, prowadzi działalność oświatową wśród dziewcząt – uczy je higieny, namawia do sportu i zdrowego trybu życia. W latach dwudziestych są to postulaty bardzo nowatorskie – sądzono, że panna z dobrego domu nie powinna uprawiać sportu i wystawiać się na słońce, szczytem elegancji wciąż były: bladość, zwiewność, słabość i omdlenia. Tylicka protestowała przeciw temu gorąco, pisząc poradniki zdrowego życia i zapraszając kobiety do Klubu Wioślarskiego. Można ją nazwać pierwszą dietetyczką, bo w dobie, kiedy pokutowała teoria o nadrzędnej potrzebie dostarczania organizmowi białka, czyli mięsa, ona pisała o konieczności spożywania posiłków regularnie o tych samych porach dnia, podkreślała znaczenie śniadania, uważała, że ważna jest równowaga w składnikach żywienia, wskazywała na konieczność spożywania owoców, warzyw, czystej wody oraz mleka, a także – uwaga – apelowała o ograniczanie ilości mięsa w diecie.

Mimo że przez długie lata była zwolenniczką Piłsudskiego, po zamachu majowym i rozwiązaniu sejmu wycofuje dla niego swoje poparcie. Bierze udział w manifestacjach, za co spotyka ją rok więzienia. Po wyjściu na wolność wraz z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim rozpoczyna edukację

w dziedzinie planowania rodziny i antykoncepcji, by skończyć z „piekłem kobiet”. Kiedy zakładają Poradnię Świadomego Macierzyństwa, zostaje wykluczona z PPS-u za „promowanie zepsucia obyczajowego”.

Doktor Justyna Budzińska-Tylicka, przez całe życie postępowa, odważna i wierna swoim poglądom, wiele sił i entuzjazmu włożyła w walkę o sprawy kobiet. Z pewnością należała do najaktywniejszych i najskuteczniejszych osobowości kobiecych dwudziestolecia międzywojennego. Jest jedną z tych lekarek, którym Polki zawdzięczają bardzo wiele zarówno w kwestiach społecznych, jak i zdrowotnych. Zmarła nagle 8 kwietnia 1936 roku na udar mózgu.

Rozdział 6

Janina Bernasiewicz. Pani doktor w etoli

Janina Bernasiewicz, pierwsza ordynator, a przez pewien czas dyrektor Szpitala Psychiatrycznego w Choroszczy, pochodziła z Białegostoku. Była kobietą niezłomnego ducha i całe życie poświęciła chorym umysłowo. Brała udział w tworzeniu i modernizacji największej placówki psychiatrycznej na Podlasiu. Do dziś mówi się tu o niej z szacunkiem.

Uparta dziewczyna z Podlasia

Pierwsza specjalistka psychiatrii na Podlasiu należała do pokolenia, którym wyjątkowo targała historia. Rówieśnica dwudziestego stulecia urodziła się w Białymstoku w rodzinie buchaltera Henryka Kobylińskiego pracującego w Zarządzie Miejskim, czyli w rodzinie urzędniczej, która pragnęła dać dzieciom solidną edukację. Oczywiście w języku rosyjskim, bo Podlasie należało do zaboru rosyjskiego i gimnazja były tu tylko rosyjskie. Kiedy nadciągała pierwsza wojna światowa, Kobylińscy wyjechali na wschód, na Ukrainę. Dzieci – a było ich czworo: dwie dziewczynki i dwóch chłopców – pobierały nauki w Niżnym Nowogrodzie, Mariupolu i Odessie. Janka, trzecia z rzędu latorośl Kobylińskich, miała czternaście lat, gdy wojna

wybuchła, a osiemnaście, kiedy się skończyła. Na zdjęciach z czasów gimnazjalnych widnieje poważna dziewczynka z grubym warkoczem i w białym kołnierzyku.

Rok 1918 okazuje się szczęśliwy nie tylko dla świata, ale także dla Polski, która wraca na mapy Europy jako niezależne państwo. Rodzina Kobylińskich decyduje się wrócić do ojczyzny, do rodzinnego Białegostoku. Janka pragnie kontynuować studia, wybiera medycynę. W Rosji nie jest to już rzecz tak rewolucyjna, tu od połowy ubiegłego stulecia kształci się sporo kobiet lekarek, lecz w Polsce wciąż jest to pomysł śmiały, tym bardziej na Podlasiu. Lekarz to w głowie ludzi zwykle brodaty mężczyzna, kobietę widzi się raczej w roli pielęgniarki, asystentki doktora. Ale Sejm II RP uchwalił właśnie równość płci i na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego studiują już kobiety, wśród nich Irena Białówna, kuzynka z Białegostoku. Mimo to marzenie Janki wciąż wydaje się nierealne, tym razem ze względów prozaicznych – ojciec ciężko choruje, a rodzina cierpi na ciągły brak funduszy. Musi pomyśleć o pracy, przez trzy lata pracuje jako urzędniczka w białostockim ratuszu, sumiennie zbiera pieniądze na studia. Udaje się zebrać potrzebną sumę, ale Uniwersytet Warszawski nie chce uznać jej matury, bo zdawała ją po rosyjsku i w Odessie. Janka Kobylińska jest jednak osobą stanowczą, odważną i upartą. Nie będzie zdawała matury ponownie, nie jest jej winą, że kształciła się pod zaborem rosyjskim. Jedzie interweniować do samego ministra i składa oficjalną skargę na warszawską uczelnię. Władze oświatowe przyznają jej rację.

Janka zaczyna wymarzone studia w Warszawie. Jest rok 1921. Przed nią trudne lata, pełne wysiłku, często o głodzie i chłodzie, bo młoda studentka medycyny nie ma zbyt wiele dochodów, a rodziny nie chce obciążać. W 1926 roku wychodzi za mąż za kolegę z roku, Włodzimierza

Bernasiewicza. Ślub biorą w Lublinie, a po studiach oboje wybierają specjalizację psychiatryczną i podejmują pracę w Tworkach pod Warszawą. Dwa lata później do Janiny docierają wieści z rodzinnego Podlasia: w Choroszczy, miejscowości położonej niedaleko od Białegostoku, powstaje duży szpital – Białostocki Wojewódzki Szpital dla Psychicznie i Nerwowo Chorych. Twórcą i dyrektorem placówki jest doktor Stanisław Deresz, który szuka wykwalifikowanej kadry. Prawdopodobnie wie, że jedna z lekarek psychiatrii pochodzi z Białegostoku, w dodatku jej mąż także jest specjalistą w tej dziedzinie, więc proponuje małżeństwu Bernasiewiczów pracę. Młodych psychiatrów pociąga wyzwanie – tworzenie nowoczesnego szpitala dla chorych, którzy do tej pory często bywali lekceważeni. Przenoszą się do Choroszczy.

Janina Bernasiewicz jest pierwszą i przez wiele lat jedyną kobietą psychiatrą w tym szpitalu i pierwszą ordynator oddziału. Ostatnia dekada przed wybuchem następnej wojny światowej to dla niej czas najbardziej wytężonej pracy zawodowej. W tych latach w szpitalu wiele się dzieje. Systematycznie przybywa łóżek szpitalnych – w roku 1934 jest ich już osiemset. Władze szpitala próbują eksperymentalnej metody aneksyjnego leczenia pacjentów, czyli umieszczania ich w rodzinach zamieszkujących okoliczne wsie. Po raz pierwszy stosowana właśnie tutaj przynosi znakomite rezultaty i będzie wykorzystywana jeszcze długo po drugiej wojnie światowej.

Szpital się rozrasta i zaczyna stanowić mały odrębny organizm. Ma własne laboratorium, aptekę, gabinet stomatologiczny, kaplicę, prosektorium, elektrownię, ciepłownię i wodociąg. Leczy się tu głównie schizofrenię, ale także padaczkę, porażenia o różnej etiologii, niedorozwój umysłowy i różnorodne zaburzenia umysłowe. Do prekursorskich metod należy terapia zajęciowa – szpital ma własny folwark, a pacjenci zdolni do

pracy pomagają w pracach ogrodniczych i rolniczych. Mają własne ryby ze stawu, owoce i warzywa z sadów, miód od pszczół, mleko i mięso z hodowli. Państewko w Choroszczy funkcjonuje tak prężnie, że nadwyżki energii elektrycznej i płodów rolnych może odstępować miastu. Zresztą w jednym ze szpitalnych budynków działa szkoła powszechna, a kadra medyczna wspomaga głodne i chore dzieci. Z dziećmi chętnie pracuje jedyna lekarka w zespole. Oprócz pracy w szpitalu pani doktor zajmuje się trudną młodzieżą w poradni w Białymstoku. Własnych dzieci nie miała, więc oddała się aktywnej pracy i musiały to być najszczęśliwsze chwile w jej życiu.

Janina była kobietą piękną i elegancką. Zachowane fotografie pokazują szczupłą, uśmiechniętą damę w stroju i fryzurze z lat trzydziestych. Na jednej z nich siedzi na szpitalnym parkanie w etoli, bo zima, w tle widać śnieg, na innej widzimy ją na statku obok męża i kilku osób z personelu. To rejs do Francji w 1938 roku – kadra szpitala płynie po odbiór polskich pacjentów chorych psychicznie, których Francuzi chcą się pozbyć. Doktor Bernasiewicz otula się ulubioną etolą. To futrzane okrycie będzie jej nieść pociechę w późniejszych trudnych chwilach.

Pani doktor w randze kapitana

Lata płyną szybko, nadchodzi rok 1939. Znowu wojna. Nikt nie wierzy, że może się okazać gorsza od pierwszej, a jednak. Wszystkie wojny są okrutne dla pacjentów szpitali, a placówek psychiatrycznych najbardziej. Jeszcze w sierpniu do szpitala w Choroszczy Warszawa ewakuuje czterystu pacjentów ze Szpitala Jana Bożego.

We wrześniu 1939 roku na Białostocczyznę wkraczają Sowieci. Wprawdzie zostawiają w spokoju szpital jako placówkę, ale uderzają

w kadrę. Aresztują wielu lekarzy, między innymi Włodzimierza Bernasiewicza, a jego żona dostaje eksmisję ze służbowego mieszkania przy szpitalu. Zajmuje go nowy dyrektor. Doktor Janina nadal leczy i czeka na powrót męża, może jeszcze ma nadzieję, że jakoś przetrwają wojnę. Daremnie – doktor Bernasiewicz nie przeżył przesłuchania przez NKWD. Jego małżonka dostaje tylko zawiadomienie o śmierci i ubranie męża. Żadnych wyjaśnień ani informacji o zmarłym i miejscu pochówku.

Na początku 1940 roku Janina zostaje aresztowana tak jak inni pracownicy szpitala i wywieziona w głąb Rosji, do Kazachstanu. Głód, nędza, nieznany klimat odległego kraju. Ale ludzie są tu życzliwi i dzielą się tym, co mają: skórkami chleba, znoszonym ubraniem, dobrym słowem. Jedynie krajobrazy stepu są naprawdę piękne – zwłaszcza słynny zielony zachód słońca. Jest ciężko. Doktor Bernasiewicz głoduje jak wszyscy. Pomaga jej przetrwać jedyna rzecz, którą udało jej się ocalić – etola z przedwojennych czasów. Pachnie perfumami z Francji i budzi wspomnienia. Przy życiu trzyma ją praca, bo ma pacjentów. Oprócz towarzyszy niedoli leczy też tubylców, potem obejmuje oddział neuropsychiatryczny w miejskim szpitalu w Andiżanie.

W 1941 roku pakt Sikorski-Majski uwalnia tysiące polskich zesłańców. Ciągną z Syberii i Kazachstanu, z łagrów i więzień na zachód, byle tylko wyjść z ZSRR. Wśród nich idzie doktor Janina Bernasiewicz, która zgłasza się do pracy we wszystkich napotkanych placówkach. W Teheranie pracuje w szpitalu cywilnym, wojskowym szpitalu PCK. Placówki medyczne wszędzie przekształcają się w szpitale wojenne, jeden z nich podąża za armią generała Władysława Andersa jako Szpital Wojenny nr 4, a wraz z nim doktor Janina Bernasiewicz, już w stopniu kapitana. Prawdziwy szlak bojowy: przez Iran, Irak, Palestynę i Egipt. Pokój zastaje ich w Wielkiej Brytanii. Na zdjęciach z tych czasów Janina ma na sobie mundur

podporucznika lądowych Polskich Sił Zbrojnych pod wodzą generała Stanisława Maczka. Przebywa na terenie szpitala wojennego w Anglii. Za czyny dokonane podczas drugiej wojny światowej w 1946 roku odznaczono ją medalem przyznawanym żołnierzom wojsk lądowych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. W marcu 1947 roku otrzymuje brytyjskie odznaczenie The War Medal 1939–1945. Uhonorowana, lecz samotna zastanawia się, co dalej. Zostać w Anglii czy wracać do kraju? Wieści z ojczyzny nie zachęcają, powracających ze „zgniłego zachodu" i walczących w gorszej ideologicznie armii czekają szykany i aresztowania. Ale część rodziny przetrwała wojnę i jest na Podlasiu. Szpital w Choroszczy, który współtworzyła, z pewnością znów zacznie działać. Zapewne doszły ją słuchy o tragicznych losach pacjentów. W grudniu 1940 roku Armia Czerwona przejęła szpital i chorych wywieziono transportami do Rosji – od Mińska po daleki Kursk. Większość zesłańców, pozbawiona opieki i leczenia, nie przeżyła zsyłki. Tych, którzy zostali, a także pacjentów umieszczonych w rodzinach opiekuńczych czekał tragiczny koniec, kiedy nastała okupacja niemiecka. Niemcy poddali chorych „ewakuacji", czyli wywozili ich furmankami do lasu i zabijali. Chorych psychicznie uważali za „balast społeczeństwa" i „istoty niewarte życia"[14]. Rozstrzelali wszystkich w lesie koło wsi Nowosiółki. W szpitalu umieścili swoich jeńców wojennych.

Od nowa

Doktor Janina Bernasiewicz nie czuje się dobrze na emigracji i decyduje się na powrót do kraju. Sprzyja jej fakt, że wiceministrem zdrowia jest jej kolega ze studiów, Jerzy Sztachelski, może liczyć na przydział do pracy, a nie polityczne szykany. Szpital w Choroszczy zastaje w odbudowie, a jego dyrektor Bohdan Szymborski wita ją z otwartymi ramionami,

mianuje ordynatorem i przydziela jej służbowe mieszkanie. Kiedy Szymborski odchodzi, doktor Bernasiewicz przez sześć lat sprawuje funkcje tymczasowego dyrektora placówki.

Lata pięćdziesiąte to trudny politycznie czas w Polsce, z pewnością bolesny dla żony lekarza zamordowanego przez NKWD. W dokumentach musi pisać: „Mąż zaginiony podczas wojny”. Nie może przeboleć, że jej siostra Maria wyszła za mąż za Rosjanina i została w Związku Radzieckim. Janina nie ma z nią żadnego kontaktu. Siostrze nie wolno porozumiewać się z rodziną w Polsce. Doktor Bernasiewicz nie chce kierować szpitalem, monituje do władz o zmianę i kiedy w 1953 roku dyrektorem zostaje doktor Stanisław Skibski, z chęcią przekazuje mu stanowisko. Pragnie leczyć i mimo że „politycznie nieujawniająca się”, niezaangażowana ideologicznie może pracować, bo powojenna Polska cierpi na brak lekarzy w każdej specjalizacji medycznej, także w psychiatrii.

Następne dziesięciolecia upływają Janinie na pracy z pacjentami, których nigdy nie pozwala nazywać wariatami, lecz ludźmi psychicznie chorymi. Rozumie ich dobrze, dostaje od nich prezenty: laurki, rzeźby z chleba, własnoręczne rysunki. Potrafi postępować z pacjentami, czego dowodem jest przygoda, która stała się anegdotą. Otóż kiedy jeden z pacjentów w szpitalu gonił ją z nożem, odwróciła się i ze spokojem powiedziała: „Kuchnia jest tam”. „O, dziękuję” – odparł pacjent. Uspokoił się i poszedł do kuchni.

Szpital w Choroszczy się rozrasta i staje się największą tego typu placówką na Podlasiu. Wskrzesza przedwojenne inicjatywy szpitalne, jak choćby wspomniany model „opieki domowej”. Wychodząc z założenia, że w leczeniu chorób psychicznych oprócz życzliwości ważne są otoczenie i środowisko chorego, a także codzienne zajęcia, znów powierza lżej chorych pod opiekę rodzin z okolicznych miejscowości. Rodziny te dostają

wynagrodzenie, chorzy czują się lepiej niż w szpitalu, a personel przychodzi z wizytami kontrolnymi – sprawdzić, jak się pacjent miewa, w jakich warunkach żyje i czy nie należy zmienić leków. W miarę możliwości chorzy pomagają w pracach, bo „oni silni i zdrowi, tylko ich głowy nie za bardzo” – jak mawiają ludzie ze wsi.

Wiek XX płynie, pamięć o wojnie blednie. Kolejne dekady są dla doktor Janiny Bernasiewicz latami pracy i działalności w PCK, Lidze Kobiet, związkach zawodowych. Jako że nie dopisuje jej zdrowie, w latach sześćdziesiątych przechodzi na rentę. Umiera 27 grudnia 1987 roku w szpitalu w Choroszczy. Podczas obchodów trzydziestolecia powstania tej placówki odsłonięto tablicę ku jej pamięci, a VI oddział ortopsychiatryczny otrzymał imię Doktor Janiny Bernasiewicz.

Dziękuję Miejskiej Bibliotece Publicznej w Choroszczy za udostępnienie materiałów o doktor Janinie Bernasiewicz.

---

14 Karl Binding, Alfred E. Hoche, *Die Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Lebens. Ihr Maß und ihre Form* [Wydanie zniszczeniu istot niewartych życia], Verlag Felix Meiner, Lipsk 1922.

Rozdział 7

Don Kichot w spódnicy, czyli Bronisława Dłuska z domu Skłodowska

Cały świat zna nazwisko jej siostry – Marii Skłodowskiej-Curie, dwukrotnie uhonorowanej Nagrodą Nobla. Jednym z osiągnięć uczonej jest Instytut Radowy zbudowany w Warszawie w międzywojniu. Nie powstałby jednak, gdyby nie Bronisława Dłuska, pierwszy dyrektor tej placówki, jedna z pierwszych kobiet ginekolożek we Francji i w Polsce, aktywna działaczka społeczna i patriotka. Warto o niej pamiętać tak jak o sławnej siostrze. Były sobie bardzo bliskie i całe życie mocno się wspierały.

Brońcia

Skłodowscy herbu Dołęga mieszkają przy ulicy Freta w Warszawie. Są typowymi przedstawicielami polskiej inteligencji wywodzącej się z ziemiańskiej szlachty, która w drugiej połowie XIX wieku musiała się utrzymywać, korzystając ze swojego wykształcenia. Oboje są nauczycielami: żona prowadzi pensję, mąż uczy w gimnazjum męskim. W latach sześćdziesiątych na świat przychodzą ich dzieci: syn Józef i cztery córki. Skłodowscy bardzo dbają o ich wykształcenie, chcąc zapewnić im

dobrą przyszłość. Jak na pozytywistów przystało, wierzą w wartość wiedzy. W Polsce jest ciężko, postępuje rusyfikacja, kładą więc nacisk na języki obce, zwłaszcza francuski. W domu Skłodowskich panuje kult nauki, polskości i więzi rodzinnej. Dzieciństwo w kamienicy przy ulicy Freta przebiega szczęśliwie, dopóki w latach siedemdziesiątych rodziny nie zaczną trapić choroby i tragedie.

Najpierw gruźlica – zmora tych czasów – atakuje matkę, piękną, delikatną panią Bronisławę. Musi wyjechać na leczenie do Szwajcarii, jej obowiązki przejmuje córka imienniczka, zwana Brońcią, lat niespełna osiem. Jest opiekunką młodszych sióstr, Heli i Marysi, gotuje im i opowiada bajki na dobranoc. Następny cios uderza w finanse rodziny – Skłodowski traci pracę i oszczędności, bo fatalnie zainwestował w młyny. Muszą się przeprowadzić do tańszego lokum i wynajmować pokoje studentom. W trudnych warunkach mieszkaniowych rodzinę dotyka następna choroba – tyfus. W 1876 roku na dur brzuszny umiera Zosia, najstarsza z córek, co podkopuje zdrowie wciąż zmagającej się z gruźlicą matki, która dwa lata później umiera. Teraz najstarsza jest Brońcia. Ma trzynaście lat i na nią spada obowiązek zajęcia się gospodarstwem i rodziną. Prowadzi dom, świetnie gotuje, ceruje pościel, dba o garderobę sióstr. Prowadzi księgi rachunkowe ojca, sama dorabia korepetycjami. Bezradność wobec choroby najbliższych rodzi w niej pragnienie zostania lekarzem.

Władysław Skłodowski zarabia, gdzie może, stara się kształcić dzieci. Z synem nie ma kłopotu – w odpowiednim czasie Józef, który skończył gimnazjum ze złotym medalem, zdaje na medycynę i zostanie znanym warszawskim lekarzem w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Ale wszystkie trzy dziewczynki pragną się uczyć. One także kończą gimnazjum ze złotymi medalami. Helena kocha matematykę, Marysia chemię i fizykę, a Bronia

chce zostać lekarzem. Ojciec siwieje ze zmartwienia – jego córki mają ambicje nie do zrealizowania w czasie, w jakim przyszło im żyć. Uniwersytet w Warszawie nie przyjmuje kobiet na studia medyczne, uczelnia w Petersburgu akurat w tych latach także nie. Pozostaje Sorbona, ale Paryż jest daleki i taka edukacja kosztuje. Dodatkowym problemem jest podróż – w tych czasach młode kobiety nie podróżują samodzielnie po świecie. Panny Skłodowskie nie są jednak przeciętnymi pannami, to pozytywistki, wierzą w naukę i w to, że świat trzeba poprawiać. Bronia i Maria zawierają układ: starsza jedzie pierwsza, będzie studiować medycynę, a młodsza pójdzie do pracy jako guwernantka, żeby opłacić studia siostry. Będzie jej wysyłać połowę swoich zarobków. Za to kiedy Bronka zostanie już panią doktor, Maria przyjedzie do niej do Paryża studiować. I tak w roku 1885 Bronisława wyjeżdża do stolicy Francji. Towarzyszy jej przyjaciółka Maria Rakowska, we dwie zawsze raźniej. Jadą dwa dni i dwie noce, drzemiąc na składanym krzesełku w czwartej klasie i okrywając się kocem zabranym z domu. Chłód, niewygoda – to wszystko nic, bo czekają je: wielka przygoda, uczelnia, wolność, nauka, ideały…

Studentka z Polski

Paryż, 3 rue Flatters, na obrzeżu dzielnicy łacińskiej. Biednie, ale blisko na zajęcia, mnóstwo tu Polaków, no i w uboższej części miasta łatwiej zagospodarować te skromne pół pensji Marii. Jasnowłosa Bronisława z Polski po raz pierwszy może pomyśleć o sobie, poczuć się młoda i zaczerpnąć powietrza pełną piersią. Oto spełnia się jej marzenie: jest studentką. Zdaje dodatkowe egzaminy z łaciny i greki, wkuwa na pamięć słownik języka francuskiego Emila Littré, biega między instytutami histologii i anatomii, bez omdlenia bierze udział w zajęciach

w prosektorium, gdzie przeprowadza się sekcje zwłok kloszardów. Program uczelni jest wymagający: eksperymenty na zwierzętach, mnóstwo do zapamiętania. Na zajęciach z położnictwa obserwują nawet poród na sali wykładowej: profesor na oczach studentów przyjmuje dziecko i omawia kolejne etapy procesu. Pracy jest ogrom, ale dziewczyna z Warszawy imponuje kolegom swoją wiedzą i postawą. Zresztą studentki ze Wschodu cieszą się wśród Francuzów dobrą opinią. Panuje tu przekonanie, że są pracowitsze niż Francuzki i Angielki, obdarzone silną wolą i nie obawiają się przeciwności losu: mimo głodu studiują. Pismo „La Fronde” nazywa je „Don Kichotkami”: „Studentki z Polski i Rosji twardo znoszą cierpienie, są odporne na tysiące materialnych niedostatków. Nie są kokietkami, poważnie podchodzą do studiów, nocami czytają książki, (…) wszystkie z entuzjazmem marzą, by wnieść swój udział do budowy ideału szlachetności i solidarności”[15]. Kosztuje to Bronisławę wiele wysiłku i nieprzespanych nocy, ale w 1890 roku pisze do Polski: „Medycyna moja idzie daleko lepiej niż się spodziewałam, ze względu na obcy język i uprzedzenia do kobiet. (…) Zdrowie mi świetnie dopisuje, pomimo prosektorium i powietrza szpitalnego. Nawet oczy moje, dosyć słabe z natury, zupełnie dobrze się trzymają, pomimo nauki przy lampie”[16].

Bronia nieustannie snuje plany przyjazdu siostry do Paryża. Marzenie staje się realne, bo w 1890 roku ojciec, Władysław Skłodowski, podejmuje nową i dobrze płatną pracę: zostaje dyrektorem domu poprawczego w Warszawie. Przejmuje od Marii opłacanie studiów Broni, stać go także na jej edukację. Maria jednak nie spieszy się do Paryża, bo przeżywa zawód miłosny. Młody Kazio Żorawski, syn zamożnych ziemian, u których pracowała jako guwernantka, zawładnął jej sercem. Cóż z tego, że z wzajemnością – Żorawscy nie zgodzili się na niezamożną synową, a syn się nie zbuntował. Maria próbuje ratować swoją miłość, ale bezskutecznie.

Bronia wspiera siostrę z całych sił, nawołuje ją w listach, by zajęła się sobą i swoją karierą, by przyjechała do Paryża. Sama w miłości ma więcej szczęścia: spotyka interesującego Polaka, Kazimierza Dłuskiego, znanego na emigracji działacza, patriotę. Kazio jest starszy o dziesięć lat, w Paryżu miał zostać dyplomatą, lecz rosyjska ambasada blokuje karierę znanego antycarskiego wywrotowca. Wówczas Dłuski wybiera medycynę. Chce być pulmonologiem, specjalizuje się w leczeniu gruźlicy. Studiuje rok wyżej niż Bronia i kiedy tylko kończy studia, młodzi zakochani zapaleńcy, podobni w poglądach, biorą ślub w merostwie przy Place du Pantheon we wrześniu 1891 roku. W tej uroczystej chwili towarzyszy Broni rodzina: ojciec i siostry, wszyscy przyjechali z Polski. Maria ciekawie rozgląda się po Paryżu. Dłuscy mieszkają w biedniejszej, przemysłowej dzielnicy, ale mieszkanie jest spore.

Bronia ponownie zaprasza Marię, a gdy ta wreszcie wyraża chęć przyjazdu, osobiście rusza po nią do Warszawy, by pomóc siostrze spakować kufer, wysłać pocztą buty, suknie i kapelusze oraz dopilnować, by siostra się nie rozmyśliła. Jedzie po nią, mimo że jest w ciąży, wracają razem. Maria zaczyna studia na Sorbonie i rzuca się w wir naukowych badań, które przyniosą jej sławę i Nagrody Nobla. Tymczasem dostaje zaciszny pokoik w domu siostry, w drugim Kazimierz Dłuski przyjmuje pacjentów. Bronisława pod koniec 1891 roku rodzi córkę Helenę i zapewne doświadczenie macierzyństwa utwierdza ją w wyborze specjalizacji. Zajmie się ginekologią, położnictwem i obroni pracę doktorską o dobroczynnym wpływie karmienia piersią na rozwój niemowlęcia. Doktorat jest konieczny, by mogła podjąć praktykę lekarską. Absolwentki medycyny bez doktoratu kończą karierę, sprzedając kosmetyki. To nie dla Broni, orędowniczki świadomego macierzyństwa i karmienia piersią. Temat jej pracy wcale nie jest oczywisty w końcu XIX wieku, kiedy szalenie modne jest karmienie

niemowląt z „butelki Roberta” (wynalazek Eduarda Roberta). Biedniejsze kobiety pracują w fabrykach, zamożniejsze nie chcą się obciążać obowiązkami i często opłacają mamki, ale „mleko matki jest święte”, jak grzmi Adolphe Pinard, promotor Bronisławy, a ona hołduje temu jako lekarka i jako młoda matka.

Kiedy córeczka kończy rok, Bronisława podejmuje pracę i badania w paryskiej klinice pod dyrekcją wspomnianego Pinarda. W nowoczesnym szpitalu uczy się, jak cenna jest aseptyka i opieka prenatalna nad ciężarnymi, na przykład oddzielenie położnic chorych na gruźlicę od zdrowych. Nowoczesne metody dają wyniki – w klinice Pinarda umieralność kobiet na gorączkę połogową spada do minimum. Bronia oddaje się pracy. Może praktykować dzięki pomocy matki Kazimierza, która zajmuje się Helą. Otwiera prywatny gabinet – przy ulicy Châteaudun nr 39, w prestiżowej dziewiątej dzielnicy Paryża (w pobliżu dworca Saint Lazaire). „Pani doktor B. Dłuski – poniedziałki, środy i piątki – choroby kobiece i położnictwo” – głosi nagłówek na papierze firmowym. I w tym także jest pionierką, bo gabinetów prowadzonych przez kobiety dla kobiet właściwie we Francji nie ma. Do doktor Dłuskiej coraz chętniej udają się zamożne paryżanki, a także szwaczki, praczki, maszynistki i tak zwane Loretanki, czyli paryskie prostytutki, ponieważ *la doctresse* nie odmawia pomocy nikomu. Istnieje nakaz rządowy regularnego badania kobiet z domów publicznych. Doktor Dłuska spełnia ten obowiązek, a damy lekkich obyczajów nazywają wziernik „penisem rządu”. Bronisława niewiele może im pomóc – choroby weneryczne rozprzestrzeniają się bez trudu, właściwie nie ma antykoncepcji, a „smutne kobiety”, jak nazywa swoje pacjentki z domów publicznych, często umierają na syfilis lub wskutek pokątnej aborcji.

Kazimierz jako lekarz okręgowy przyjmuje w swoim gabinecie biedne pacjentki niejako „z urzędu”. Żona pomaga mu w gabinecie, bardzo angażując się w pracę: odbiera porody, edukuje, leczy matki i dzieci, propaguje dobrodziejstwo karmienia piersią. A przy tym prowadzi otwarty dom – jej salon odwiedzają i dyskutują sytuacje polityczną Polacy, którzy wkrótce zapiszą się w historii: Władysław Grabski, Ignacy Mościcki, Józef Piłsudski. Ojcem chrzestnym Helenki Dłuskiej jest Ignacy Paderewski. Lubią tu być: Bronisława znakomicie gotuje polskie potrawy, Kazimierz gra na pianinie, dyskusje trwają czasem po sam świt. W 1895 roku mają kolejną uroczystość rodzinną: Maria wychodzi za mąż za naukowca Piotra Curie. Bronia ma nadzieję, że jej siostra będzie szczęśliwa u boku zapaleńca takiego jak ona sama. Młodzi ruszają w podróż poślubną na rowerach, a Bronia z mężem coraz bardziej marzy o powrocie do kraju.

Zakopane

Pod koniec XIX wieku Dłuscy decydują się na powrót do ojczyzny. W 1898 roku jeszcze w Paryżu rodzi się im syn Jerzy, zwany Zieziem, a rok później ma miejsce wielka przeprowadzka. Wybierają Galicję, bo w zaborze rosyjskim nie mają czego szukać – wywrotowa działalność Kazimierza skutkowałaby aresztowaniem i zsyłką. Bronisława jako pierwsza kobieta nostryfikuje swój dyplom na Uniwersytecie Jagiellońskim i wspólnie z rodziną zaczyna nowe życie w Zakopanem. Mają wielkie marzenie: zbudować tutaj, pod Tatrami, duże nowoczesne sanatorium przeciwgruźlicze. Miejscowość jest już sławna jako unikatowy kurort, działa tu mistrz chirurgii Tytus Chałubiński, na wypoczynek i górskie wędrówki zjeżdżają wybitne osobowości epoki. Bronia, pełna entuzjazmu, ubolewa jedynie nad rozstaniem z siostrą, ale pociesza się, że Maria i Piotr odwiedzą ich w Zakopanem. Zjazd rodzinny Skłodowskich i Dłuskich ma

miejsce latem 1899 roku. Zachowało się zdjęcie rodziny – jak widokówka z epoki, ostatnia kartka kalendarza XIX wieku. Panowie w garniturach, z poważnymi bródkami, panie w sukniach z talią osy, Maria w czarnej, Bronisława w kraciastej, z włosami spiętymi na czubku głowy. Najmłodsza z sióstr, jasnowłosa Helena Skłodowska-Szalay, nauczycielka i działaczka pedagogiczna, siedzi po lewej stronie. Być może zdjęcie wykonał jej mąż, Stanisław Szalay, zapalony fotograf Tatr, tłumacz podręcznika o fotografowaniu, chemik. Zjechali się z Paryża i z Warszawy w gościnę do Dłuskich. Po strojach i postawie nie widać, jak postępowe są te kobiety i że dokonały czynów wykraczających poza ich epokę. Nie przeczuwają jeszcze czekających je dramatów, mają mnóstwo planów.

Dostojne Tatry stają się świadkiem budowy nowoczesnego sanatorium dla chorych na gruźlicę. Ma mieć elektryczność i bieżącą wodę, własną ciepłownię i aptekę. Powstaje piękny czteropiętrowy budynek z windami i pokojami wystawionymi na słońce. Są tu gabinety zabiegowe i konsultacyjne, laboratorium, a nawet sala operacyjna. I sala koncertowa, i scena teatralna, żeby umilać kuracjuszom życie. Finansowo budowa czerpie z datków przekazywanych na fundusz założony przez Kazimierza. Darczyńcami są Maria i Piotr Curie, pomagają brat Józef Skłodowski oraz znani Polacy: Ignacy Paderewski, Henryk Sienkiewicz. Dłuscy budują, a osobą zarządzającą przedsięwzięciem jest Bronisława, później dyrektor administracyjny placówki.

W 1903 roku Bronia cieszy się z wielkiego sukcesu Marii i Piotra Curie, którzy otrzymują Nagrodę Nobla. To wielki zaszczyt i dopełnienie ambicji zawodowych, ale w tym samym roku siostry przeżywają też tragedie: najpierw Maria rodzi przedwcześnie dziewczynkę, która umiera zaraz po porodzie, a po kilku miesiącach pięcioletni syn Bronisławy i Kazimierza umiera na pogruźlicze zapalenie opon mózgowych. Czyżby obie zapłaciły

tak wysoką cenę za swoje pasje? Czarna seria trwa, gdyż w 1906 roku Piotr Curie ginie w wypadku potrącony w Paryżu przez konny wóz ciężarowy. Maria rozpacza tak bardzo, że Bronia, bojąc się o jej zmysły, jedzie do Paryża, by ją pocieszać. Na jej oczach siostra wyciąga z ukrycia schowane ubranie Piotra z chwili wypadku: zaschnięta krew, resztki mózgu. Siostry palą ubranie w kominku, jakby dokonywały rytuału zamknięcia żałoby. Wspierają się, lecz obie znają jedną tylko receptę na ból – praca, aktywność, działalność na rzecz innych ludzi. Maria obejmuje katedrę po mężu i poświęca się naukowym badaniom, które przyniosą jej drugiego Nobla.

Tymczasem Bronisława i Kazimierz biorą się do budowy własnego domu w Zakopanem (dotąd mieszkali w sanatorium). Modrzewiową willę Dyrektorówkę projektuje im Stanisław Witkiewicz. Dom jest potrzebny, bo Dłuskich nadal łączą wspólne poglądy, pasja, duma z siebie nawzajem, ale coraz trudniej im się wiedzie z miłością. Oddalili się od siebie, do Broni dotarły nawet plotki o kochankach Kazimierza i jego nieślubnym synu. Odsuwa te myśli – mają tyle wspólnego, oboje kochają to miejsce, tu pochowali synka. Proponuje kolejną inicjatywę związaną z pięknem i kulturą regionu – budowę Muzeum Tatrzańskiego. Poza tym wieją wichry historii, mówi się o odzyskaniu niepodległości. W Dyrektorówce bywa Józef Piłsudski. Dłuski blisko z nim współpracuje, bierze udział w konferencjach i spotkaniach dyplomatycznych. W czasie wojny Dłuscy będą wspierać Legiony Polskie i przyjmować rannych w swoim sanatorium. Mają problemy z córką – Helena, taterniczka, jedna z pierwszych kobiet, które przecierają tatrzańskie szlaki, doznaje groźnego wypadku podczas próby wejścia na Kominy Strążyskie. Życie ocali jej szybka akcja Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, założonego zresztą przez jej ojca. Urazy głowy i nóg są na tyle poważne, że Helena nie

odzyskuje pełni sprawności, trapią ją zaburzenia psychiczne, depresja, ma napady histerii. Obraca się w towarzystwie, które nie podoba się rodzicom, dochodzą ich słuchy o narkotykach. Leczy się w szpitalu psychiatrycznym w Krakowie, potem w Warszawie. Sytuacja rodzinna i historyczna motywuje Dłuskich do życiowych decyzji. W 1918 roku, w obliczu wolnej ojczyzny i nowych zadań Kazimierza, opuszczają dom w Zakopanem i przenoszą się w okolice Warszawy, do Anina.

Wolna ojczyzna

Dom w Aninie dostaje nazwę Kacza Kałuża. Bronisława znów z optymizmem patrzy w przyszłość. Zaczynają się lata dwudzieste, tyle jest do zrobienia. Marzy jej się tutaj, pod Warszawą, sanatorium przeciwgruźlicze na wzór tego, które zbudowali w Zakopanem. Myśli też o ośrodkach pomocy ubogim dzieciom i sierotom. Rok 1921 wymierza Dłuskim kolejny cios – jedyna córka Helena, która wyjechała do USA, by zmienić środowisko i nabrać sił, odbiera sobie życie. Nie będzie mieć nawet pogrzebu, bo jej prochy nie docierają do ojczyzny. Bronisława podupada na duchu, długo nie może dojść do siebie. Straciła dzieci, nie pozostaje jej nic innego, jak poświęcić resztę życia ratowaniu innych. Dom w Aninie przeznacza na ośrodek dla sierot, zwany na cześć córki Helenowem. Z Aleksandrą Piłsudską buduje Olin – ośrodek wakacyjny dla ubogich dzieci w Otwocku.

Doktor Dłuska jeździ do Paryża do siostry. Maria też odwiedza Polskę. Marzy się im Instytut Radowy w Warszawie, taki jak w Paryżu, by również tutaj prowadzono badania nad chorobami nowotworowymi i pomagano chorym onkologicznie. Bronisława zakasuje rękawy. W sprawie funduszy odwołuje się do narodu: pocztówki z odezwą noblistki przynoszą ponad

dwa miliony złotych. Kamień węgielny wmurowują już w latach dwudziestych. Bronisława bardzo angażuje się w budowę instytutu – widzi go w marzeniach: miejsca dla pacjentów, płatne dla zamożnych, darmowe dla biednych. Jest duszą przedsięwzięcia i to ona doprowadza do tego, że w maju 1932 roku można otworzyć podwoje szpitala. Laboratoria są jeszcze w budowie, ale gros prac już wykonano. Doktor Dłuska zostaje pierwszym dyrektorem Instytutu Radowego przy ulicy Wawelskiej (dziś znajduje się tam Instytut Onkologii). Kierownictwo medyczne obejmuje Franciszek Łukaszczyk, młody onkolog z Zakopanego, kształcony we Francji. Bronisława gorąco go rekomenduje i wspiera, mimo że powiadają, że doktor jest nieślubnym synem jej męża. Bronisława Dłuska jest ponad to: liczy się, że jest świetnym fachowcem, potrzebnym pacjentom Instytutu.

Tylko świat wokół doktor Dłuskiej pustoszeje: Kazimierz choruje, właściwie nie doszedł do siebie od czasu śmierci Heleny i w roku 1930 umiera. Dyplomata, działacz, wybitny pulmonolog pragnie być pochowany w Zakopanem obok grobu synka. W latach trzydziestych w życiu Bronisławy mnożą się pożegnania: Maria umiera w Paryżu w 1934 roku, Józef trzy lata później. Sama Bronia ma siedemdziesiąt cztery lata. W świecie znów wrze, mówią o następnej wojnie, ale Bronisława Dłuska z domu Skłodowska nie doczeka jej wybuchu. Umiera w kwietniu 1939 roku. Warszawiacy żegnają ją z honorami. Została pochowana w rodzinnym grobowcu Skłodowskich na Powązkach.

---

15 Ewa Olkuśnik, *Bronia, która ogarniała rzeczywistość. Barwne życie Bronisławy Dłuskiej*, https://www.historiaposzukaj.pl/wiedza,osoby,992,osoba_bronislawa_dluska.html

16 Natacha Henry, *Uczone siostry*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2016.

Rozdział 8

Oddana dzieciom. Doktor Irena Białówna

Na koniec wspomnienie skromnej lekarki, jednej z czołowych postaci medycyny białostockiej. Niewiele wiemy o prywatnych przeżyciach kobiety, która całe swoje życie poświęciła małym pacjentom z Podlasia. Wnuczka białostockiego lekarza Jana Kobylińskiego, całkowicie oddana miastu i pracy, tak naprawdę zbudowała pediatrię w tym regionie. Nie miała dzieci i zarazem miała ich mnóstwo. Wielu dorosłych dziś białostoczan zawdzięcza jej życie, wielu nosi wspomnienie pani doktor Białówny, która leczyła ich w dzieciństwie.

Z Rosji do Polski

Rodzice Ireny Białówny należeli do tych licznych Polaków, którzy za caratu jechali na wschód, do dalekich rosyjskich guberni, by szukać pracy. Ojciec był inżynierem kolejnictwa, matka nauczycielką, społecznicą i patriotką. Kazimiera Biały z Kobylińskich poza pracą i działalnością społeczną wychowała pięcioro dzieci – w tym Irenę, która przyszła na świat w odległym Carycynie, przemianowanym później na Wołgograd. Urodziła się w 1900 roku. Zaczynał się nowy wiek i dziewczynka miała przeżyć

ponad osiem dekad tego dziwnego stulecia – większość w Białymstoku, który pokochała, chociaż się tu nie urodziła.

Droga Białówny do medycyny była nieco odmienna niż innych opisywanych tu bohaterek, borykających się z poszukiwaniem zagranicznych uczelni, ponieważ polskie uniwersytety nie przyjmowały kobiet. Rosyjskie owszem, a że Irena zdała maturę w Jelcu, bez problemu zaczęła studia w Woroneżu. Kiedy po roku 1920 rodzice zdecydowali się wrócić do Polski, przyjechała z nimi. Osiedli w Warszawie i tam na Uniwersytecie Warszawskim Białówna podjęła studia na wydziale lekarskim. Nie bez przeszkód, gdyż dla odmiany polski uniwersytet nie chciał uznać rosyjskiej matury i dziewczyna zdawała ją jeszcze raz, po polsku. Musiała się zastanawiać nad paradoksami historii, ale poddała się im dla ukochanej medycyny. Studia ukończyła w 1927 roku. Proponowano jej pracę naukową, lecz odmówiła. Miała inny plan – postanowiła związać swoje życie z rodzinnym miastem matki, w którym przez wiele lat praktykował jako lekarz jej dziadek, doktor Jan Kobyliński.

Młoda pani doktor, ciemnowłosa, ciemnooka, ze świeżym dyplomem doktora wszech nauk lekarskich, przybywa do Białegostoku pod koniec lat dwudziestych. Chce być pediatrą – może dlatego, że po szkole średniej pracowała w Rosji jako przedszkolanka, a może z tego powodu, że podczas studiów prowadziła studenckie koło pediatryczne. Zatrudnia się w Miejskim Szpitalu Świętego Rocha jako wolontariuszka. Obejmuje też posadę lekarza szkolnego, organizuje stacje opieki nad niemowlętami. Zajmuje się dziećmi, zwłaszcza tymi biednymi, które często chorują na skutek złego odżywiania, braku słońca i prawidłowej opieki. Organizuje im kolonie letnie, a od roku 1939 pracuje jako pediatra w Ubezpieczalni Społecznej. Tylko że to pechowy rok – początek trudnych wojennych lat,

podczas których nieraz zagrożone będzie życie doktor Białówny, a los każe jej podejmować trudne decyzje.

Lata wojny

Wrzesień 1939 roku, kampania, naloty – są ranni żołnierze i cywile. Doktor Białówna zarządza punktami PCK. Kiedy Białostocczyznę zajmują Rosjanie, pracuje w szpitalu dziecięcym przy ulicy Fabrycznej. Po wkroczeniu Niemców szpital zostaje przeniesiony na ulicę Warszawską. Irena nie przerywa pracy w szpitalu. Jednocześnie z przyjaciółką Anną Ellert tworzy tajne domy dziecka (jeden dla maluchów, drugi dla starszych) i ratuje żydowskie dzieci. Zaczyna też działalność konspiracyjną w AK, przyjmując pseudonim „Bronka”. Jest szefową Wojskowej Służby Kobiet w Sztabie Obwodu AK Białystok, oficerem w randze podporucznika.

Dnia 12 marca 1942 roku gestapo aresztuje Białównę za działalność konspiracyjną. Przesłuchania, kilka miesięcy w piwnicy pod biurem gestapo, potem więzienie białostockie i obozy koncentracyjne. Kiedy w więzieniu wybucha epidemia tyfusu, Irena pomaga lekarzom w walce z chorobą. Sama też choruje, ale udaje jej się pokonać chorobę mimo skomplikowanego przebiegu. Czekają ją lata w obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu, Ravensbrück, Gross-Rosen, Neubrandenburgu. Więźniarka numer 43 117 pomaga współwięźniom, przede wszystkim matkom z dziećmi. Jest lekarzem, walczy o zorganizowanie szpitala w obozie, fałszuje dokumenty i diagnozy, byle tylko uchronić dzieci i ich matki od śmierci w komorze gazowej. Jej osobowość i oddanie więźniom jest tak imponujące, że nawet Niemcy zaczynają się liczyć z nią i z jej medyczną wiedzą. Dzięki temu potrafi wynegocjować koce dla bloku, zmianę prześcieradeł, nowe sienniki. Pracuje cały czas i na jej bloku śmiertelność

więźniów z powodu chorób zmniejsza się z 50 dziennie do kilku lub zera na dobę. A ona po apelu chodzi w zimnie i błocie od bloku do bloku z zastrzykami, z radą i pomocą, jaką mogła wymyślić w obozowych warunkach. Spokojna, opanowana, nigdy nie podnosiła głosu, ale budziła respekt towarzyszek niedoli, a nawet personelu obozowego.

Po wyzwoleniu trafia do Szwecji, gdzie przez jakiś czas pracuje i zawiera przyjaźnie, ale mimo sytuacji politycznej w Polsce chce wrócić do kraju. Pomaga jej szwedzka koleżanka i w 1945 roku doktor Białówna przyjeżdża do Białegostoku.

Czas odbudowy

Po wojnie potrzebni są lekarze wszystkich specjalności, a zwłaszcza dziecięcych – w województwie białostockim nie ma ani jednego pediatry, w samym mieście pracuje ich troje. Umieralność noworodków jest wysoka: osiemdziesięcioro dzieci na tysiąc umiera. Czasy są trudne: szerzy się ubóstwo, a co za tym idzie, choroby wynikające z nędzy i brudu. Doktor Irena Białówna wypowiada tym przeciwnościom własną wojnę – zgłasza się do pracy i do odbudowy systemu opieki zdrowotnej. Od 1946 roku jest dyrektorem Centralnej Wojewódzkiej Poradni Matki i Dziecka – a to tylko jedna z jej licznych funkcji. Wizytuje szkoły, sprawdzając stan higieny, jest referentem do spraw matki i dziecka w Wydziale Zdrowia, nadzoruje Zakład Opieki Zdrowotnej nad Matką, Dzieckiem i Młodzieżą. W latach pięćdziesiątych zostaje ordynatorem oddziału dziecięcego w Szpitalu Wojewódzkim, włącza się też w pracę powstającej Akademii Medycznej. Organizuje Dom Małych Dzieci, oddziały pediatryczne i noworodkowe w białostockich szpitalach. Dzięki jej pracy i przywiezionemu ze Szwecji doświadczeniu umieralność noworodków w Białymstoku spektakularnie

spada. Oczywiście nieustannie przyjmuje chorych w gabinecie. Leczy zawsze za darmo, bywa, że dokłada z własnej kieszeni na zakup leków i jedzenia. Jest bardzo wyrozumiała i łagodna dla małych pacjentów, i bardzo konkretna, gdy chodzi o leczenie.

Mieszka w drewnianym domu przy ulicy Świętego Rocha. W jej mieszkaniu jakby zastygł przedwojenny czas – książki, fotografie na masywnym biurku, wielkie lustro i kwiaty. Dom ma werandę i wyjście na ogród. I najważniejsze – blisko stąd do wszystkich białostockich szpitali i przychodni.

Doktor Irenę dręczy jednak brak specjalistów, dlatego myśli o szkoleniu pediatrów tak potrzebnych na Białostocczyźnie. Z pomocą przychodzą kontakty szwedzkie. Dzięki funduszom UNICEF w 1957 roku rusza budowa Centrum Szkolenia Pediatrii Społecznej. Jej siedzibą będzie Szwedzki Domek – budynek przysłany białostockiemu wydziałowi zdrowia jako dar ze Sztokholmu. Wybudowany z gotowych modułów przez szwedzką ekipę stanął blisko Akademii Medycznej, przy ulicy Wołodyjowskiego, i już przez następne trzy lata wykształcił pięćdziesięciu siedem pediatrów. Z pewnością w realizacji planu pomógł fakt, że inicjatorka przedsięwzięcia, doktor Białówna, była w tym czasie posłem na Sejm. To kobieta, która stara się zrobić jak najwięcej dobrego w każdych warunkach, jakie funduje historia. Kontakty szwedzkie odezwą się echem jeszcze raz – kiedy doktor Irena sama zostaje pacjentką i leży na oddziale neurologii. Przyjaciele ze Szwecji przysyłają jej ogromny bukiet stu różnobarwnych goździków, które wzbudzają zachwyt personelu. Doktor Białówna rozdaje kwiaty lekarzom i pielęgniarkom. Odchodzi na emeryturę w 1972 roku, ale nie może do końca rozstać się z pacjentami i nadal pracuje w niepełnym wymiarze godzin. Umiera w roku 1982.

Nie ma już drewnianego domu przy ulicy Świętego Rocha, w którym przez lata mieszkała doktor Irena Białówna. Nie ma już pierwszych budynków przychodni ani Szwedzkiego Domku. Ale są fotografie i dobre wspomnienia, a w samym centrum miasta – odchodząca od Lipowej ulica imienia doktor Ireny Białówny. Nikt nie zasłużył na to bardziej.

Dziękuję Muzeum Historii Medycyny i Farmacji Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku za pomoc w dotarciu do materiałów o doktor Białównie.

Część II

ONE TWORZYŁY WSPÓŁCZESNĄ MEDYCYNĘ. ROZMOWY Z MISTRZYNIAMI

Rozdział 1

Maria Tryczyńska

„W tamtych czasach inaczej się traktowało pacjentów. Kiedy nasz pacjent z oddziału był kierowany na operację, czy dziecko, czy dorosły, my, lekarze, byliśmy z nim w tym razem, odprowadzaliśmy go pod drzwi sali operacyjnej. Potem interesowaliśmy się ciągiem dalszym i pacjenci to doceniali”.

Maria Tryczyńska – pediatra, specjalistka chorób płuc. Urodzona w 1930 roku na Polesiu, ale całe życie związana z Warszawą i Świdrem, dzielnicą Otwocka, podwarszawskiego ośrodka znanego z lecznictwa pulmonologicznego i sanatoriów przeciwgruźliczych. Jako młodziutka dziewczyna brała udział w powstaniu warszawskim. Była sanitariuszką i kolporterką. Miała pseudonim „Ryśka”. Pół wieku leczyła dzieci. Była nie tylko lekarzem, lecz także nauczycielką rodziców w sprawach diety i wychowania, prekursorką zdrowego trybu życia.

Nigdy się nie bałam

Otwock. Domek wśród drzew i krzewów wypielęgnowanych ręką doktor Marii Tryczyńskiej, ogrodniczki z zamiłowania. Zasiadamy przy stoliku

w altance, najpierw tylko ja i pani Maria, potem dołącza do nas jej mąż, doktor Dariusz Tryczyński. Znam już jego głos – z nim umawiałam to spotkanie. Jego żona ma uraz do dźwięku telefonu – przez całe życie oznaczał wezwanie, chorobę, nocne wyjazdy do pacjentów, zwłaszcza w czasach, gdy w Otwocku nie było oddziału pediatrycznego. Teraz wszystkie telefony odbiera mąż, który właśnie niesie nam filiżanki z kawą do altanki. Z przyjemnością patrzy się na tę parę sympatycznych siwowłosych ludzi tak zżytych ze sobą. Z westchnieniem konkludują, że mają już po dziewięćdziesiąt lat.

– Mąż to nawet dziewięćdziesiąt jeden – poprawia pani Maria z przekorą. – Jesteś rok starszy! – zwraca się do małżonka.

– Starość nie jest łatwa, muszę przyznać – mówi pan Dariusz. – Nie myślałem, że będzie aż tak ciężko. Najgorsze jest to, że traci się samodzielność, możliwość, by wszystko samemu zrobić…

Na szczęście tuż obok mieszka ich córka, która się nimi opiekuje. W tej chwili to ich główny kontakt ze światem.

Państwo Tryczyńscy z chęcią wracają do przeszłości, ale nie do wszystkich jej zakamarków. Powstanie warszawskie to bolesne wspomnienia. Pani Maria wyparła je z pamięci, bo ilekroć pozwala sobie na przeżywanie tego jeszcze raz, ogarnia ją depresja i lęk o rodzinę, o przyszłość potomków. Państwo Tryczyńscy mają syna i córkę oraz wnuki. Najmłodsza wnuczka Kasia ukończyła studia prawnicze. Pani Maria mówi o niej z dumą, zdaje się, że łączy je podobieństwo charakterów. Obie chyba tak samo są uparte. Kiedy wnuczka była licealistką, znalazła wśród papierów stare wypracowanie babci pisane tuż po wojnie. Maria Oczkowska z klasy III a była akurat w tym samym wieku – miała siedemnaście lat – tyle że był to rok 1946. Kasia przepisała zadanie i odczytała je w szkole – zrobiło taką samą furorę jak przed pięćdziesięciu

laty. Wypracowanie dotyczyło wspomnień wojennych i powstańczych. Szczególnie ważne było ostatnie zdanie Marysi Oczkowskiej: „Chciałam zostać lekarzem, żeby służyć ojczyźnie”.

– Mieszkaliśmy wtedy w Chrzanowie koło Krakowa – wspomina pani Maria. – Chodziłam tam do szkoły i napisałam to wypracowanie na niemieckiej makulaturze: o powstaniu, o patriotyzmie. Przetrwało w papierach mojego ojca, który był w Delegaturze Rządu Londyńskiego. Żyłam w czasach, w których człowiek mógł mieć zaufanie do człowieka, a bardzo młodzi ludzie potrafili podejmować dorosłe działania. Ale w pewnym sensie zabrano nam dzieciństwo.

I tak przenosimy się w tamte czasy, osiemdziesiąt lat wstecz…

Wojna. Mam dziewięć lat

Kiedy wybucha wojna, we wrześniu 1939 roku, Maria Oczkowska, urodzona w październiku 1930 roku, kończy akurat dziewięć lat. Jej ojciec, wysoki urzędnik w inspektoracie rządu, związany ze Stronnictwem Ludowym Stanisława Mikołajczyka, dostaje polecenie wyjazdu z członkami rządu. Rodzina przenosi się z Warszawy do Brześcia, ale 17 września wchodzą tam Rosjanie. Oczkowscy chcą wrócić do Warszawy. Powrót udaje się dzięki pomysłowości i silnym nerwom Mieczysława Oczkowskiego, który informuje rosyjskich strażników, że właśnie przybył z rodziną zza niemieckiej granicy i chce iść na wschód. „Nie lzia” – usłyszy. I sami Rosjanie zawrócą ich na „niemiecką” stronę. Pani Maria pamięta nocną przeprawę przez Bug łodzią rybacką, dworzec i pociąg bez okien. Stąd już prosto do Warszawy. Mieszkanie na Żoliborzu zastają ogołocone przez szabrowników. Ojciec pani Marii dostaje oficjalną pracę w tym samym, chociaż obecnie niemieckim, inspektoracie przy ulicy

Królewskiej. Obejmuje jakieś podrzędne stanowisko. Równolegle od razu podejmuje współpracę z londyńskim rządem na uchodźstwie i pracuje w rządowej delegaturze. Państwo Oczkowscy razem z dwiema córkami mieszkają na Żoliborzu, w Czerwonym Domu na rogu Słowackiego i Krechowieckiej, i jak wszyscy pragną przetrwać mroczny czas.

Dzieciństwo wojenne bardzo się różni od klasycznego, ale dzieci to dzieci, lubią przygody, biegają i dobrze się bawią na podwórku, zwłaszcza że kolega z sąsiedniego domu, niejaki Zbyszek Cybulski, jest posiadaczem piłki do siatkówki. Ktoś konstruuje siatkę i grają, nie myśląc o przyszłości ani aktorskiej, ani lekarskiej. Przygody dzieci z tamtych lat są jednak zupełnie inne niż w czasach pokoju.

– Na przykład pewnego dnia Niemcy otoczyli nasz dom – opowiada pani Maria. – Znaleźli jakieś dokumenty, w nich wykaz Polaków współpracujących z GO, czyli z gestapo, ale nie umieli rozszyfrować skrótu. Matka mówi do mnie: „Musisz szybko biec na Królewską, zawiadomić ojca… Nie boisz się?”. „Nie”, odpowiedziałam. Mam taką cechę: od urodzenia nigdy niczego się nie bałam, w przeciwieństwie do mojej siostry, która zresztą przez ten swój lęk uratowała całą rodzinę. Trzeba biec do ojca, to biegnę. Jak przedostać się przez kordon żołnierzy? Rzuciłam piłkę poza tą obstawę i pobiegłam po nią. Niemiec nie zwrócił na mnie uwagi, ot, dziewczynka biega za piłką i tyle. Serce biło, martwiłam się, że nie trafię z ulicy Słowackiego na Królewską do taty. Ale dotarłam, zawiadomiłam go, a on powiedział: „Wracaj natychmiast i wyprowadzajcie się z domu”.

Matka z córkami przenosi się na jakiś czas do przyjaciół. Niemcy na szczęście nie umieją rozszyfrować skrótu i sprawa przycicha.

W czasie okupacji nie ma kształcenia ponadpodstawowego dla polskich dzieci. Marysia Oczkowska uczęszcza do szkoły zwanej „pierwszą

krawiecką”, czyli oficjalnie do zawodówki, bo tylko na taką edukację okupant wyraża zgodę. Oczywiście pod przykrywką zawodówki działa tajne gimnazjum.

– Nie było książek, notatek, zeszytów, tylko przybory do szycia – wspomina pani Maria. – Ale program jak w przedwojennej szkole: polski, matematyka, łacina. Ze wszystkiego miałam dobre oceny, ale z tego szycia dwóję i do końca życia się tego nie nauczyłam. Za to łacina przydała mi się potem na studiach.

Łacinniczką i wychowawczynią Marii jest młoda zakonnica Tomea, zmartwychwstanka, i to dzięki niej, już w powstaniu, Maria pierwszy raz zetknie się z salą operacyjną, medycyną i niesieniem pomocy. Do harcerstwa wprowadza dojrzałą do tego, bo dwunastoletnią Marysię Teresa Rochmankowska pseudonim „Renia”, która zginie w ostatnich dniach powstania warszawskiego. Kiedy wybucha powstanie, Maria jako harcerka, niespełna czternastoletnia sanitariuszka, stawia się we wskazanym punkcie na Żoliborzu: w szpitalu powstańczym nr 3, w piwnicach kamienicy na rogu Słowackiego i Krechowieckiej, czyli tam, gdzie mieszkała. „Ryśka” jest sanitariuszką, ale zajmuje się nie tylko niesieniem pomocy medycznej.

– Ja w powstaniu robiłam wszystko – wspomina – włącznie z kopaniem rowów, przenoszeniem meldunków, zbieraniem materiałów opatrunkowych, darciem szarpi. Kolportowałam gazety z informacjami, co się dzieje. Asystowałam przy operacjach w szpitalu na Słowackiego. Tam rannymi zajmowała się nasza wychowawczyni, wspomniana zmartwychwstanka, ale to były głównie zabiegi doraźne. Śmierć, rany, cierpienie nie przerażały mnie, nie bałam się tego. Pomoc siostrze zakonnej przy zabiegach operacyjnych to był mój pierwszy kontakt z medycyną i pacjentami. Czas powstania był czasem wielkiej nadziei: człowiek żył i wierzył, że wszystko będzie dobrze. Nie złamały nas dwa miesiące autentycznego głodu,

strachu… Kiedy wyszło się z domu po warzywo na grządce, to już można było nie wrócić, bo wciąż trwał obstrzał. A dojrzewały pomidory na działkach, te działki ratowały ludzi od głodu, tylko trzeba było jakoś się przedostać. Ojciec mojej koleżanki zginął w ten sposób, gdy wybrał się po kartofle. Ja też biegałam po warzywo pod murami, rowami, ale jakoś mnie kule omijały. Wiele razy tak było, pamiętam: biegnę szybko, żeby dotrzeć z klatki schodowej do rowu łącznikowego, parę metrów, i w tym momencie Niemcy do mnie strzelają. Często biegałam z komunikatami podziemia, obstrzał ze wszystkich stron i z góry, nieustannie huczał słynny miotacz ognia z Dworca Gdańskiego, ale do huku byliśmy przyzwyczajeni. Bardziej niepokoiła mnie cisza. Zapowiadała zmianę i rzeczywiście po ciszy przyszła klęska. Przegrana powstania była jednocześnie moim odejściem od wiary. Przecież tak ufaliśmy, codziennie były msze, ktoś umierał, ktoś brał ślub, modliliśmy się. I co? Dopiero na emeryturze znalazł się ksiądz, który zaczął mnie leczyć z tej niewiary po powstaniu. Znów chodzimy z mężem do kościoła, ale do powstania staram się nie wracać pamięcią, bo ilekroć temat wraca, źle się to kończy, popadam w depresję.

Rodzina pani Marii wychodzi z powstania wraz z cywilami. Na Dworcu Gdańskim zostają zapakowani nawet nie do wagonów, lecz na odkryte platformy i trafiają do obozu przejściowego w Pruszkowie. Tam udaje im się przejść szczęśliwie selekcję i dostać do grupy tych, którzy mogą zostać na wsi. To tutaj, podczas selekcji, rodzinę ratuje wspomniany lęk młodszej siostry Marii. Kiedy dziewczynka wpada w histerię na widok Niemców z psami, ojciec bierze ją na ręce. Matka z Marysią już przeszły przez sito, mogą zostać. Niemiec kieruje mężczyznę z niemożliwie wrzeszczącym dzieckiem do matki – i tak trafiają do Kozłowa, wsi, w której wójtem jest znajomy ojca. Pan Oczkowski może nawiązać kontakt z organizacją, no i tu jest zdecydowanie więcej jedzenia. W Kozłowie zastaje ich front. Po

wojnie, zanim wrócą do Warszawy, mieszkają jakiś czas w Chrzanowie. To tutaj Marysia napisze to słynne wypracowanie o wspomnieniach z wojny i powstania. Jako dziewczyna, która brała udział w powstaniu, jest w oczach kolegów prawdziwą bohaterką, chociaż nigdy się nią nie czuła. Podczas krótkiego pobytu w Chrzanowie żyje jednak „życiem młodej dziewczyny", łapie oddech.

Tymczasem w Warszawie, dokąd się przenoszą, formują się urzędy. Ministrem zostaje znajomy pana Oczkowskiego z PSL-u, Władysław Kiernik, współpracujący z Mikołajczykiem. Jako że ojciec pani Marii jest fachowcem w administracji, Kiernik wzywa go do departamentu organizacyjnego, a potem do GUS-u, gdzie Oczkowski robi wielki spis powojenny. Wydaje się, że wszystko zaczyna się układać, ale kłopoty dopiero mają nadejść.

Niepokorna Maria

Rzeczywistość powojenna jest smutna i trudna, postępuje komunizacja, wszystkie wyższe stanowiska obejmują Rosjanie. Nowy ład nie sprzyja inteligenckim rodzinom takim jak Oczkowscy. Kiedy w 1947 roku z kraju emigruje Mikołajczyk, jego zwolennicy popadają w niełaskę. Oczkowski traci pracę. Niepokorna dusza Marii, teraz już siedemnastoletniej uczennicy Liceum imienia Żmichowskiej, daje o sobie znać.

– Coś tam nagadałam nie po linii ideologicznej, demonstrowałam przeciw połączeniu PPS i PPR w PZPR i wyrzucili mnie ze szkoły – wspomina. – Dostałam wilczy bilet w klasie maturalnej. Nie przejmowałam się. Kiedy przesłuchiwali mnie na UB, też nie. To mama chodziła po urzędach i tłumaczyła, że taka młoda dziewczyna nie może zagrażać ustrojowi. Wszędzie na stanowiskach siedzieli Rosjanie, ale mama urodziła

się na Ukrainie, robiła maturę w Białej Cerkwi, świetnie znała rosyjski. Dotarła do jakiegoś inspektora, przekonała go, przyjęli mnie do liceum Hoffmanowej i maturę zrobiłam śpiewająco.

Po maturze trzeba wybrać studia. Ojciec uważa, że Maria byłaby dobrym prawnikiem, gdyż umie myśleć, wypowiadać się, przedstawiać swoje racje, ale prawo w tych czasach jest bardzo upolitycznione. W ogóle trudno się dostać na studia z przedwojennym inteligenckim pochodzeniem. Pomagają znajomości i miejsca rektorskie.

– Dostałam się na studia tylko dlatego że ojciec przyjaźnił się z ministrem Kiernikiem, a Kiernik z rektorem i były jeszcze miejsca rektorskie. Sam ojciec był już bez pracy, ale Kiernik jeszcze pomógł. Wydział lekarski na Uniwersytecie Warszawskim, potem dopiero zamieniono uczelnię na Akademię Medyczną. Mieliśmy czapki z eskulapem, a studia trwały pięć lat. Przyjęli mnie, co nie znaczy, że nie chcieli mnie ciągle wyrzucać.

Sytuacja rodziny staje się trudna. Oczkowski, związany z PSL-em, pod koniec lat czterdziestych uznawanym za stronnictwo wywrotowe, nie może znaleźć pracy.

– Nie mieliśmy co jeść – opowiada pani Maria. – Ja już studiowałam medycynę. Musiałam się urywać z zajęć i po ćwiczeniach jechać na Bródno, gdzie jako higienistka dostałam od dyrektora aż czterysta złotych! Duże pieniądze. Potem, po dyplomie, jakieś tysiąc sto to była przeciętna pensja.

Maria pracuje i studiuje. Na studiach pełno absurdów: nie można grać jazzu, nosić wąskich spodni czy welwetowej marynarki, bo to pachnie zgniłym Zachodem, grozi relegacją z uczelni, a co najmniej składaniem samokrytyki. Studenci w większości należą do ZMP. Maria Oczkowska nie

zapisuje się do tej organizacji, więc władze źle na nią patrzą. Na studiach poznaje Dariusza Tryczyńskiego.

– Nie wiem, czemu mąż się ze mną zaprzyjaźnił. – Śmieje się. – Z tym „wrogim elementem”, co czeka na Andersa na białym koniu. Ale tak się stało, że pod koniec studiów wyszłam za niego za mąż. Po dyplomie dostawaliśmy nakazy pracy; każdy chciał oczywiście w Warszawie, najlepiej w klinice. To jednak były miejsca dla aktywistów, którzy przeszli potem do PZPR i dostali intratne stanowiska. Trzeba przyznać, że dużo było też zaangażowanych zetempowców, byli w organizacji nie tylko dla kariery, wierzyli w tę ideę. Ja nie i za karę dostałam nakaz pracy w Świdrze, w prewentorium dla dzieci zagrożonych gruźlicą. Mało kto chciał tam pracować, ale ja to potraktowałam jako kolejne wyzwanie… Wciągnęło mnie. Pracowałam też na Litewskiej w Warszawie, najpierw wolontariacko, potem już jako pediatra.

Mąż pani Marii, Dariusz Tryczyński, absolwent medycyny, znalazł się w sanatorium przeciwgruźliczym jako pacjent i tu dostał pracę.

– Oboje chorowaliśmy na gruźlicę. Ja byłam leczona farmakologicznie, mąż nawet dwa razy operowany. W naszym roczniku trzy czwarte studentów chorowało na gruźlicę, to przecież był czterdziesty dziewiąty rok, byliśmy po tym okropnym powstańczym głodzie. Po wojnie też było ciężko z wyżywieniem. Trudne to były czasy, ale byliśmy młodzi. Stworzyliśmy kilkuosobową grupę przyjaciół o podobnych poglądach, spotykaliśmy się we własnym gronie. Zamieszkaliśmy w Otwocku w domu rodzinnym męża. Myśmy, nasze pokolenie, byli w jakiś sposób silni, umieliśmy pozbierać się po wojnie, żyć dalej, studiować.

Willa Darusinek, czyli dlaczego Otwock

Kilka słów o miejscowości. Otwock już na początku XX wieku stał się ośrodkiem leczniczym dla pacjentów z chorobami płuc. Okoliczne lasy, świeże powietrze, rzeka Świder sprawiały, że warszawiacy uważali to miejsce nie tylko za uzdrowiskowe, ale też rekreacyjne. Przed wojną powstało tu z inicjatywy marszałkowej Piłsudskiej sanatorium Olin dla dzieci chorych na gruźlicę, budowano też prewentoria i domki jednorodzinne.

Rodzina Tryczyńskich wywodzi się z Otwocka, tutaj urodził się ojciec pana Dariusza, Antoni Tryczyński. Został nauczycielem, przeniósł się do Warszawy, założył rodzinę. Wcześnie owdowiał – żona zmarła wkrótce po urodzeniu Dariuszka, więc wrócił z dzieckiem do rodziców do Otwocka. Pracował rano i wieczorem, a gdy tylko odłożył trochę pieniędzy, kupił działkę z domkiem i nazwał go Darusinek na cześć ukochanego jedynaka.

– O, Daruś, chowany pod kloszem, chorowity, musiał mieć czyste powietrze… – Pani Maria trochę się naśmiewa z męża. – Żyje do tej pory tylko dlatego, że ja go wzięłam w obroty.

– Kiedy ojciec pracował w Warszawie, mieszkaliśmy na rogu Alej Jerozolimskich i Chałubińskiego, drugi dom od Emilii Plater – wspomina pan Dariusz. – Stał tam do powstania, potem został spalony. Ale do Otwocka przyjeżdżaliśmy na wakacje, spędzaliśmy tu około czterech miesięcy w roku.

– I przez to męża ominęło powstanie! – dodaje pani Maria.

– Tak, bo akurat było lato i byliśmy z ojcem tutaj, w Świdrze. Jak powstanie wybuchło, to nie mogliśmy wrócić…

Widocznie tak miało być. Gdyby doktor Tryczyński, wówczas piętnastolatek, był w Warszawie, poszedłby do powstania i może by zginął

jak tysiące jego rówieśników. Tymczasem pisane mu było żyć przez długie dziesięciolecia, pracować i mieszkać w Otwocku z niepokorną żoną Marysią, razem stawiać czoła niespodziankom losu. O własny dom musieli stoczyć walkę i używać forteli prawnych, żeby go utrzymać.

– Perypetie były nie z tej ziemi – opowiada pani Maria. – Najpierw musieliśmy opłacić piętnaście lat z góry dzierżawę za nasz własny dom i ogród, w którym sama sadziłam wszystkie te rośliny! Kiedy już wydzierżawiliśmy własny teren, to trzeba było w ciągu dwóch lat postawić następny dom, bo inaczej zabrano by nam działkę, więc wzięliśmy pożyczkę z banku i pod pewnym przymusem postawiliśmy tę chałupkę. A i tak to nie koniec kłopotów, bo w tej sytuacji władza ludowa uznała, że mamy za dużo domów. W latach sześćdziesiątych nie można było mieć w małżeństwie dwóch mieszkań, więc co było robić!

– Żeby utrzymać domy, musieliśmy się rozwieść! – Pan Dariusz się uśmiecha. – Jesteśmy więc rozwodnikami, którzy żyli ze sobą całe życie, a zeszli się znów formalnie, kiedy nareszcie władza ludowa odeszła… Ten domek przez dziesięć lat był letniakiem, a zajmowaliśmy i remontowaliśmy stary Darusinek. A jak go wyremontowaliśmy, to musieliśmy wziąć się za ten, mimo że z pieniędzmi było krucho. Wybudowaliśmy jeden poziom, żeby na starość nie chodzić po piętrach. Teraz się przydaje. – Na stare lata rzeczywiście przeprowadzili się do „nowego” domu, a w Darusinku zamieszkała ich córka z rodziną. – Dlatego możemy teraz pić kawę w altance pośród drzew i krzewów.

– Sama sobie je wypielęgnowałam, tak żeby się odciąć od otoczenia. Wyhodowałam cały mój ogród i Ani, naszej córki, też – mówi pani Maria. – Tu upłynął nasz czas, całe życie pracowaliśmy w otwockich szpitalach.

Codzienne życie i gruźlica

– Pracowaliśmy po dwanaście godzin i więcej – opowiada pani Maria. – Jakby doliczyć dyżury, to wychodziłoby i dwadzieścia godzin na dobę. Bywało, że przyjmowało się pięćdziesięciu pacjentów dziennie. Nasze dzieci właściwie chowały się same. Wciąż były jakieś potrzeby finansowe, te domy, remonty, samochód, więc wciąż braliśmy dyżury. Wakacje często spędzaliśmy na Mazurach. Koło Pisza był ośrodek służby zdrowia, domki wczasowe, i tam jeździliśmy. Mało to kosztowało, a było tam tak dużo jagód i malin, że robiłam po sto słoików. W tych latach, kiedy tylko ocet stał w sklepach na półkach, to nas ratowało. Dopiero teraz przestałam robić konfitury. Człowiek musiał szanować każdy grosz; jeden dom, drugi, dzieci, pieniądze jakoś szybko się rozpływały. Mąż w międzyczasie chorował, opłucnowa sprawa, i z pacjenta przeistoczył się w specjalistę. Już został na fizjatrii u Naumana…

Trochę nie rozumiem, więc państwo Tryczyńscy mi tłumaczą: Nauman był lekarzem, profesorem chorób płucnych, szefem szpitala. I tak się wtedy mówiło na otwockie placówki: „U Naumana” – od nazwiska dyrektora. Używano też nazw typu „Dzierżyński” czy „Sawicka”, bo takich patronów miały przeciwgruźlicze zakłady rehabilitacyjne i sanatoria. Po wojnie profesor Aleksander Nauman i doktor Jerzy Lutz założyli w Otwocku młodzieżowe sanatorium, gdzie równocześnie uczono zawodu.

– To była bardzo mądra idea – przyznaje pan Dariusz. – Gruźlica wówczas miała bardzo długi okres leczenia, to trwało miesiącami, półtora roku, nawet dwa lata. Zmiany wolno się cofały, nie było jeszcze leków przeciwprątkowych, więc ludzie, którzy leczyli się na gruźlicę, byli w sanatorium, nie mogli w tym czasie uczyć się czy studiować ani pracować w swoich zawodach, choćby z powodu zakaźności. To był pomysł, żeby wykorzystać ten czas, żeby mogli się leczyć i w tym czasie

wykształcić lub przekwalifikowywać. A młodzi pacjenci od razu uczyli się zawodu. Nauman powiększał sanatorium, wprowadzał nowe działy, nawet zwykłe jak introligatorstwo, galanteria skórzana. One dawały kwalifikacje. Doszły księgowość, zegarmistrzostwo, a potem szkoła medyczna dla laborantów analitycznych i rentgenowskich. Do dziś dużo tu mieszka specjalistów tej klasy, bo przecież ludzie żenili się ze sobą i zostawali w Otwocku. Była też opieka psychologiczna, był ktoś od spraw socjalnych. Pacjent był pod opieką wielu ludzi i to ułatwiało powrót do życia w społeczeństwie.

Dziś szpital pulmonologiczny jest bardzo duży, ma wszystkie możliwe oddziały, możliwość leczenia wszelkich schorzeń płuc, także nowotworów. W tamtych czasach stanowił placówkę głównie przeciwgruźliczą.

– Gruźlica była powszechna i wciąż wielu ludzi umierało, mimo coraz lepiej opracowanych leków – opowiada doktor Tryczyńska. – Ważnym lekiem była streptomycyna, ale nie była powszechnie dostępna. Powoływano specjalne komisje, które przydzielały pacjentowi na przykład dziesięć gramów streptomycyny. Pacjentów, których nie dało się wyleczyć, kierowano do Góry Kalwarii, do sióstr, które prowadziły szpital przeznaczony dla tych beznadziejnych i towarzyszyły im do końca. Tym, których się dało wyleczyć, przydzielano leki. To była przykra, specyficzna i trudna selekcja pacjentów. Dziś gruźlica przestała być postrachem, lecz nie znikła całkiem. Młodzież się odchudza, je suplementy i jednak tej gruźlicy znowu trochę jest.

– Mniej, tak, ale trudniej ją leczyć – dodaje pan Dariusz, fizjatra – bo wiele leków, które wcześniej działały, stało się opornych. Kiedyś uważano, że gruźlica to śmierć, po wojnie wiele dzieci umierało, dorośli też i czasami nie wiadomo było, czemu jedni z tego wychodzili, a inni nie. Na pewno

działał czynnik psychologiczny: kiedy chory wierzył, że wyjdzie z choroby, to wychodził, a jak się bał, tracił wiarę, to umierał.

– Od wzmacniania wiary był mój mąż. – Pani Maria się uśmiecha. – Umiał wlać w pacjentów optymizm i nadzieję. Do dzisiaj spotykają go na ulicy wyleczeni i wspominają. W tamtych czasach inaczej się traktowało pacjentów. Kiedy nasz pacjent z oddziału był kierowany na operację, czy dziecko, czy dorosły, my, lekarze, byliśmy z nim w tym razem, odprowadzaliśmy go pod drzwi sali operacyjnej. Potem interesowaliśmy się ciągiem dalszym i pacjenci to doceniali. Uważaliśmy, że należy z pacjentem rozmawiać, tłumaczyć mu, co się dzieje, jak działają leki, po co je brać. To może wydać się dziwne, ale niektórzy wcale nie byli chętni, bo na przykład w swoim czasie trzeba było przy gruźlicy brać trzydzieści, czterdzieści tabletek dziennie. To były preparaty, można powiedzieć, toporne i w dużej ilości, dlatego musieliśmy się natłumaczyć, dlaczego lepiej to brać, a nie wyrzucać do sedesu, bo i tak bywało.

Pani doktor od dzieciaków

– Tak w ogóle to byłam pediatrą z zamiłowania – opowiada pani Maria. – Na Litewskiej przeszłam prawdziwą szkołę życia, potem pracowałam w klinice na Działdowskiej. Profesor chciał mnie zatrzymać i radził karierę naukową, ale powiedziałam „nie”. Pracowałam na noworodkach i to był cudowny czas. Dla mnie wszystkie noworodki są piękne, w ogóle dzieci są piękne. I potem, kiedy już prowadziłam swoją praktykę, musiałam być pod telefonem. Nie było tu oddziału pediatrycznego i po prostu budzono mnie w nocy, bo nikogo innego nie było, dlatego nie znoszę dzwonka telefonu. Ale każde dziecko traktowałam bardzo indywidualnie. Na Litewskiej nauczyłam się tego, aby postawić w miarę możliwości rozpoznanie na

podstawie badania. Potem nieraz, jak odsyłałam do szpitala, to lekarz mówił: „Skąd ta pani doktor wiedziała, że jest płyn w opłucnej?”. A wiedziała po wnikliwym badaniu. Czasem jak dziecko wchodziło z matką, to już ich zachowanie mówiło mi, co to może być… Dziecko nie mówi, ale kiedy się uśmiechnie, idziemy w dobrą stronę. Z kolei zachowanie matki często pokazuje, że ona działa w niedobrym kierunku. I zdarzało się, że ja matkę wzywałam do siebie, do lekarza, oddzielnie na szkolenie i mówiłam: „Musi pani oduczyć się pewnych nawyków, odejść od pewnych zachowań”. Od początku przyjęłam taką zasadę: lepiej zapobiegać, niż leczyć. Myślałam, jak zapobiegać chorobom, jak wychowywać dziecko, i starałam się tego uczyć matki.

– Żona była swoistą prekursorką tego, co dziś uważa się za odkrywcze – zauważa ze śmiechem doktor Tryczyński. – To były czasy, kiedy nagminnie podawało się antybiotyki, na wszelki wypadek. Żona unikała antybiotyków. Za to pisała matkom na karteczkach, co robić, po kolei wszystkie punkty: jak postępować, jak podawać leki. Matki miały te karteczki przez długi czas, przynosiły potem i pokazywały, że opierały się na radach z karteczek, które były też swoistą encyklopedią zdrowia. Niektórzy lekarze podbierali ten pomysł, i dobrze. Żona była zawsze sugestywna, wiele nakazywała i pacjenci się słuchali. Kiedyś żona poradziła pacjentce, której dziecko miało nietolerancję na mleko matki, podawanie odpowiednio przygotowanego mleka od krowy, ale zawsze jednej i tej samej. Kobieta posłuchała pani doktor do tego stopnia, że specjalnie kupili krowę.

– Tak, przychodzili do mnie ludzie z dziećmi, bo poszła fama, że nie podaję antybiotyków ot tak od razu. Wszystko pisałam na kartkach. Dla siebie rozpoznanie, najczęściej po łacinie, skrótowo, żebym sama wiedziała, co tam napisałam, i potem zalecenia dla matek: co robić z dzieckiem, jak trzymać, w jakiej pozycji karmić, jak ubierać, co podawać

do picia. Lubiłam herbatki ziołowe; miałam swoje różne mieszanki, które apteki ode mnie potem odpisywały. Brakowało wówczas wiedzy na temat wychowania i diet, rodzice nie umieli wychowywać dzieci, lekarze zresztą też nie zawsze umieli pomóc. A to są proste zasady, naprawdę. – Doktor Tryczyńska się śmieje. – Nie wolno na dziecko krzyczeć, należy dać mu się rozwijać i poznawać świat. Osobowość dziecka, wiem to od dawna, rozwija się do czterech lat. Dzieci są niedobre, jeśli my, dorośli, jesteśmy niedobrzy. Dzieci czują więcej niż dorośli, ono nie musi rozumieć, a łapie doskonale atmosferę i sytuację. Reakcje, których nie rozumiemy, są jak najbardziej naturalne i normalne. Dziecko musi być dużo na powietrzu, bez względu na pogodę, nawet kilka godzin dziennie, nawet przy niskiej temperaturze. Trzeba robić kołnierz dookoła buzi, żeby ogrzewało się oddechem, w żadnym wypadku nie wolno przegrzewać dzieci. Bywało, że mnie ktoś wzywał, bo dziecko bardzo płacze, ma wysoką temperaturę. Wchodzę, w pokoju gorąco, zaduch. Pierwsza rzecz: kazałam otworzyć okno i podać butelkę z piciem. Czasem tylko to wystarczało, żeby dziecko się uspokoiło. Ówczesna moja medycyna była blisko natury, uważałam, że dziecko musi być traktowane indywidualnie i wszechstronnie zbadane. Trzeba wszystko zobaczyć. Dlatego kiedy zaczęły się poważne kłopoty z oczami, musiałam przestać praktykować… Wie pani co? Ja do czterdziestu lat czułam się bardzo młoda, a po czterdziestce poczułam się wreszcie dorosłym człowiekiem. I następne pół wieku zleciało tak szybko! Najgorsze jest to, że mi się już nie chce chcieć. A jeszcze w zeszłym roku czyściłam rynny i jeździłam na rowerze. Ach, rowery! Zjeździliśmy na nich całą Polskę. Podróż poślubną odbyliśmy na rowerach po Puszczy Białowieskiej… Kiedy to było!

Rozdział 2

Aniela Pater

„Bardzo brak mi pracy. Nie żałuję niczego ze swojego życia, z zawodu, niczego bym nie zmieniła”.

Aniela Pater, doktor nauk medycznych, specjalista drugiego stopnia radioterapii onkologicznej, mieszka w Poznaniu, od ponad sześćdziesięciu lat w tym samym miejscu przy ulicy Ogrodowej. Blisko stąd do Wielkopolskiego Centrum Onkologii i do Ośrodka Epidemiologii i Profilaktyki Nowotworów OPEN, w których spędziła całe zawodowe życie. W ośrodku OPEN jeszcze kilka lat temu przyjmowała pacjentów. Zaczynała pracę jako onkolog, kiedy diagnoza: „rak” budziła powszechny postrach, bo najczęściej oznaczała wyrok. Doktor Stefan Skowroński, twórca placówki i jej dyrektor, był nieco zdziwiony, kiedy przyjmował ją do pracy. „Pani się nie boi?” – zapytał. Na pytanie odpowiedziała pytaniem: „A czy to prawda, że pana żona tu pracuje?”. „Tak”. „Zatem jeżeli ona się nie boi, to ja też nie”.

Doktor Danka. Sześć dekad walki z rakiem

Urokliwy poznański Stary Rynek, brukowane uliczki, Gołębia, Jaskółcza, plac Wolności, Święty Marcin, wielkomiejska ulica Ratajczaka. Zwiedzam je z sentymentem. Siedemdziesiąt lat temu po tych uliczkach chodzili – jako młode małżeństwo – moi rodzice. Dzielnica ma klimat, chociaż zapewne zupełnie inny niż w 1954 roku, kiedy studenci kolejnego powojennego rocznika, w tym mój ojciec i jego koleżanka z roku, właśnie Danka Pater, kończyli studia medyczne. Czasy ponure, rok po śmierci Stalina, więc głęboki komunizm, ale oni, świeżo upieczeni lekarze, byli pełni radosnej nadziei. Dziewczyny nosiły kolorowe sukienki bombki, studenci Akademii Medycznej – czapki z eskulapem. Nieliczne i zupełnie inne auta przemykały ulicami, zdarzało się, że szczęściarz medyk mógł się chlubić motocyklem. Siedemdziesiąt lat temu – bagatela! Mieli po dwadzieścia parę lat, życie przed sobą, plany, marzenia. Doktor Danka na zdjęciach z tego czasu ma długie jasne włosy upięte w kok. Błękitne oczy, zdecydowane spojrzenie. Aniela Pater, z domu Mikołajczak, ale wszyscy, rodzina i przyjaciele, zwą ją od dziecka Danusią, a ona sama wręcz nie pamięta, że w dokumentach jest Anielą. Pionierka i autorytet w dziedzinie radioterapii onkologicznej w Polsce. W czasach, kiedy decydowała się na tę specjalizację, wymagało to niemałej odwagi, o raku mówiono, że to wyrok, choroba nieuleczalna. Leczenie promieniami dopiero się rozwijało i była to metoda niebezpieczna dla personelu. Ktoś jednak musiał się tym zająć.

Danka Pater związała całe swoje zawodowe życie z radioterapią onkologiczną. Zaczynała jako młoda lekarka w latach pięćdziesiątych, w kolejnych dekadach była już autorytetem, uczyła następne pokolenia onkologów. Jest lekarką od sześćdziesięciu sześciu lat, niezmiennie mieszka w kamienicy przy ulicy Ogrodowej na Starym Mieście w Poznaniu. Dwa pokoje wystarczają – nie chciała się wyprowadzić do

bardziej przestronnego lokum czy może domu jak wielu kolegów. Przeżyła tu całe życie zawodowe, zawsze miała blisko do szpitala i przychodni.

Spotykamy się w tym mieszkaniu na Starym Mieście w ładny październikowy dzień 2019 roku. W progu wita mnie uśmiechnięta kobieta o lasce, w niebieskim swetrze, z włosami upiętymi na czubku głowy jak na dawnych fotografiach. Spojrzenie tak samo wnikliwe. Bez trudu znajduję podobieństwo do dziewczyny ze zdjęcia na studenckim tableau rocznika 1954. Oglądamy inne rodzinne fotografie: prawnuka, syna, a także dawno zmarłego męża.

Doktor Pater jest pierwszą lekarką w rodzinie, ale zapoczątkowała medyczną tradycję: syn Piotr został ginekologiem, wnuczka Katarzyna chirurgiem. Fotografie stoją na półkach w niebiesko-białym pokoju, w towarzystwie imponującego zbioru ozdobnych naczyń z niebieskiego szkła: wazonów, półmisków, dzbanków. Żółty bukiet tulipanów rozjaśnia przestrzeń – kwiaty od pracowników szpitala przysłane w dziewięćdziesiąte urodziny doktor Pater. W drugim pokoju kolekcja szkła czerwonego. Siadamy przy kawie i poznańskich smakołykach w pokoju niebieskim. Wspomnienia zabierają nas w podróż w przeszłość.

Wojenne dzieciństwo

Ukraina, Wołyń, Żurne koło Równego. W latach trzydziestych stacjonuje tu szwadron kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza. W szwadronie służy jako szef jednostki Józef Mikołajczak. Są z nim żona Helena i dwie córki. W metryce starszej widnieje imię Aniela, mimo że rodzicom marzyła się Danka. Tyle że nie ma świętej Danuty, więc ksiądz ochrzcił dziewczynkę według życzenia babci, ale i tak wszyscy mówią na nią Danka. Młodsza córka, Alicja, całe życie będzie Dzidką. W 1939 roku, kiedy wybucha

wojna, Danka ma dziewięć lat, Dzidka zaledwie półtora roku. Danka chodzi do przedszkola prowadzonego przez urszulanki w pobliskim majątku, który ma ciekawą historię. Należał do hrabiego Emmanuela Małyńskiego, a dostał się w ręce sióstr, bo właściciel miał pecha w życiu. Najpierw zapragnął się ożenić z austriacką księżniczką. Kiedy narzeczona przyjechała w odwiedziny, orzekła, że kurniki jej ojca są o niebo lepsze od tego majątku, i wyjechała obrażona. W tej sytuacji hrabia postanowił zostać ministrem finansów i zapisać majątek państwu, ale to też mu się nie udało, więc wyjechał do Francji, gdzie zmarł. Wcześniej jednak poznał Urszulę Ledóchowską i przekazał swój majątek urszulankom. Te zajęły się edukacją dzieci.

Danka uczęszcza zatem do sióstr i już rozmyśla o przyszłości. Ma dylemat: zostać zakonnicą czy lekarką? Ale we wrześniu 1939 roku wybucha wojna i wszelkie dylematy otrzymują inny wymiar, bo priorytetem staje się przeżyć, jakoś to wszystko przetrwać… Ojciec walczy w kampanii wrześniowej, nad Bzurą, rodzina nie wie, co się z nim dzieje. Dnia 17 września do Równego wkraczają wojska sowieckie.

Ciekawą rzeczą jest, że Helenie Mikołajczak i jej dzieciom pomaga Żyd o nazwisku Zuckermann, który przed wojną zajmował się dostawami owsa dla szwadronu kawalerii. Chorąży Mikołajczak miał wówczas z nim zatarg, bo handlarz dopuścił się oszustwa wobec wojska. Mimo to Zuckermann udzielił jego rodzinie wszelkiej pomocy. Po wkroczeniu Armii Czerwonej został komisarzem ludowym. Mając dostęp do informacji, ostrzegł żonę chorążego o planowanej deportacji na wschód. Osobiście zorganizował transport i opiekę i tym samym być może uchronił je od śmierci w głębi Związku Radzieckiego.

Helena Mikołajczak ucieka z dziećmi do Nowogródka, do swojej matki. Nadal nie są bezpieczne, codziennie kładą się spać w niepewności, przy

łóżku czeka ubranie, żeby móc w każdej chwili uciekać. Ruszają na tułaczkę z dwiema walizkami. Na dworcach miast i miasteczek tłumy, ludzie przemieszczają się bezradnie, we Lwowie nie ma gdzie usiąść, pełno ludzi nawet na schodach klasztorów. Jest marzec 1940 roku. W tej sytuacji Helena Mikołajczak decyduje się dotrzeć do Gniezna, bo tam mieszkają rodzice jej męża. Przyświeca jej myśl, że jeśli on przeżył, to tam, do matki, na pewno dotrze jakaś wiadomość. Szmat drogi, to prawda – one są na Kresach, Gniezno przynależny do Rzeszy, a przejechać trzeba przez Generalną Gubernię. Ale nie ma innego wyjścia. Muszą zdobyć zgodę władz na przejście na niemiecką stronę, więc wyruszają do Przemyśla. Znów tłumy, chaos i ludzka bezradność, do przepełnionego pociągu trzeba się dostać oknem. W końcu Przemyśl – w urzędzie Helena Mikołajczak przedstawia się jako uciekinierka z Gniezna, która chce wrócić do domu. Dostaje upragnione papiery. Teraz trzeba już tylko pokonać most na Sanie. Pieszo. Pod czujnym okiem uzbrojonych żołnierzy. Danka Mikołajczakówna dobrze pamięta ten marsz – siostra na ręku matki płacze wniebogłosy, a one idą mostem obstawionym z jednej strony przez żołnierzy rosyjskich, z drugiej przez niemieckich. Przechodzą, a potem jadą, czym się da: furmanką, pociągami. Część trasy pokonują pieszo.

Trafiają do obozu przejściowego pod Łodzią. Warunki straszne, dwa tygodnie tułaczki wystarczają, żeby złapały wszy. Napotkani ludzie namawiają panią Helenę, żeby została z córkami w Generalnej Guberni, ona jednak chce do Gniezna, rodzinnego miasta jej męża. Wierzy, że tam się odnajdą. Wreszcie dociera do teściów. Mikołajczakowie nie mieszkają już w swoim dawnym obszernym domu – wysiedleni przez Niemców zajmują marne mieszkanie na własnym strychu. Za to mają wiadomość o synu: jest w obozie jenieckim, żyje, nawiązali kontakt.

– Całą okupację przemieszkałyśmy w Gnieźnie – wspomina doktor Pater. – Mama dobrze sobie radziła, pracowała w wojskowej fabryce. Ja dostałam nakaz pracy, mimo że miałam dwanaście lat. Byłam pomocnicą akuszerki, a potem dostałam przydział do pracy w rzeźni i to było okropne doświadczenie.

Jeśli chodzi o edukację, trudno było łączyć szkołę z przymusową pracą. Trochę nauki na „kompletach”, ale Niemcy bardzo pilnują i zdobywanie wiedzy jest wyjątkowo niebezpieczne. Tak upłynęło pięć lat okupacyjnego dzieciństwa Danki.

Studia w trudnych czasach

Kiedy przychodzi rok 1945 i wyzwolenie, Danka ma piętnaście lat. W kwietniu idzie do drugiej klasy żeńskiego gimnazjum w Gnieźnie, potem do liceum. Chce studiować, już w gimnazjum zdecydowała się na medycynę. Ale dziewczynie, której stryj miał przed wojną w Gnieźnie linie autobusowe i młyn, niełatwo będzie się dostać na studia – w nowych czasach takie kapitalistyczne pochodzenie jest źle widziane. Pomaga jej to, że ma ojca weterana kampanii wrześniowej, który szczęśliwie w sierpniu 1945 roku wraca z niewoli niemieckiej.

Danka zdaje egzamin i w roku akademickim 1949/1950 jako dziewiętnastolatka zaczyna studia na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. Jest jedną z najmłodszych studentek na roku. Są tu ludzie w różnym wieku, jeden ze studentów jest nawet z rocznika 1902 – to rówieśnik jej ojca, felczer, który chce zdobyć dyplom lekarski. Ich przeszłość jest nieznana – niektórzy byli w partyzantce, inni nie przyznają się do pochodzenia czy wyznania. Nikt nie chce opowiadać o tym, co przeszedł, ani wspominać, nikt nie pyta o pochodzenie ani wiek, nikt się

niczemu nie dziwi. Generalnie studenci nie rozmawiają o przeszłości. Nie ma czasu na dyskusje, studia medyczne wymagają mnóstwa pracy. Cały program przedwojennej medycyny jest rozłożony na pięć lat, zajęcia trwają całymi dniami. Trzeba też gdzieś mieszkać. Akademiki są okropne: piętrowe łóżka, pluskwy i wieczny hałas. Danka początkowo wynajmuje stancję z koleżanką, potem dostaje miejsce w internacie prowadzonym przez zakonnice. Oczywiście mieszkają tu same dziewczęta, panuje rygor, trzeba wracać przed dwudziestą drugą, a z gośćmi można się komunikować tylko w rozmównicy. Może to i dobrze, bo spokój i cisza sprzyja nauce nocami. Danka co piątek jeździ do rodziców w Gnieźnie. Ciągnie ją do domu. Pociąg nie jedzie długo, ma tam swoich bliskich i oczywiście z domu przywozi wałówkę.

Podczas jednej z podróży z domu do Poznania poznaje w pociągu Bogdana Patera, który ma babcię w Gnieźnie. Rozmowa gładko się toczy, zaczynają się spotykać. Narzeczony, absolwent ekonomii, zmotywowany tym, że ona się ciągle uczy, postanawia studiować drugi fakultet i dostaje się na prawo. Na czwartym roku Danka wychodzi za mąż i zostaje panią Pater. Przeżyją razem dwadzieścia pięć lat. Niestety Bogdan umiera nagle w 1983 roku w sanatorium w Polanicy-Zdroju. Pojechał tam jako kuracjusz i pierwszego dnia pobytu umarł z powodu tętniaka aorty. Miał pięćdziesiąt sześć lat. Ona pięćdziesiąt cztery, kiedy została wdową. Syn był w trakcie specjalizacji z ginekologii i położnictwa. Nie wyszła ponownie za mąż.

– Byłam już samodzielna. – Śmieje się. – Po co mi ktoś, kto będzie komentował, ile mam par butów!

Przyjaźnie później się zdarzały, ale to co innego. Zresztą praca pochłania jej bardzo wiele czasu. W latach siedemdziesiątych jest już lekarzem z drugim stopniem specjalizacji z radioterapii i doktoratem.

Skąd ta onkologia?

Onkologiem doktor Pater zostaje trochę z przypadku, dopiero po pewnym czasie uzna, że to jej pasja. W maju 1954 roku, jeszcze przed dyplomem, zaczyna pracę na ortopedii jako wolontariuszka. Marzy o okulistyce i o tym, żeby pracować w Poznaniu. Nie jest to łatwe, bo obowiązują nakazy pracy i nie wiadomo, gdzie los, czyli władza ludowa, może rzucić człowieka. Świeżo upieczeni lekarze zaraz po piątym roku kierowani są do samodzielnej pracy w przychodniach. Nikt się nie zastanawia, czy młoda lekarka poradzi sobie z trudniejszymi przypadkami. Danka, uzbrojona w notatki i podręczniki, przyjmuje pierwszych pacjentów w przychodni rejonowej na Starołęce. Daleko: trzeba jechać tramwajem, autobusem i jeszcze iść na piechotę, a ona jest w ciąży. W lutym rodzi się syn Piotr, trzy miesiące urlopu i od razu powrót do pracy. Trzeba się decydować co do specjalizacji. Chodzi na wolontariat z okulistyki z nadzieją na pozostanie na oddziale, ale nie dostaje stypendium doktoranckiego. Może interna? Decyduje się na wolontariat w Klinice Chorób Wewnętrznych. A jednak i tutaj niełatwo o specjalizację, w dodatku mąż właśnie zmienił pracę i ma dużo mniejsze zarobki. Słowem: trudna sytuacja. I wówczas Danka spotyka dobrego znajomego, profesora Edmunda Chróścielewskiego z medycyny sądowej. „A nie chcesz pracować na onkologii? – pyta profesor. – Właśnie przyjechał z Warszawy mój przyjaciel, profesor Skowroński z żoną. Tworzą od podstaw oddział w Poznaniu”.

Onkologia? Czemu nie? Danka szybko podejmuje decyzję, chociaż wszyscy ją odwodzą od tego pomysłu. Kontakt z promieniotwórczością, praca ryzykowna dla zdrowia, trudna choroba, słowo „rak” budzące grozę. Dyrektor Skowroński, do którego się udaje, pyta: „Pani się nie boi?”. Danka na to: „A czy to prawda, że pana żona tu pracuje?”. „Tak”. „Zatem

jeżeli ona się nie boi, to ja też nie”. I tak doktor Pater w 1956 roku zaczyna pracę w poznańskim szpitalu onkologicznym.

Pionierzy

Wiek XX, zwłaszcza druga połowa, to lata rozwoju radioterapii w onkologii, ale też czas, kiedy choroba nowotworowa budzi powszechny strach. Rak jawi się jako wyrok i śmierć w bólu. W dodatku pacjentki – doktor Pater specjalizuje się w nowotworach ginekologicznych – nie chcą się przyznawać do choroby. Rak to wstyd. Trzeba je podtrzymywać na duchu i pocieszać, bo oprócz choroby dotyka je samotność w nieszczęściu: mężowie najczęściej odchodzą, nie są w stanie znieść presji choroby, otoczenie boi się takich pacjentek. Leczenie w Polsce odbiega od standardów zagranicznych, ponieważ brakuje sprzętu i badań profilaktycznych. Lekarze onkolodzy są prekursorami i nauczycielami, także propagatorami profilaktyki.

– Właściwie było to pionierskie działanie w wykrywaniu i profilaktyce chorób nowotworowych – mówi doktor Pater. – Pracowałam w szpitalu i w szkole radiologii medycznej, miałam tam wykłady. Całe życie zawodowe spędziłam w Wielkopolskim Centrum Onkologii, a od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku byłam ordynatorem oddziału radioterapii ginekologii onkologicznej.

Specjalizację drugiego stopnia robi ogólnie z onkologii, nie ma bowiem wówczas wyodrębnionej specjalizacji ginekologicznej, a to ją interesuje najbardziej. Zachorowań na raka szyjki macicy, jajników, piersi jest bardzo dużo. I wcale nie oznaczają wyroku – na oddziale radioterapii onkologicznej w Wielkopolskim Centrum Onkologii, gdzie początkowo jest asystentką, a od 1976 roku zastępczynią ordynatora, lekarze mają zupełnie

dobre wyniki i dużo przypadków wyleczeń. Każde jest wielkim zwycięstwem. Każde okupione pewnym ryzykiem, działaniem z narażeniem własnego zdrowia, bo pracują w bezpośrednim kontakcie z promieniami. Dziś nikt już nie pamięta bloków ołowianych, zza których lekarz zakładał pacjentowi aparat promieniotwórczy na zmienione nowotworowo miejsce. Przez półwiecze sposób leczenia i ochrony personelu oraz pacjenta przed promieniowaniem ulega ogromnym przemianom, ale w latach sześćdziesiątych…

– Używaliśmy archaicznego sprzętu – opowiada doktor Pater. – Materiał promieniotwórczy wkładało się do specjalnego korka i musiałam go pęsetą włożyć przez wziernik do pochwy pacjentki. Początkowo nawet nie było kaset do przenoszenia, tylko pielęgniarka podawała korek z preparatem promieniotwórczym zza ołowianej ściany. Później już brało się ładunek ze specjalnej kasy, przekładało do ołowianego pudełka, ale z niego znów trzeba było go wyjąć, więc kontakt z radioaktywnymi materiałami był częsty. Wprowadzono specjalne przesłony, ale oczy i ręce i tak musiały być odkryte. Trzeba było wycelować dokładnie w chore miejsca. Ręce stale pracowały.

W pracy nie można było mieć żadnej biżuterii. Doktor Pater obrączkę nosiła przypiętą do paska zegarka. Za to paznokcie zawsze miała polakierowane. Efekt ciągłej pracy rąk w promieniach jest taki, że w ogóle nie ma linii papilarnych, opuszki są wygładzone…

Lata siedemdziesiąte przynoszą możliwości wyjazdu na szkolenia. Doktor Pater jedzie najpierw do Paryża, potem do Algieru. Poznaje zupełnie inny sprzęt, także inną obyczajowość. W Algierze nie może sama zbadać pacjentki, mimo że jest lekarzem i kobietą. Przy badaniu musi być obecny mąż albo brat męża, ewentualnie teść. To dziwna rzecz dla Polki. Drugie nowe zjawisko: koty na oddziałach szpitalnych. Przebywają tu

legalnie i w dużej liczbie, wylegują się na łóżkach. Algierczycy uważają, że to jest bardzo korzystne dla pacjentów, bo koty mają elektrony ujemne. Może to dziwne zjawisko, ale tu w Algierze dysponują aparaturą, której polscy lekarze mogą im pozazdrościć.

Afterloading to aparat, który ma źródło promieni umieszczone w specjalnym aplikatorze. Promieniowanie włącza się już po wyjściu personelu z gabinetu i kieruje dokładnie w określoną chorą tkankę. Ogromne ułatwienie, dużo bezpieczniejsze, bo szkodliwe promienie nie uderzają poza wskazane miejsce i nie niszczą zdrowych tkanek. Nie zagrażają też lekarzom i pielęgniarkom. Poza tym zapewniają zupełnie inny komfort pacjentkom, które wcześniej musiały nieruchomo znosić wielogodzinne naświetlania, nawet przez kilka dni.

– Kłopot był z tymi promieniami – wspomina doktor Pater. – Jedna pielęgniarka nam zmarła, zachorowała na białaczkę. Ona te preparaty przygotowywała, co trwało dłużej niż zakładanie. Widocznie była też wrażliwsza. Bo podatność na chorobę zależy także od jednostki, od odporności organizmu. To były trudne zabiegi, na przykład przy raku tchawicy po tracheotomii zakładałam w otwór masę plastyczną, taką jakby kostkę podobną do tej używanej w protetyce. Tubki z radem jak gwoździki trzeba było na parę godzin założyć do tchawicy, a potem wyjąć i schować. Igły wbijało się w okolice wargi pacjenta, kiedy trzeba było wykonać naświetlanie tych miejsc… Początkowo pracowaliśmy bez anestezjologów, niektóre zabiegi można było wykonać bez znieczulenia, inne w znieczuleniu dożylnym. Mieliśmy całkiem dobre efekty tego leczenia, ponieważ wiele się zmieniło, jeśli chodzi o sprzęt. W gruncie rzeczy istota radioterapii jest jednak taka sama. Umieralność pacjentów wówczas była większa niż współcześnie głównie dlatego, że rozpoznawalność nowotworu była dużo późniejsza. W tamtych czasach rzadko kto przychodził do nas

z pierwszym stopniem raka szyjki macicy. Trafiały do nas dwójki, trójki, a nawet czwórki, które już się leczyło objawowo. Tymczasem kiedy byłam w Paryżu, to tam specjaliści zastanawiali się, jak wygląda zaawansowany stopień raka szyjki macicy, bo go na oczy nie widzieli. U nich się zdarzał pierwszy, ale drugi czy trzeci to już nie. Zresztą mimo nowoczesnej aparatury rak szyjki macicy nadal jest częstą przyczyną zgonów, przede wszystkim dlatego, że wciąż kuleje profilaktyka. A wyleczenie zależy od wielu czynników. Od wczesnej diagnozy i metody, od indywidualnego przypadku, od tego, jakie jest miejscowo zaawansowanie nowotworu. No i nie da się przecenić psychicznego nastawienia chorej.

Doktor Pater wspomina pewną pacjentkę, która miała raka z trzecim stopniem zaawansowania. Ale miała też dwoje dzieci i była z nimi sama, więc mówiła: „Pani doktor, ja muszę żyć, bo mam dzieci i muszę je wychować”. Wygrała tę walkę, bardzo długo jeszcze przychodziła na kontrolę.

– Komórki nowotworowe są takie, że nigdy do końca nie wiadomo, czy obumarły – tłumaczy doktor Pater. – Mogą być przytłumione i nagle jakiś dodatkowy bodziec może spowodować ich uaktywnienie. Może to być na przykład silny stres. Inna pacjentka, wyleczona zupełnie z raka jajnika, przeżyła tragedię, jej syn zginął w wypadku. Po trzech miesiącach wróciła do nas i zmarła, miała nawrót choroby nowotworowej. Silny stres jest zabójczy, wywołuje brak odporności i wszystko, co złe, może się aktywować.

Pacjentki? Dużo ich było, niektóre z nich do dziś piszą listy. Od jednej leczonej trzydzieści lat temu doktor Pater właśnie dostała na urodziny kopertę z życzeniami i aniołkiem. Kobieta miała wtedy trzydzieści dwa lata, więc można powiedzieć, że jej w pełni udało się pokonać raka.

– Onkologia to może trudna specjalizacja i postrzegana jako przykra, ale proszę mi wierzyć, że dająca bardzo dużo satysfakcji – konkluduje pani doktor. – Jeśli chodzi o porażki, każdy zgon bardzo przeżywałam. To duże obciążenie, ale robiliśmy wszystko, co można było, żeby pacjentka nie cierpiała. Rozbudowaliśmy też opiekę paliatywną dla najbardziej chorych. Całe zawodowe życie walczyłam o profilaktykę, o rozpowszechnianie idei badań i nauczanie samokontroli piersi.

W latach siedemdziesiątych doktor Pater udało się wreszcie uruchomić miejską poradnię onkologiczną na Nowym Mieście. Oferuje ona pełną profilaktykę i diagnostykę onkologiczną.

Zawsze po albo przed dyżurem

Lata sześćdziesiąte, PRL w pełni. Na ten czas przypada aktywność zawodowa absolwentów z rocznika 1954. Mnóstwo dyżurów, dodatkowe prace w poradniach – lekarze tych czasów są bardzo aktywni zawodowo. Pensje mają niskie, zaczynają się od 900 złotych miesięcznie, podczas gdy urzędnicy w biurze zarabiają 2500. Doktor Pater pracuje w szpitalu onkologicznym, przyjmuje w poradni, dojeżdża do Konina jako konsultant wojewódzki. Jest także biegłą sądową oraz ekspertem w sprawach związanych z nowotworami. Jej szef, doktor Stefan Skowroński, odchodzi na emeryturę i w 1984 roku doktor Pater obejmuje stanowisko ordynatora Oddziału Radioterapii Ginekologicznej. I zostanie tam już do emerytury.

– Dużo się pracowało, to prawda – przyznaje ze śmiechem. – Z dyżurów zrezygnowałam dopiero, gdy zostałam ordynatorem. Myślę sobie, że nasze pokolenie w tym wszystkim całkiem dobrze sobie radziło. Siedem, osiem dyżurów w miesiącu, człowiek był albo po dyżurze, albo przed dyżurem… A przy tym prowadziliśmy życie towarzyskie i mieliśmy

na wszystko czas. I na kino, i na teatr, i na operę. Z grupą dwudziestu osób jeździliśmy w góry. Teraz narzeka się, że lekarze mają mało czasu i dużo papierologii. Myśmy w onkologii mieli to już w latach siedemdziesiątych bardzo dobrze zorganizowane. Mieliśmy sekretarki medyczne do wypisów i notowania.

Jeszcze trzy lata temu doktor Aniela Pater jako osiemdziesięciosiedmiolatka pracowała społecznie w Poradni Pomocy Maltańskiej i w Poradni Chorób Sutka, miała więc stały kontakt z pacjentkami.

Zaprzestała praktyki, bo ma kłopoty z poruszaniem się. Gdyby nie to, pewnie nadal chodziłaby do gabinetu.

– Bardzo brak mi pracy – mówi na koniec zamyślona. – Nie żałuję niczego ze swojego życia, z zawodu, niczego bym nie zmieniła.

Dobrze móc tak powiedzieć w dziewięćdziesiąte urodziny.

Rozdział 3

Krystyna Cedro-Ceremużyńska

„Naukowiec w medycynie ma ten przywilej, że wie wcześniej. Zanim cokolwiek z nowości w naszej dziedzinie znajdzie zastosowanie w praktyce – my już to znamy. Lecz jednego życia zawodowego jest za mało, żeby wszystko zgłębić. Gdyby lata aktywności zawodowej można było przeżyć kilka razy – dałoby się zrobić więcej dobrego”.

Profesor Krystyna Cedro-Ceremużyńska, internistka, badaczka, ukończyła Akademię Medyczną w Warszawie w 1961 roku. Większość życia zawodowego poświęciła pracy naukowej. Jest osobą bardzo aktywną i ma żyłkę społecznikowską. Działa w Towarzystwie Miłośników Piękna i Zabytków Konstancina, od lat współpracuje jako wolontariusz z Hospicjum Domowym im. Cicely Saunders. Jako wolontariuszka w Muzeum Powstania Warszawskiego przeprowadzała wywiady z uczestnikami i świadkami powstania dla Archiwum Historii Mówionej. Jest redaktorem dwóch książek upamiętniających fragmenty dawnego świata.

Jednego życia za mało

Dzień, którego zwykle nie ma, bo 29 lutego, tym razem 2020 roku. Sobota, właściwie niemożliwa pora na spotkanie, bo pani Krystyna ma wydać przyjęcie urodzinowe dla dzieci i wnuków. I oto zostaje ono przełożone i jest dodatkowa sobota w kalendarzu. Spotykamy się więc jakby na przekór wszystkiemu, w dodanej przestrzeni czasu, w ostatnich dniach spokojnych spotkań, bo jutro zacznie się marzec i wszystko zblednie w obliczu pandemii koronawirusa. Domek w Konstancinie, w ślicznej okolicy pełnej drzew, płotów i zadbanych uliczek. Słońce, chociaż to wyjątkowa zima bez zimy, więc nie biało, nie zielono, ale mimo to jasno i bardzo przyjemnie. Wita mnie duże przyjazne psisko – Era. Wnętrze zaciszne i przyjemne, mnóstwo książek i roślin, zdjęcia rodzinne na ścianach, Era przygarnięta ze schroniska – i już wiem, że jestem wśród „ludzi znających Józefa”, czyli pokrewnych dusz. Pani profesor Krystyna Cedro-Ceremużyńska, z domu Herbaczyńska, powątpiewa, czy jej życiorys może się okazać interesujący dla czytelników. Ja wątpliwości nie mam. Urodzona w znaczącym 1939 roku w Warszawie, miała zaledwie pięć lat, gdy wybuchło powstanie warszawskie, wiele jednak pamięta z tego dramatycznego okresu.

– Zawsze dobrze pamiętałam czas wojny – potwierdza pani Krystyna. – Nawet rodzice dziwili się, że pamiętam wydarzenia, które miały miejsce, kiedy mogłam mieć trzy, cztery lata, nie więcej… Przestrzeń też pozostała w pamięci… Kiedy myślę: „Krucza, Wilcza”, w wyobraźni pojawiają się bardzo dokładne czarno-białe kadry budynków. Dziwne, że właśnie tak zanotowała je pamięć dziecka…

Przy Wilczej 78, róg Koszykowej, stała kamienica, w której przeżyła wczesne dzieciństwo. Na parterze cukiernia „W. Herbaczyński”, na trzecim piętrze mieszkanie rodziców: Wojciecha i Marii z Szymczaków. Tu Krysia

spędziła pierwsze lata życia – szczęśliwe i spokojne, mimo że wojenne. Tej kamienicy już nie ma, nie przetrwała powstania. Pozostanie po niej tylko zdjęcie – niezwykłym zbiegiem okoliczności, jakby w przeczuciu katastrofy, w 1939 roku profesor Jan Zachwatowicz dał swoim studentom architektury szczególne zadanie: kazał fotografować Warszawę, budynek po budynku. Te zdjęcia okazały się bezcenne w czasie odbudowy miasta po wojnie. Jedno z nich, odnalezione po latach w staromiejskim archiwum, znajduje się w książce autorstwa ojca pani Krystyny, Wojciecha Herbaczyńskiego, *W dawnych cukierniach i kawiarniach warszawskich*, wydanej przez PIW w roku 1983. W tworzeniu i redakcji starała się pomagać córka, w tym czasie już lekarka z dużym dorobkiem naukowym.

Medycynę wybrała jako pierwsza w rodzinie, ale można powiedzieć, że zapoczątkowała medyczną tradycję rodzinną. Starszy syn został kardiologiem, wnuk Maciej studiuje medycynę, być może jego siostra Kasia, jeszcze licealistka, też pójdzie medyczną ścieżką. Profesor Cedro-Ceremużyńska popiera ten wybór.

– Medycyna to fascynująca nauka, w której każdy znajdzie swoją drogę i w której można wciąż się rozwijać, szukać czegoś nowego – mówi. – Jednego życia zawodowego jest za mało, żeby w pełni nacieszyć się medycyną. Gdyby nam, lekarzom, dane było powtórzyć lata aktywności zawodowej, można by zrobić więcej dobrego…

Już na emeryturze pod wpływem pracy w hospicjum chciała zrobić dodatkową specjalizację z medycyny paliatywnej, ale przy licznych zajęciach zabrakło czasu. Ma za sobą więcej niż pół wieku z medycyną. Tak też brzmi tytuł książki, której jest redaktorką, tak zwanej zielonej książki z racji koloru okładki i tytułu: *Jeszcze w zielone gramy. Pół wieku z medycyną*. Pani Krystyna podjęła dzieło męża, profesora Leszka Ceremużyńskiego, który postanowił zebrać wspomnienia kolegów lekarzy

ze swojego roku studiów, spisane po pięćdziesięciu latach pracy zawodowej, bo przecież nikt nie ma tyle do opowiedzenia o człowieku, co lekarze. Kiedy profesor zginął w wypadku samochodowym w 2009 roku, jego żona przejęła misję. „Zielona książka” ukazała się rok później i zawiera mnóstwo ciekawych informacji o studiach medycznych i pracy lekarza przez pół wieku – od wczesnych lat powojennych po czasy PRL-u. A my w naszej rozmowie sięgamy pamięcią do lat jeszcze wcześniejszych, bo czterdziestych ubiegłego stulecia – wyruszamy do przedwojennej Warszawy.

Krysia Herbaczyńska i wojna

Okupacja. Przedwojenne ustabilizowane życie Warszawy skończyło się wraz z klęską kampanii wrześniowej. Miasto jest teraz miejscem grozy: łapanki, godzina policyjna, niedostatki w zaopatrzeniu, degradacja Polaków do roli narodu niewolniczego, getto, całe dzielnice „Nur für Deutsche” – to codzienność początku lat czterdziestych. Warszawiacy muszą jakoś żyć, gdzieś pracować, utrzymać siebie i rodziny. Działają szpitale i urzędy, punkty usługowe i sklepy, kawiarnie i restauracje. Wśród nich jest cukiernia W. Herbaczyński. Właściciel dba o to, by mimo okupacji klienci znaleźli w jego lokalu chwilę spokoju i przyjemności, dlatego panuje tu miła atmosfera, kelnerki uśmiechają się do klientów, a słodkie rogaliki i aromatyczna kawa pozwalają zapomnieć o trudnej rzeczywistości. Kawa z prawdziwych ziaren, nie do zdobycia, a jednak Wojciechowi Herbaczyńskiemu udało się zakupić partię zielonych ziaren na początku okupacji, umie je palić. Kawa w tych czasach to skarb – służy świetnie nie tylko jako rarytas w filiżance, ale też przydaje się na łapówki. Właściciel jest człowiekiem operatywnym – jakoś radzi sobie z zaopatrzeniem, na podwórko podjeżdżają furmanki z mąką, cukrem i węglem. W dobie braku

drożdży specjalnością stają się kruche ciasteczka. Kawiarnia przychylna klientom ma też swoje tajemnice: jest połączenie z labiryntem piwnic, jest sygnalizacja alarmowa i zapasowe wyjścia na tyłach lokalu. Te okoliczności spowodowały, że była dogodnym miejscem konspiracyjnych spotkań. Także mieszkanie właściciela, trzy piętra nad cukiernią, od początku okupacji stanowi punkt kontaktowy dla ZWZ, później AK. Bywa tutaj gen. Stefan Rowecki „Grot”, a przed powstaniem – płk Antoni Chruściel „Monter”. Wojciech Herbaczyński należy do konspiracji od samego początku okupacji, zaprzysiężony już w październiku 1939 roku do Organizacji Orła Białego.

Dwudziestego ósmego stycznia 1944 roku, w piąte urodziny Krystyny, w cukierni ma miejsce likwidacja konfidenta gestapo Freinlda, znanego z okrucieństwa wobec Żydów – to wyrok AK wydany po dochodzeniu przeprowadzonym przez Kazimierza Moczarskiego „Rafała”. Rodzina obawia się konsekwencji. Właściciel lokalu, w którym coś takiego się wydarzyło, może wraz z rodziną stracić życie. Na szczęście dzięki zaangażowaniu w sprawę licznych przyjaciół udaje się przekonać Niemców, że chodziło o jakieś niespłacone długi i prywatne porachunki panów oficerów. Rodzina zyskuje kilka miesięcy względnie spokojnego życia.

O wszystkim tym z pewnością nie wie Krysia – córka Herbaczyńskich. Matka mimo okupacji stara się stworzyć rodzinie normalne życie, chroni córkę przed trudami wojny.

– Pierwsze kilka lat dzieciństwa wspominam jako czas spokoju. Raz tylko pamiętam, jak mama płakała – mówi pani Krystyna. – Kiedy płonęło getto w wielkanocną niedzielę tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Zapytałam, co to jest ta ogromna czerwona łuna, a moja mama nie mówiła nic, tylko łzy płynęły jej po twarzy.

Pani profesor ma sporo wyraźnych wspomnień z czasów okupacji. Dobrze pamięta budynki, których dziś już nie ma (kamienica z cukiernią spłonęła doszczętnie zaraz na początku powstania), dużego ulubionego misia, którego nie mogła zabrać, gdy opuszczali w pośpiechu płonący dom przez otwór w ścianie piwnicy, wybity w ostatniej chwili. Żywa w jej wspomnieniach jest scena pod ulicznym megafonem: tłum ludzi, jakaś kobieta mdleje, szmer grozy. Niemcy obwieścili zbrodnię katyńską. Wszystko to niezrozumiałe, trudne, tyle cierpienia dookoła.

– Wojna rozgromiła rodzinę i zniszczyła wszystkie nasze pamiątki – opowiada pani Krystyna. – Pamiętam dość dobrze album rodzinny, aksamitny, szafirowy, oprawiony, z klamrą, o sztywnych kartach, na których było mnóstwo fotografii. Samych zdjęć naturalnie nie pamiętam, jedno tylko, o którym opowiadała mi ciotka: ujęcie na schodach kościoła Świętego Krzyża. Byłam tam chrzczona.

Taki album to bezcenna dokumentacja historii rodzinnej, lecz w czasie powstania nikt o tym nie myślał. Jedyną rzeczą, którą pani Maria Herbaczyńska zabiera z mieszkania na Wilczej, jest obrazek przedstawiający Anioła Stróża – ostatnia pamiątka po babci Rozalii, która wywieziona po powstaniu do Oświęcimia zginie w obozie. Anioł przetrwał tułaczkę, wisi teraz na ścianie w konstancińskim domu wnuczki pani Krystyny.

Kiedy wybucha powstanie warszawskie, Krysia ma pięć lat. Pamięta niedzielę przed wtorkiem, 1 sierpnia, spędzoną w Komorowie u dziadka, potem pierwszy dzień powstania, gdy do pracowni na tyłach cukierni powstańcy wnoszą ranną dziewczynę, i drugi, bo po bombardowaniu uciekają na Kruczą do wujka. Tego dnia dom na Wilczej przestaje istnieć. Na Kruczej będą mieszkać przez całe powstanie aż do wyjścia z Warszawy w październiku. Pamięta bombardowania i naloty, zejścia do piwnic, całe

tygodnie głodu i strachu, wreszcie exodus cywili z miasta całą falą do obozu przejściowego w Pruszkowie. Dziewczynka nie rozstaje się z lalką, którą od kogoś dostała – w ukochanej Teresce rodzice zaszyli pozostałe kosztowności rodzinne.

– Piątego października wyszliśmy z Warszawy – opowiada pani Krystyna. – To data ważna i symboliczna w rodzinie. Piątego października tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku moi rodzice brali ślub i dokładnie piątego października trzydziestego dziewiątego ojciec był zaprzysiężony w Organizacji Orła Białego. Znalazłam nawet nazwisko majora, przed którym składał przysięgę. Tę datę sam wybrał sobie jako szczęśliwą w życiu.

Z obozu w Pruszkowie udaje im się wyjść cudem dzięki życzliwości Niemca, oficera Wehrmachtu. Ojciec Krysi próbuje go przejednać, mówi, że ma rodzinę w Pruszkowie i chciałby stąd wyjść, bo jest z żoną i dzieckiem.

– Niemiec popatrzył na mnie – wspomina pani Krystyna – i powiedział tatusiowi (treść tej rozmowy ojciec uświadomił mi po latach), że w dalekim niemieckim mieście ma taką samą córeczkę. Wziął Ausweis ojca i kazał nam przyjść pod bramę o oznaczonej godzinie. I rzeczywiście był przy tej bramie, pomógł nam, wyszliśmy. Ojciec miał dwie rzeczy, które chciał mu dać w ramach gratyfikacji: skórzany pugilares z sześcioma cygarami i bransoletkę, którą mama wyciągnęła z mojej lalki. Niemiec wziął tylko cygara, a oddając bransoletkę, powiedział: „Państwu się to przyda, macie małe dziecko. Jak się skończy wojna, to pan mi upiecze tort”. To zdarzenie to nasz rodzinny dowód na to, że bywali i dobrzy Niemcy.

Tak wyszli z obozu i dotarli do domku w Komorowie, proroczo postawionego kilka lat wcześniej na działce dziadka. Wtedy stał się ich rajem i azylem.

– Wprawdzie w domku, nazywanym w rodzinie domeczkiem, mieściła się cała niemiecka komendantura – mówi pani Krystyna – ale oficerowie mieszkali w sąsiednich willach, tutaj przychodzili na narady. Na terenie ogrodu była kuchnia polowa, a jednym z kucharzy był Węgier, który podrzucał nam warzywa. Co raz znajdowaliśmy marchewkę, cebulę pod progiem. Być może dziadek mój się z nim dogadał, mówiąc, że jego ojciec był Węgrem, a może to było z dobrego serca. Warzywka rodzice oszczędzali dla mnie, bo przez całą jesień czterdziestego czwartego i wiosnę czterdziestego piątego roku wszyscy głodowali. Były tylko dynie i białe pastewne buraki, marmolada z buraków, a od wiosny kozie mleko, którym sąsiedzi częstowali dzieci, bo mieli kozę. Dziadek jeździł do Grodziska albo Pruszkowa na targ, żeby za zawartość mojej lalki upolować jakąś żywność. Oficjalnie figurowaliśmy u niego jako rodzina, która przyjechała do Komorowa z odległej miejscowości, bynajmniej nie z Warszawy…

Przeżyli… Wojna miała się ku końcowi, a po wyzwoleniu w styczniu 1945 roku Krysia skończyła sześć lat. Czas na nowe życie.

Wyzwolenie i co dalej?

Ucieczka Niemców i wejście Armii Radzieckiej zastaje rodzinę Herbaczyńskich w Komorowie. Wspomnienie tych dni to jeden wielki huk wybuchów, bo Niemcy tuż przed ucieczką wysadzają składy amunicji.

– Szyby leciały w solidnych willach – wspomina pani Krystyna. – Domek dziadka prawie się rozpadał od tych wybuchów. Na szczęście ktoś poprzecinał jakieś linie łączące składy i wybuchła tylko ich część, bo inaczej cały Komorów poszedłby w proch i pył. My w tych dniach przenieśliśmy się do sąsiadów, ich dom wydawał się stabilniejszy. Miał

mocne weneckie okna. Szyby też z nich leciały, ale przynajmniej futryny trzymały się mocno.

Po wyzwoleniu zostają jeszcze jakiś czas w Komorowie, tu Krysia zaczyna chodzić do szkoły – dokładnie na komplety pani Wandy Szachtmajerowej, która zaraz po wojnie wznawia edukację dzieci i młodzieży w różnych grupach wiekowych. Lekcje odbywają się w mieszkaniach, na tarasach, werandach, w ogrodach. Krysia należy do zuchów prowadzonych przez harcerki z przedwojennym stażem. Nadal jest jedynaczką i tak zostanie.

– Mój rocznik wojenny, a także te okołowojenne obfitowały w jedynaków – mówi. – Ojcowie albo polegli, albo sytuacja nie sprzyjała rodzeniu dzieci.

Po dwóch latach „na pensji” Krysia uczy się rok w szkole powszechnej w Komorowie, odtworzonej przez znakomitego pedagoga Henryka Kotońskiego, a mieszczącej się wówczas w drewnianym baraku sprowadzonym aż z Pomorza. To szkoła z tradycją – uroczystość dziewięćdziesięciolecia w 2013 roku zgromadziła wychowanków także z wczesnych lat powojennych. Po tym roku szkolnym, do dziś ciepło wspominanym, rodzina Herbaczyńskich wraca do Warszawy. Tu Krystyna idzie do szkoły imienia Słowackiego, wkrótce przemianowanej na szkołę Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, kuźnię kadr dla nowego ustroju. Ten cel miała realizować i realizowała przede wszystkim szkoła podstawowa. Początki edukacji w klasach wyższych były jeszcze bardzo dobre: znakomita przedwojenna kadra zapewniała odpowiedni poziom. Wkrótce jednak zmiana ustroju i tutaj daje o sobie znać: zwalnia się dawnych nauczycieli, przybywają nowi, napakowani ideologią marksizmu i leninizmu. Nikt nawet nie wspomina o powstaniu ani o konspiracyjnej działalności podczas okupacji.

Ojciec Krystyny znów prowadzi cukiernię w Warszawie, teraz już ze wspólnikiem Janem Gajewskim. Mieszka na Filtrowej z żoną i córką, życie toczy się dalej. Zbliżają się studia. Krystyna chce być lekarzem, ale jako córka tak zwanej prywatnej inicjatywy może mieć trudności z dostaniem indeksu – jest rok 1956. Mając na względzie te plany, Wojciech Herbaczyński kilka lat wcześniej rezygnuje z prowadzenia cukierni, odbywa wymagany kurs pedagogiczny, zostaje nauczycielem i uczy cukiernictwa w szkole zawodowej, a Krystyna dostaje się na medycynę. Skąd taki wybór?

– Od dziecka zwijałam jakieś bandaże, leczyłam lalki i robiłam opatrunki miśkom – wspomina. – Przez chwilę myślałam o weterynarii, ostatecznie jednak specjalizację kliniczną zrobiłam z chorób wewnętrznych. Ale zawsze mnie interesowała praca naukowa i tak się stało, że weszłam w nurt badawczy, który się potem tak rozbudował, że wypełnił całe moje zawodowe życie.

Praca i nauka – lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte

Studia medyczne Krystyna Herbaczyńska kończy w roku 1961. Potem absolutorium, staż, specjalizacja.

– Myślałam o psychiatrii, o pediatrii, ale ostatecznie zdecydowałam się na internę. Wydawało mi się wówczas, że w tej dziedzinie jest najwięcej możliwości diagnostycznych, trzeba najwięcej kombinować. Zawsze lubiłam logikę. Na pediatrii serce mi pękało przy zabiegach, kiedy trzeba było kłuć przestraszone dzieci.

Po studiach zaczyna pracę w warszawskiej klinice na Szaserów (obecnie Wojskowy Instytut Medyczny).

– Tu zrobiłam specjalizację z chorób wewnętrznych, wszystkie konieczne staże, miałam też wspaniałą mistrzynię, panią profesor Wandę Wysznacką-Aleksandrow – opowiada pani Krystyna. – To była właściwie klinika kardiologiczna, ale generalnie choroby wewnętrzne. Dostałam też stypendium doktoranckie w Polskiej Akademii Nauk na Dworkowej, w Zakładzie Patologii Doświadczalnej PAN. Tam prowadziliśmy później badania nad zawałem serca w modelu doświadczalnym. Praca eksperymentalna otwarta na świat, bo wkrótce znaleźliśmy się w grupie międzynarodowej. Tak się stało, że to mnie wciągnęło bez reszty.

Lata sześćdziesiąte obfitują w zdarzenia: Krystyna Herbaczyńska wychodzi za mąż za kolegę ze studiów, chirurga dziecięcego Andrzeja Cedro. W 1964 roku przychodzi na świat pierwszy syn, Krzyś, drugi, młodszy o sześć lat Wojtek, otrzyma imię po dziadku. Młoda lekarka łączy macierzyństwo i pracę naukową z praktyką w klinice na Szaserów. Tutaj sytuacja staje się coraz trudniejsza. Odwiedziny funkcjonariuszy odpowiednich służb, pytania o kontakty z zagranicą – mimo zaangażowania w pracę kliniczną doktor Krystyna decyduje się odejść, nie czuje się dobrze w tej atmosferze. Zwierza się pani profesor Aleksandrow z prawdziwych powodów decyzji i ogranicza do pracy na Dworkowej. Zresztą pochłania ją to i pasjonuje.

W 1963 roku przyjeżdża do Polski brytyjski uczony John Robert Vane, demonstruje swoje metody badawcze i tak zaczyna się jego wieloletnia współpraca z Polską. Krystyna Herbaczyńska-Cedro dołącza do grupy lekarzy uczestniczących w tej współpracy i prowadzi badania nad oznaczaniem substancji biologicznie czynnych, w tym hormonów, we krwi. Wykorzystują metodę opracowaną przez Vane’a, któremu badania w zakresie patofizjologii i farmakologii przyniosły w 1982 roku Nagrodę Nobla.

– Sir John Vane był wypróbowanym przyjacielem Polski i wiele dobrego zrobił dla polskich uczonych – podkreśla pani Krystyna. Po latach czynnej współpracy odwiedził nas po raz ostatni w roku dwa tysiące trzecim, w czterdziestą rocznicę swojego pierwszego przyjazdu do Polski. Otrzymał wówczas od Prezydenta RP Order Zasługi. Niestety był już wówczas ciężko chory…

Co dokładnie działo się na Dworkowej? Nad czym pracowali?

– Wszystkie badania, jakie prowadziliśmy, dotyczyły patofizjologii, czyli mechanizmów niektórych chorób układu krążenia. A więc badaliśmy rolę hormonów stresu w przebiegu ostrego niedokrwienia mięśnia serca, a także działanie tych hormonów na zdrowy mięsień serca oraz sposoby farmakologicznego przeciwdziałania tym efektom. Badaliśmy czynność dokrewną śródbłonka naczyniowego, a także mechanizmy aktywacji płytek krwi. Nasze prace były częścią badań prowadzących do nowych metod leczenia w kardiologii. Wiele ustaleń, które wynikły także i z naszych badań eksperymentalnych, znalazło potem zastosowanie w badaniach klinicznych. Bo badania kliniczne i leczenie ludzi są ostatecznym wprowadzeniem w życie pomysłów, które motywują do pracy badawczej. Bliskie ludzkiej patologii i ważne klinicznie były także badania nad mechanizmem działania leków przeciwzapalnych, w których uczestniczyłam w Wielkiej Brytanii. Kontakty międzynarodowe w nauce nawiązaliśmy stosunkowo szybko, publikowaliśmy bowiem prace od początku w międzynarodowych czasopismach naukowych. Zgłoszona praca była oczywiście rzetelnie recenzowana, odpowiadaliśmy na recenzje i praca była najczęściej przy pierwszym podejściu przyjmowana do druku. Taki był tok postępowania, a publikacja w cenionym magazynie naukowym była i jest sukcesem. Ale myślę, że o ten sukces teraz znacznie trudniej, bo większa jest liczba problemów i warsztatów badawczych, niemal

nieograniczone możliwości metodyczne, nadmiar prac do publikacji i wszystko znacznie szybciej się dzieje.

W nauce wiele się zmieniło

– Patofizjologia bardzo się rozwinęła w każdej dziedzinie medycyny – potwierdza profesor Ceremużyńska. – Mechanizmy chorób są dziś poznawane w znacznie większym zakresie niż kiedyś. Elektronika wkroczyła do wszystkich metod diagnostycznych. W naszym czasie zespół do pracy badawczej powstawał często spontanicznie: ludzie skupiali się wokół tematu według zainteresowań i możliwości metodycznych. Ktoś miał pomysł, a kolega tu czy tam metodę, która pozwoliłaby ten pomysł sprawdzić, no to trzeba było pogadać. Jeśli się zapalił do tego, to świetnie! Ale to jeszcze nie wszystko: potrzebne były na przykład odczynniki, a te trzeba było zdobyć. Często przysyłały je nam zaprzyjaźnione zachodnie laboratoria. Dostawaliśmy od kolegów z zagranicy różne próbki do badań u nas, w Polsce, niedostępne. Jak się jechało na Zachód, to przywoziło się całe zestawy wyposażenia laboratoryjnego do określonego rodzaju eksperymentów: gumki, rurki, po prostu wszystko. Gdy ktoś kończył staż naukowy za granicą, szef pytał: „Czego ci potrzeba?”. I wtedy pakowaliśmy bagażnik rzeczy, na których później pracowaliśmy w Polsce. Teraz są granty, programy, internet, zupełnie inne oblicze pracy naukowej. Mogę powiedzieć, że w czasie mojego życia zawodowego nastała inna epoka. Na przykład metody rejestracji eksperymentu ewoluowały od prymitywnego zapisu na papierze do wyrafinowanej elektroniki. Moim ostatnim kontaktem z techniką mikroskopową był mikroskop skaningowy, atrakcyjnie obrazujący wnętrze naczynia i elementy morfotyczne krwi. Teraz w laboratoriach technik mikroskopowych są cuda i oszałamiające możliwości. Lata PRL-u – wspomina dalej pani Krystyna – to były czasy

podłe politycznie, ale muszę przyznać, że jako naukowcy zajmujący się medycyną w zakresie eksperymentalnym czy klinicznym mieliśmy pewne przywileje. Jeśli praca była dobra i została przyjęta na międzynarodowy kongres, to dostawało się służbowy paszport i PAN opłacała podróż, a czasami uczestnictwo. Inaczej nie dałoby się wyjrzeć na świat ze względu na finanse. Lot do Tokio czy do Waszyngtonu też był osiągalny, jeśli miało się dobrą pracę włączoną w program kongresu.

Londyn, Stany Zjednoczone, Japonia. Dekady mijają szybko. W życiu prywatnym też zmiany, nie zawsze radosne. W 1991 roku umiera ojciec pani Krystyny, Wojciech Herbaczyński. Można powiedzieć, że na stanowisku pracy. Aktywny całe życie, odznaczony Medalem im. Jana Kilińskiego „Za zasługi dla Rzemiosła Polskiego”, wybiera się na Światowe Targi Cukiernicze w Mediolanie. Tam umiera nagle, najprawdopodobniej na zawał serca. Lata dziewięćdziesiąte zaczynają się smutno, trudnym pożegnaniem.

O roku ów!

Rok 1980. Chwilowy powiew wolności i entuzjazm nie omijają Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN na Dworkowej. Zaraz po podpisaniu porozumień gdańskich powstaje tu Koło NSZZ „Solidarność”, a przewodniczącą jest doktor Krystyna Cedro. Na grudzień ma zaplanowany roczny wyjazd naukowy do Wielkiej Brytanii – tym razem, wobec zdarzeń w kraju, nie tak kuszący jak zwykle. Waha się, planuje wyjazd z synami, którzy pójdą tam do szkoły, więc ostatecznie decyduje się jechać. Przeważyło przekonanie, powszechne w latach PRL-u, że wyjazd na Zachód zza żelaznej kurtyny może się więcej w życiu nie powtórzyć. Prorocze słowa: w Polsce wprowadzono stan wojenny, który zastaje panią

Krystynę w Londynie. To był bardzo trudny czas, długo bez kontaktu z rodziną. Jesienią 1982 roku wraca do kraju z zamiarem ponownego wyjazdu, tym razem tylko na krótko, w celu dokończenia pracy. Jedzie samochodem! To niezwykła okazja, by w drodze powrotnej przemycić do kraju tranzystory wysokiej mocy – elementy potrzebne dla Radia „Solidarność”. To piękna historia. Na to, by w kwietniu 1982 roku mogły zabrzmieć pierwsze słowa audycji Radia „Solidarność”, pracują entuzjaści i naukowcy z różnych dziedzin: fizycy, chemicy, technicy. Większość elementów konstrukcji daje się wykonać w kraju, ale owe tranzystory trzeba było przywieźć z zagranicy. Krystyna uczy się na pamięć nazw potrzebnych elementów, ma je zakupić w Londynie. John Robert Vane, lojalnie uprzedzony o tym zamiarze, zakazuje jej kupować sprzęt osobiście w obawie przed donosem i kłopotami w Polsce, bierze na siebie dyskretną organizację zakupu, życząc sobie stanowczo udziału w jego finansowaniu. Autem z nielegalnym towarem pani Krystyna rusza do Polski. Tranzystory wysokiej mocy jadą wśród przyborów laboratoryjnych, gumek, rurek i papierzysk, ale zupełnie do nich niepodobne. Celowy bałagan w bagażniku niby roztargnionej uczonej tworzy kamuflaż. Podróżniczka przejeżdża kolejne granice, polskiej obawia się najbardziej, ale w środku nocy celnicy ledwie rzucają okiem na bagażnik. Na szczęście samotna kobieta za kierownicą wzbudza raczej litość niż podejrzenie o antypaństwową działalność. Doktor Cedro dojeżdża szczęśliwie do Warszawy i tranzystory zostają przekazane do zakonspirowanych struktur Radia „Solidarność”, by mogło ono w dalszym ciągu nadawać. Nazajutrz dzwoni żona Vane’a z niespokojnym pytaniem o pogodę w Warszawie (!) i czy aby podróż dobrze minęła…

Stan wojenny też mija. W życiu doktor Cedro zachodzą zmiany: po rozwodzie wychodzi po pewnym czasie drugi raz za mąż za kardiologa,

profesora Leszka Ceremużyńskiego. Wyprowadzają się z Warszawy, bo znajdują perełkę – starą willę Marychnę w Konstancinie. Wybudowana na początku XX stulecia, nosi imię zmarłej córki pierwszego właściciela, przemysłowca ze Śląska Lucjana Florianowicza Rozmanitha. Jest świadkiem historii – lat dostatnich i spokojnych, potem także dramatycznych. Przed wojną tonie w różach, przez co zyskuje też nazwę willi Różanej. Piękna architektura, ale potrzebny generalny remont, leśny ogród wymaga wiele pracy… Coś w sam raz dla pani Krystyny, która kocha rośliny i wyzwania. W Marychnie będą mieszkać z mężem dwadzieścia cztery lata. Starają się przywrócić dawny klimat siedziby, stworzyć dobry dom. Oboje mają dzieci z poprzednich małżeństw i pod dachem Marychny bywa gwarno.

– Z córką męża, Anią, miałyśmy i mamy bardzo dobre relacje, a z naszą młodzieżą byliśmy wtedy prawdziwym patchworkiem. – Pani Krystyna się śmieje. – Raz na miesiąc robiłam obiad na osiemnaście osób! Ania ze swoją rodziną, mama jej męża, wszystkie moje dzieci: obaj synowie, synowe i wnuki. Potrzebny był wielki stół. Jakim cudem robiłam te obiady? Do dziś nie wiem, ale stało się to tradycją.

W latach dziewięćdziesiątych na niewielkiej działce w Konstancinie budują bliźniak z myślą o dzieciach, które już zakładają rodziny. Niestety życie zaskakuje, czasem boleśnie: w 2009 roku w wypadku samochodowym ginie profesor Leszek Ceremużyński.

– Właściwie nie wiadomo, co się stało – opowiada pani Krystyna. – Był rozważnym kierowcą, miał sprawne auto i były doskonałe warunki do jazdy. Z niewiadomych przyczyn zjechał na lewy pas. Może zasłabł? Był niezwykle aktywnym człowiekiem, wracał z sanatorium w przeddzień uroczystości trzydziestolecia swojej Kliniki Kardiologii… Był w trakcie

przygotowywania książki *Jeszcze w zielone gramy. Pół wieku z medycyną*: zbioru wspomnień kolegów lekarzy ze swojego roku.

Książkę pani Krystyna musi dokończyć za niego. A życie znów całkowicie się zmienia, bo trzeba opuścić Marychnę. W dodatku dzieje się to w czasie wciąż trwającego kryzysu przy nadmiarze nieruchomości na sprzedaż…

– Trudno byłoby udźwignąć koszty utrzymania zabytkowego domu, w dodatku zbyt obszernego dla jednej osoby – tłumaczy pani profesor. – Zamieszkałam w przyjaznym domu moich dzieci, podczas gdy oni, z ulgą rezygnując z codziennych dojazdów do Warszawy, przenieśli się na Ursynów.

Emerytura

Pani Krystyna mimo emerytury jest bardzo zajętą osobą. Nadal współpracuje jako wolontariuszka z tym samym hospicjum, niezmiennie przywiązana do medycyny paliatywnej.

– Jest to niezwykła specjalność: łączy choroby wewnętrzne, onkologię, geriatrię, często wymaga wsparcia psychologa, zawsze wielkiej empatii. Do tej pory żałuję, że nie zdążyłam zrobić specjalizacji z medycyny paliatywnej. Pracowałam z pacjentami, korzystając z doświadczenia i wsparcia moich znakomitych koleżanek.

Lata na emeryturze pani Krystyna przeżywa bardzo intensywnie.

– Zabrałam się najpierw za książkę mojego ojca, chcąc przygotować trzecie wydanie, co pochłonęło rok pracy. Ale warto było, bo jakość wydania w dwa tysiące piątym roku była nieporównywalna z edycją z lat osiemdziesiątych. Potem zrządzeniem losu przyszło mi redagować „zieloną książkę” męża, w międzyczasie dorastały wnuki, chciałam mieć z nimi

kontakt, gdy stawały się nastolatkami. Pożegnanie z Marychną i przeprowadzka były bardzo trudne. To był dom z duszą, mieścił w sobie archiwa i zbiory trzech pokoleń: ogromne archiwum mojego ojca, jeszcze większe męża. Żeby się z tym zapoznać i zdecydować o przeznaczeniu papierów czy pamiątek, potrzeba było dużo wysiłku i czasu.

Obecnie profesor Ceremużyńska wciąż współpracuje z hospicjum, zajmuje się też porządkowaniem rodzinnych historii. Kiedy rozmawiamy, czeka na informacje z muzeum w Oświęcimiu, bo oto po latach udało się trafić na ślad babci – Rozalii Szymczak.

– To kolejny dowód na to, że nie należy rezygnować ze swoich przedsięwzięć – mówi. – Zaraz po wojnie, jeszcze w czterdziestym piątym, otrzymaliśmy wiadomość z PCK, że babcia zmarła na tyfus, ale większość rodzin dostawała takie same informacje z Oświęcimia. Po latach pisałam do Muzeum Auschwitz-Birkenau z prośbą o informacje, ale odnaleziono tylko numer obozowy. Wiadomo, że dokumentację celowo niszczyli Niemcy, opuszczając obóz, a częściowo rozproszyła się po świecie. Nie wierząc w powodzenie, niedawno ponowiłam pytanie i dostałam odpowiedź, że nazwisko babci wraz z numerem obozowym znaleziono w tak zwanej księdze Bellerta. Zmarła trzy tygodnie po wyzwoleniu obozu, zapewne z wycieńczenia, w szpitalu założonym i prowadzonym przez pułkownika doktora Józefa Bellerta. Był to jeden ze szpitali polowych, które otoczyły opieką ponad cztery tysiące wyzwolonych więźniów będących najczęściej w stanie terminalnym. Doktor Józef Bellert, przed wojną dyrektor szpitala w Pińczowie, a wcześniej lekarz Pierwszej Brygady Legionów Polskich, natychmiast po wyzwoleniu Oświęcimia jako wolontariusz zorganizował na miejscu szpital dla ocalonych. Uratował wielu ludzi… Ale nazwisko Bellert było mi znane wcześniej. Mianowicie w końcu lat osiemdziesiątych z inicjatywy mojego męża, przy udziale grona społeczników, wybitnych

osób z różnych profesji, założyliśmy stowarzyszenie, którego cel zawierał się w nazwie: Obywatelski Komitet Budowy Szpitala Kardiologicznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Zgłosiła się do nas wówczas pani Maria Bellert, mówiąc, że jej ojciec był żołnierzem marszałka i lekarzem, więc ona z potrzeby serca chciałaby nam pomagać. I prowadziła honorowo naszą księgowość przez kilka lat, jak długo jej zdrowie pozwalało. Gdy dostałam wiadomość z Oświęcimia, że znaleziono nazwisko babci w księdze doktora Bellerta, uświadomiłam sobie, jak to ludzkie losy mogą się spotkać po latach.

W ten sposób, dzięki Babci, rozmowa nasza zatoczyła koło i powróciłyśmy znów do wspomnień trudnych lat wojennych. Nie przepadną: Krystyna Cedro-Ceremużyńska spisała je w formie pamiętnika przeznaczonego dla wnuków. Każdy dostaje swój egzemplarz w osiemnaste urodziny. Marysia, Maciej i Mateusz już odebrali – dostaną go jeszcze Kasia i Michał, oboje na razie niepełnoletni. Trudno o piękniejszy prezent.

Pani Krystyna nie żyje samą przeszłością. Nigdy nie przechodziła obojętnie obok tego, co się dzieje na świecie, i teraz dodaje: „Myśląc o latach przeżywanych na emeryturze, oceniam je jako czas pożytecznych aktywności. Ponadto dzieci, moi synowie i synowe, dają mi poczucie bezpieczeństwa, co składa się obiektywnie na pogodną rzeczywistość. Cieniem na tym krajobrazie jest świadomość zła, które w ostatnich latach zawładnęło naszym krajem. To, co się dzieje, nie mieści się w moim pojmowaniu instytucji państwa, prawa, życia społecznego. Wobec braku moralności, kompetencji i politycznej wyobraźni, wobec destrukcji edukacji nie można być obojętnym. Mojemu pokoleniu, które przeżyło dwa systemy totalitarne, poczucie obowiązku nakazuje sprzeciw. Winniśmy to naszym wnukom”.

Rozdział 4

Rela Bogucka

„Na przestrzeni mojej pracy w medycynie zmieniła się cała epoka, jeśli chodzi o diagnostykę czy sprzęt. Ale są pewne stałe zasady, których łamać nie wolno w żadnym wypadku, bo to się mści na pacjencie i na lekarzu”.

Doktor Rela Bogucka mieszka i pracuje w Tarnowie. Studiowała w Akademii Medycznej w Krakowie. Jest hepatologiem, specjalistką drugiego stopnia chorób zakaźnych. Uzyskała dyplom w 1961 roku, przez wiele lat pracowała w Szpitalu Wojewódzkim w Tarnowie jako lekarz i zastępca ordynatora, później lekarz wojewódzki wydziału zdrowia. Kierowała obsługą medyczną podczas wizyty Papieża Jana Pawła II w Tarnowie w 1987 roku. Cały czas praktykuje w swoim gabinecie. Dopiero pandemia Covid-19 wiosną 2020 roku nieco odsunęła ją od pacjentów.

Doktor Rela

Doktor Bogucką poznałam kilkanaście lat temu w Warszawie, kiedy przyjechała do córki, z którą jestem zaprzyjaźniona. Mieliśmy małe spotkanie lekarzy seniorów, bo był wówczas u mnie mój tata, emerytowany radiolog. Okazało się, że zaczynali praktykę w tych samych czasach,

chociaż w zupełnie innych miejscach Polski. Wyzwanie było to samo: „Dostaliśmy do ręki słuchawki, skalpel, strzykawki Recorda i trzeba było iść w świat leczyć ludzi”. Miło było słuchać, zwłaszcza że doktor Bogucka lubi i umie opowiadać. Minęły kolejne dekady i jest co wspominać, ale wspominamy telefonicznie, bo właśnie panuje koronawirus… Tak więc moja bohaterka w Tarnowie, ja na Podlasiu, ale w dobie komórek i internetu nie ma to większego znaczenia.

Wojenne dziecko

Urodziła się w 1937 roku w inteligenckiej rodzinie żydowskiej. Ojciec był adwokatem. Ukończył studia prawnicze w Krakowie, robił aplikanturę w Tarnowie. Niedługo po pojawieniu się na świecie córki Reli założył tu kancelarię adwokacką. I zaraz potem wybuchła druga wojna światowa.

– Byłam wojennym dzieckiem oddanym na przechowanie na czas, gdy rodzice musieli wyjechać, żeby ratować życie – opowiada doktor Bogucka. – Kiedy we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego wybuchła wojna, ojciec z matką i ze mną, dwuletnią dziewczynką, uciekli przed frontem wojennym do swoich rodziców do Horodienki, ale siedemnastego września weszli tam Rosjanie i znaleźliśmy się pod rosyjską władzą. Ojciec nie przyznał się do adwokatury, bo wszyscy sędziowie i adwokaci, jak cała inteligencja, natychmiast trafiali na Sybir. A że był też świetnym buchalterem, zatrudnił się w tartaku i to pozwoliło rodzinie przetrwać. Spokój trwał do czasu, kiedy wkroczyli Niemcy. Ci zaraz utworzyli getto i sytuacja stała się niebezpieczna. Jednego dziadka zastrzelili, drugiego wysłali do obozu. Właścicielem tartaku został Niemiec. Ojciec doskonale zdawał sobie sprawę, co nas czeka. Kiedy tylko zaczęły się pierwsze wysiedlenia, postanowił uciec do Rumunii. Znaleźli się ludzie,

którzy za sowitą opłatą zgodzili się przeprowadzić rodziców przez granicę, niestety bez dziecka. Rodzice nie mieli wyboru, tutaj nie mieli szans na przetrwanie. Postanowili znaleźć mi opiekę na czas wojny. Nie było łatwo, ale w końcu znaleźli panią, której mogli zaufać i oddać dziecko. „Babcia” Józia przed wojną pracowała jako kucharka i gospodyni w „lepszych domach” żydowskich lub polskich. Nie miała uprzedzeń, była samotna i wysiedlona, mieszkała poza miastem. Moja ciotka zapytała ją: „Czy nie wzięłaby pani dziecka na przechowanie?”. „A może bym i wzięła” – odparła Józia. Kiedy zjawiła się u nas pierwszy raz, ja, czterolatka, zapytałam poważnie: „Czy pani przyszła po mnie?”. Rozczuliło ją to podobno i tak zostałam z nią w Polsce. Rodzice i reszta rodziny uciekli przez zieloną granicę. Zostali złapani w Rumunii. Na szczęście mój ojciec znalazł wybieg, który uratował im życie. Rumuni chcieli całą grupę oddać Niemcom. Ojciec postawił im ultimatum: „Jeśli to zrobicie, zeznamy, że nas przyprowadzili rumuńscy przemytnicy, którzy mieszkają w Polsce. Podamy nazwiska i adresy”. To było oczywiście nieprawdą, bo nie żadni Rumuni, tylko Ukraińcy przeprowadzili rodzinę przez granicę, ale Rumuni przestraszyli się o swoich i sami zorganizowali sprawę sądową. Skazali wszystkich na dwadzieścia lat za szpiegostwo, ale to oznaczało życie, bo przesiedzieli wojnę w więzieniu w Czerniowcach oczywiście nie dwadzieścia lat, tylko cztery. Armia Czerwona ich wyzwoliła. Ojciec natychmiast przyjechał po dziecko, zabrał mnie z powrotem do Czerniowiec, wyrobił emigracyjne dokumenty i pierwszym transportem repatriacyjnym w czterdziestym piątym roku przyjechaliśmy do Tarnowa. Ja w Polsce byłam Marusią Piotrowską. Miałam takie przybrane nazwisko, pamiętam nawet swój chrzest na wsi, musiałam zapomnieć o swoim prawdziwym nazwisku, o tym, że urodziłam się jako Rela Kohn. „Babcia” Józia opiekowała się mną w czasie wojny – wspomina dalej Rela. –

Mieszkałyśmy we dwie, same. Myślę, że unikała kontaktów z ludźmi, żeby ktoś nie doniósł. Bywało, że stawiałam jej bańki, chociaż miałam tylko pięć lat. I to był mój pierwszy kontakt z medycyną. Moja opiekunka mówiła: „Marusia, jak to wszystko się skończy, zostań lekarzem…”.

Skończyło się, nadszedł rok 1945 i kres wojny. Kohnowie po repatriacji układają sobie życie w Tarnowie. Ojcu znów pomaga buchalteria, nie prawo. Dlatego kiedy w 1955 roku Rela osiągnęła wiek stosowny do podejmowania decyzji o studiach, ojciec powiedział: „Wybierz zawód, który jest zawsze potrzebny i w każdych czasach pozwoli przetrwać. Idź na medycynę”. Nie chce, by poszła w jego ślady, chociaż ona zupełnie poważnie rozważa studia prawnicze. Ale posłucha ojca. Z powodzeniem zdaje na Akademię Medyczną w Krakowie, bo to ośrodek akademicki najbliżej domu, i już na studiach stwierdza, że to był dobry wybór.

– Nigdy tego nie żałowałam, że pogodziłam się z decyzją moich rodziców – przyznaje – ale nie było to moje marzenie jak chłopca, który chce być strażakiem, czy dziewczynki, która marzy o aktorstwie. Po prostu tak mi powiedzieli, to tak miało być. Samą medycynę polubiłam bardzo, z wielką przyjemnością studiowałam i dobrze mi szło, egzaminy zdawałam w terminach. Wprawdzie nie lubiłam nigdy ekstremalnych sytuacji medycznych: sekcji zwłok, amputacji, poważnych, głębokich operacji. To były dla mnie zawsze trudne przeżycia. Ale studia bardzo mi się spodobały, chociaż wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiaj.

Rela Kohn studiuje w latach 1955–1960. Pracę zaczyna w roku 1961, bo najpierw na koniec studiów trzeba zdać wszystkie egzaminy dyplomowe i odbyć roczny staż. Dopiero po nim dostaje się dyplom lekarski i skierowanie na kolejny staż – podyplomowy.

– Najczęściej robiło się go w tym samym szpitalu, co staż przed dyplomem, i też trwał rok – opowiada doktor Rela. – Polegał na tym, że

trzeba było przepracować po trzy miesiące kolejno na czterech oddziałach: wewnętrznym, chirurgii, ginekologii i położnictwie oraz pediatrii. Przepracować jako lekarz, bo już się miało pieczątkę. Dyżurowaliśmy, ale jeszcze pod nadzorem asystentów pracujących w tym szpitalu. Po roku dostawało się świadectwo ukończenia stażu i można było podjąć pracę. Staże wykonywało się tam, gdzie się miało stałe zameldowanie. W moim przypadku nie można było odbyć go w Krakowie, tak jak bym chciała, tylko w Tarnowie, a po stażu do pracy, to już tam, gdzie jest miejsce. Decydował o tym kierownik wydziału zdrowia. Ten akurat niespecjalnie dobrze się do mnie odnosił, po pierwsze, ze względu na ojca, który wykonywał wolny zawód, więc to było wbrew systemowi, a po drugie, ze względu na moje semickie pochodzenie. W związku z tym czekały na mnie miejsca pracy w pogotowiu albo w przychodniach, gdzie brakowało lekarzy, ale to byłby skok na głęboką wodę. Niezbyt mi się to uśmiechało i miałam dylemat.

Młoda lekarka na rubieżach kraju

Młoda doktor Rela ma poczucie, że brak jej jeszcze doświadczenia i wiedzy, by mogła przyjmować pacjentów.

– Bardzo się bałam samodzielnej lekarskiej pracy – wspomina doktor Bogucka – bo my na studiach mieliśmy mało praktyki. Teorii było mnóstwo, ale przygotowanie praktyczne to już była trochę wolna amerykanka. Jak ktoś chciał chodzić na izbę przyjęć, to chodził i nauczył się robić zastrzyki, a jak się bał, to mógł przejść całe studia i nie zrobić ani jednego zastrzyku. Wielu rzeczy uczyliśmy się, przyglądając się pracy pielęgniarek. Było dużo studentów, w moim roczniku wydział lekarski kończyło trzysta osób. Miałam więc dyplom w ręku, mnóstwo teorii wbitej

do głowy, ale praktyki właściwie żadnej. Jak z tym iść na pogotowie albo do gabinetu i z marszu stawiać diagnozy?

Skazana na głęboką wodę albo sanepid doktor Rela podejmuje zaskakującą decyzję. Oto w tarnowskiej służbie zdrowia jest jedna możliwość otrzymania etatu w szpitalu – na oddziale zakaźnym, gdzie nikt nie chce pracować.

– Wszyscy się bali. Był tam tylko ordynator i nie miał ani jednego lekarza w asyście. – Doktor Bogucka się śmieje. – A ja uznałam, że nade wszystko chcę pracować w szpitalu, choćby na zakaźnym, żeby się czegoś nauczyć pod doświadczonym okiem. Przecież zakaźnymi chorobami też ktoś musi się zająć. Więc poszłam tam, chociaż wszyscy mi odradzali. Pracowałam pod okiem ordynatora i robiłam specjalizację. Miałam też kontakt z oddziałem wewnętrznym, bo obowiązywały mnie staże na internie. Na zakaźnym było czterdzieści łóżek, tam zrobiłam pierwszy i drugi stopień specjalizacji.

Odnajduje się na „wyklętym” oddziale zakaźnym znakomicie. Przepracuje tu piętnaście lat. W tym czasie wiele się zmienia w życiu młodej kobiety: wychodzi za mąż za inżyniera Bogdana Boguckiego, rodzi córkę Dorotę, zawodowo awansuje na zastępcę ordynatora oddziału zakaźnego. Pracuje się w tych czasach dużo, każdy lekarz ma półtora etatu, do tego dyżury na oddziale wewnętrznym i na izbie przyjęć. Placówka, w której jest zatrudniona, to duży szpital powiatowy. Obsługuje ponad dwieście tysięcy ludzi i ma sześćset dwadzieścia łóżek oraz dziesięć oddziałów, w tym chirurgiczny, ginekologiczno-położniczy, pediatryczny i pulmonologiczny, który właściwie był przeciwgruźliczym, bo wówczas wśród chorób płucnych także i tutaj króluje gruźlica. Duży przekrój specjalności, a lekarzy mało, więc wszyscy się znają, spotykają na dyżurach.

– Jeśli na dyżurze zdarzył się przypadek do operacji, to przy stole stawał chirurg i położnik – wspomina z uśmiechem doktor Bogucka. – A był to najczęściej wyrostek robaczkowy do wycięcia. Mnóstwo tego robiliśmy. Podejrzewam, że często niepotrzebnie, ale cięło się profilaktycznie. Znieczulenie polegało na tym, że na maseczce podawało się chloroform. Trzeba było tylko uważać, żeby za dużo nie dać pacjentowi albo samemu się nie nawdychać. Anestezjologii w dzisiejszym rozumieniu nie było, narkozę dawał lekarz pediatra albo lekarz z izby przyjęć, a najczęściej kierowano do tego lekarki, które chciały być chirurgami, bo koledzy uważali, że kobieta lepiej się nadaje do znieczuleń niż do operowania. Diagnostyka to było wyzwanie! Wyobraź sobie: przywożą pacjenta i nie masz nic, laboratorium zamknięte, bo czynne tylko do piętnastej, nie ma EKG, bo też czynne od ósmej do piętnastej, jedno na cały szpital i obsługuje go tylko pani Stenia, nikt więcej nie umie tego zrobić. Nie masz sprzętu do diagnostyki, za to masz nieprzytomnego pacjenta. Musisz sama wymyślić, co się dzieje i dlaczego. Trzeba go zbadać i dokładnie… obwąchać, bo jeśli pachnie acetonem albo jabłkami, to jest to śpiączka cukrzycowa i kwasica, jeśli alkoholem to znaczy, że się urżnął, jak ma nierówne źrenice i podczas badania odruchów neurologicznych coś jest nieprawidłowo, to znaczy, że udar. Jak jest nieprzytomny, to musisz go dokładnie osłuchać i zmierzyć tętno, poobserwować. Właściwie tylko tyle możesz zrobić. Bardzo wielu naszych pacjentów cierpiało wtedy na wrzody żołądka – opowiada dalej pani doktor. – Krwawiące od razu szły do chirurgów, którzy je namiętnie wycinali, też sądzę, że nadmiernie. Mnóstwo ludzi z tamtych czasów żyje bez kawałka żołądka. Dziś wrzody żołądka uważamy właściwie za chorobę zakaźną. Trzeba podawać antybiotyki, leki hamujące kwas żołądkowy, w żadnym wypadku nie stosujemy mlecznej diety, a wówczas była modna. Wrzody dwunastnicy leczyło się

zachowawczo, podając zastrzyki „osuszające” i zalecając odpowiednią dietę. Szło się rano na oddział, robiło dziesięć zastrzyków osuszających i dziesięciu pacjentom z niewydolnością krążenia podawało strofantynę z glukozą lub solą fizjologiczną albo naparstnicę. To był początek dnia. Na moim oddziale zakaźnym królowały zakażenia pokarmowe: salmonellozy, czerwonki, no i żółtaczki zakaźne. Mnóstwo tego było w latach sześćdziesiątych, na oddziale zakaźnym były prawie same żółtaczki. Teraz właściwie nie ma już takich pacjentów, teraz najczęściej mamy do czynienia z boreliozą. Ale w tamtych czasach, jak pacjent był żółty, to zawsze trafiał do nas na zakaźny i trzeba było różnicować, dlaczego tak zżółkł: czy mu się przewody żółciowe zatkały, czy może jest to kamica? USG nie było, tylko rentgen, ale chcąc zrobić badanie rentgenowskie, trzeba było poczekać do rana na radiologa, żeby po przyjściu do pracy podał kontrast, postawił diagnozę. Oczywiście tomografii komputerowej ani rezonansu magnetycznego też nie było, musieliśmy z wywiadu i badania przedmiotowego postawić rozpoznanie i zacząć leczenie. Pacjent żółty, a bólu wskazującego na kamienie nie ma, to żółtaczka, ale trzeba ustalić jaka. Bywało, że najpierw leczyliśmy, a potem dopiero okazywało się, na jakiego typu żółtaczkę. Jak szybko mija, bez ciężkich objawów, leczy się dobrze dietą, to żółtaczka typu A, a jeśli wyniki badań biochemicznych, bo tylko takie były, się pogarszały, a w wywiadzie były już operacje lub zastrzyki, to uważaliśmy, że to druga postać, B. Możliwości wykrywania antygenów, cząsteczek wirusów przyszły dopiero potem. Kiedy ja kończyłam studia, to się mówiło: „Wśród drobnoustrojów są jeszcze wirusy, ale o nich nic nie wiemy”.

Doktor Bogucka po chwili milczenia podejmuje swoją opowieść.

– Bardzo wiele zmieniło się w medycynie. Pracuję ponad pięćdziesiąt lat, to mam perspektywę. Na przykład zawały serca leczyło się

miesięcznym unieruchomieniem pacjenta w łóżku, bo nie było żadnych przeciwzakrzepowych leków. Teraz mowy o tym nie ma. Na przestrzeni mojej pracy w medycynie zmieniła się cała epoka, jeśli chodzi o diagnostykę czy sprzęt. Zmiany zmianami, ale są pewne stałe zasady, których łamać nie wolno w żadnym wypadku, bo to się mści na pacjencie i na lekarzu. Będąc młodą lekarką na rubieżach kraju, zmęczona po dyżurze złamałam jedną z nich i nigdy tego nie zapomnę. Do gabinetu lekarskiego zajrzała pielęgniarka i zgłosiła, że pogotowie przywiozło szesnastoletnią dziewczynę. Byłam zmęczona po nocnym dyżurze, pytam, co jej jest. Bardzo boli ją brzuch. A, to proszę zabrać ją najpierw do chirurga, żeby wykluczył, czy to nie ostry wyrostek. Jeśli nie, to przyjdę i się nią zajmę. Mija kilka chwil i dzwoni zirytowany chirurg: „Coś ty mi przysłała? Jaki wyrostek, ledwo ją zdążyłem przetransportować na porodówkę. Rodzi aż miło!”. Zatkało mnie. Nie miałam czasu tego przeżywać, bo wpadła do mnie matka pacjentki z pretensjami, gdzie jest jej córka i czemu ją tak brzuch boli. Omal nie zemdlała, gdy usłyszała odpowiedź, bo nie wiedziała o ciąży i teraz musiałam się zająć matką… Przysięgam, to był pierwszy i ostatni raz, kiedy nie zbadałam osobiście pacjenta przed ustaleniem, co dalej. Tak mi było wstyd! Jak mogłam rodzącą kobietę odesłać na chirurgię z podejrzeniem wyrostka! Ale widocznie każdy musi zaliczyć wpadkę. Nam, lekarzom tamtych czasów, wpajano twarde zasady, których warto się trzymać. Na przykład jeśli coś się dzieje z dzieckiem do dwóch lat, gorączka, inne niepokojące objawy, trzeba je bez dyskusji zabrać do szpitala, nie można odesłać do domu. Także każda kobieta w połogu, która gorączkuje, musi natychmiast trafić do szpitala, bo grozi jej sepsa. Od końca dziewiętnastego wieku w cywilizowanym kraju nie ma prawa zdarzyć się coś takiego jak śmierć w połogu z zakażenia! Taki kanon nas obowiązywał. Dziś, z tego, co słyszę w mediach, różnie z tym bywa.

Hepatologia i inne medyczne sprawki

W latach siedemdziesiątych doktor Bogucka dostaje propozycję, żeby zająć się medycyną społeczną w wojewódzkim wydziale zdrowia w Tarnowie, w roli inspektora lekarza. To nieco inny rodzaj pracy, bliższy administracji. Ta gałąź medycyny zajmuje się organizacją ochrony zdrowia, epidemiologią, higieną, badaniem związku między warunkami życia ludzi a zachorowalnością i oczywiście szerzeniem profilaktyki. Nowe wyzwanie, nie do końca lukratywne, ale zakaźny przeniesiono dwadzieścia kilometrów od Tarnowa, Dorota jeszcze mała, więc rezygnuje z pracy w szpitalu, decyduje się na wojewódzki wydział zdrowia. Akurat powstają nowe województwa, jest rok 1976.

– Zgodziłam się – opowiada doktor Rela – ale pod warunkiem, że nadal będę uprawiać praktyczny zawód lekarza, czyli obejmuję pół etatu w szpitalu na oddziale wewnętrznym i będę prowadzić poradnię chorób wątroby. Uzyskałam zgodę i przeszłam do tej administracji. Musiałam zrobić specjalizację z medycyny społecznej i zostałam tam inspektorem, czyli kimś od czarnej roboty. Lekarz medycyny społecznej zajmuje się organizacją: na przykład planuje, ile potrzeba kardiologów w rejonie, ile łóżek szpitalnych musi być w placówce obsługującej taką, a taką liczbę osób, i tym podobne historie.

Tak nadszedł rok 1980 i powstała Solidarność. Półtora roku wolności. Na fali nowego ładu wymiata się dyrektorów wydziału zdrowia. Władza chce pokazać Solidarności, że idzie na współpracę i że starych dyrektorów zastąpią niepartyjnymi. Najlepiej, żeby to była niepartyjna kobieta.

– Wojewoda tarnowski nie miał kogo zrobić nowym dyrektorem, więc w styczniu osiemdziesiątego pierwszego zaproponował mi to stanowisko. – Doktor Bogucka się śmieje. – Kobieta, niepolityczna: dobry ruch, tak mu się pewnie zdawało. Nie uśmiechało mi się za bardzo, ale zgodziłam się.

Kto by przypuszczał, że nadchodzi stan wojenny i co nas czeka. I byłam trochę naiwna; myślałam, że to w dobrej wierze, proszę bardzo, nie mają uprzedzeń co do mojego pochodzenia, bo zawsze otwarcie mówiłam, że jestem Żydówką. Niepartyjna, niepolityczna. Kiedy potem w stanie wojennym zaczęło się przykręcanie śruby, akurat to, że nie byłam z partyjnego nadania, mnie ocaliło… I wytrwałam jako dyrektor wydziału zdrowia przez jedenaście lat, do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

To trudny rok. W życiu prywatnym na doktor Bogucką spada cios, bo umiera jej mąż. W ostatnich latach był bardzo aktywny, z przyjacielem Aleksandrem Wałęgą zakłada firmę budowlaną mającą w ofercie autorską metodę ocieplania budynków. Niestety Bogdan choruje na serce. Poddaje się operacji, ale wskutek powikłań pooperacyjnych umiera. Po pewnym czasie Aleksander, sam wdowiec, wyznaje Reli swoją tajemnicę: kochał ją przez lata, lecz dopóki żył Bogdan, nie wspomniał o tym ani słowem, ani gestem. Oświadcza się i zostaje przyjęty. Doktor Bogucka wychodzi za mąż po raz drugi nazywa się teraz Rela Bogucka-Wałęga i żyje w rodzinie patchworkowej, bo mąż ma dwie córki z pierwszego małżeństwa. Oboje dużo pracują, oddech łapią w górach, w domku w Beskidzie Sądeckim.

Kobiet dyrektorów w tych czasach nie było wiele. Doktor Bogucka ma swoją teorię na ten temat.

– Owszem, to jest tak, że jak nadchodzą ciężkie czasy, to się od razu robi kobiety dyrektorami, bo one dają radę. Bo robią, co mają do zrobienia, żeby zrobić, a nie dla ambicji i żeby pokazać, kto tu rządzi. Umieją pogodzić obowiązki z rodzinnym życiem. Potrafią rozwiązywać konfliktowe sytuacje. To był rok chyba osiemdziesiąty trzeci, kiedy pierwszy sekretarz zażyczył sobie, żebym pojechała do szpitala powiatowego i kazała zdjąć krzyże ze ścian. „Ja? Żydówkę pan wysyła,

żeby likwidować krzyże? Chcę pan wojnę religijną rozpętać?”, spytałam. Sekretarz zgłupiał. „Nie, no nie, żartowałem”, odpowiedział. Przyszedł dyrektor zakładu, akurat człowiek bardzo prokościelny, i sprawę zamknięto. Radziłam sobie w różnych czasach i miałam z tego satysfakcję. W nowej Polsce, po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, za Mazowieckiego, było już lepiej. Muszę powiedzieć, że wiele rzeczy się zmieniło. Zaczynaliśmy od jednego aparatu EKG na województwo, a powstał oddział kardiologiczny z możliwością wszczepiania zastawek, rozruszników. W każdym mieście powiatowym zorganizowaliśmy poradnie kardiologiczne. Powstała stacja dializ, to bardzo ważna rzecz. Przecież mój ojciec zmarł na niewydolność nerek, bo nie było stacji dializ, a teraz jest stacja, już się na te dializy nie czeka. Kiedy wizytował nas papież Jan Paweł II w osiemdziesiątym siódmym roku, organizowałam obsługę medyczną i w nagrodę dostałam od papieża sztuczną nerkę. Nikt nie pamięta, że czterdzieści lat temu to były rzeczy niedostępne i nie było takich możliwości. A ja przy tym wszystkim pracowałam. Medycyna zmienia się na moich oczach i medycyna dzisiaj jest zupełnie inna, żyjemy dłużej, zmalała umieralność dzieci. To wydłużenie życia nie wzięło się z niczego, tylko z dużego postępu w nauce i obowiązek społeczeństwa polega na tym, żeby to wykorzystywać. Dlatego kiedy słyszę o ruchu antyszczepionkowym, to dostaję białej gorączki. To jest po prostu coś wręcz antyhumanitarnego, a ktoś, kto ma autorytet społeczny i propaguje odchodzenie od szczepień, to jakby popełniał zbrodnię ludobójstwa. Pamiętam, co się działo, jak nie było szczepionek: mnóstwo gruźlików, kaleki po heinemedinie. Teraz już nikt w Polsce nie choruje na wirusowe zapalenie wątroby typu B, bo choroba została wyszczepiona. Państwo powinno czuwać nad całością, a nie jest tak, i moim zdaniem reformy w służbie zdrowia polegają raczej na destrukcji tego, co już zbudowano. Na

przykład w ogóle nie zadbano o to, żeby wykształcić specjalistów od chorób zakaźnych. Najlepszy dowód, że ja pracuję jako lekarz w wieku osiemdziesięciu dwóch lat… To znaczy pracowałam do momentu, kiedy zarządzono izolację w związku ze stanem epidemicznym. Są wprawdzie telewizyty, ale dla mnie leczenie pacjenta bez oglądania jest nie do przyjęcia.

Pandemia

Doktor Bogucka pilnie śledzi doniesienia ze świata, zwłaszcza o rozwoju pandemii koronawirusa. Jest epidemiologiem, przeżywa mocno to, co się dzieje, do tego stopnia, że córka robi jej „odwyk od mediów”.

– Teraz nagle się okazało, że nie ma specjalistów od chorób zakaźnych, a są potrzebni przy tłumieniu epidemii! – mówi doktor Bogucka. – I że ona nie przebiega tak, jakbyśmy się spodziewali, bo nie ma sezonowego charakteru. Przecież o tym było wiadomo od razu, bo kiedy u nas się wszystko zaczynało, w lutym, marcu, to na antypodach było lato i gorąco, a epidemia rozwijała się tam szybciej niż tutaj. Gdyby to miało charakter sezonowy jak grypa, to w Australii nie byłoby tylu zachorowań. Według mnie zrobiliśmy błąd, cała Europa, w tym i my, błąd zbyt późnego reagowania. Gdyby Europa od razu zamknęła wszystkie lotniska i połączenia z Chinami i Azją, toby nie rozwinęło się to tak szybko. Przyszłoby, ale wolniej, z innej strony. A teraz źle interpretujemy statystyki. Nie jest istotne, ile jest zachorowań dziennie, bo to, ile nowych przypadków wykryto, zależy od ilości robionych testów. Początkowo się wzbranialiśmy, to było mniej wykrytych przypadków, teraz testujemy, to jest więcej. Czy jak zaniechamy testów, to choroba zniknie? Nie. Ważne jest, że te przypadki będą musiały być leczone w swoich regionach, więc żeby

zapanować nad epidemią, trzeba czuwać nad jakością i możliwościami leczenia. Patrzeć na to, ile osób leży w szpitalach, ile jest miejsc, ile osób leży pod respiratorami i ile respiratorów jest wolnych. To jest ważne: jak będą nas leczyć w przypadku zachorowania, nie tylko ile jest ognisk i w którym województwie. Prawda jest taka, że koronawirus nie zniknie, dopóki nie ma leku albo dopóki społeczeństwo się nie wyszczepi. Zasady epidemiologiczne są jedne, bo nie ma epidemiologii politycznej, tak jak nie było ekonomii socjalistycznej ani kapitalistycznej. Prawda jest taka: albo sześćdziesiąt, siedemdziesiąt procent zetknie się z tym wirusem, to wtedy reszta nie musi zachorować, albo się zaszczepimy. Takie są prawidła epidemiologiczne, a ludzie są ludźmi, więc to wszystko jeszcze trochę potrwa…

Satysfakcja

– Nie mam już ani jednego pacjenta z WZW. Wyleczyli się z moim udziałem, bo wynaleziono lek, który eliminuje wirusa. Dzięki niemu choroba nie przechodzi w najniebezpieczniejszą fazę: marskości i raka. Dawniej ten etap to był wyrok. W pełnej marskości mógł pomóc najwyżej przeszczep, ale przeszczepów się kiedyś tak wiele nie robiło, tylko w wybranych klinikach… Warszawa, Wrocław, Szczecin. Do takiej satysfakcji z przyjemnością mogę się przyznać…

Rozdział 5

Krystyna Kiełczyńska-Prekier

„Kocham ten zawód. Całe życie lubiłam patrzeć na dzieci, na ich rozwój. Przeszłam wszystkie oddziały pediatryczne, włącznie z noworodkami. (…) Pediatra musi być po trosze psychologiem, psychiatrą, pedagogiem, a nawet czymś w rodzaju weterynarza…”

Doktor Krystyna Kiełczyńska-Prekier, z domu Sypniewska, urodziła się w roku 1924 w Kaliszu, studiowała i pracowała w Łodzi. Los jednak kilka razy wiązał ją z Warszawą i w końcu została tu na dobre. Pediatra z doktoratem z reumatologii dziecięcej. Uczestniczka powstania warszawskiego, sanitariuszka, pseudonim „Stella”. Była w pałacu Blanka feralnego dnia 4 sierpnia 1944 roku, kiedy kula dosięgła młodego powstańca w oknie. Była przy jego śmierci. Dopiero potem dowiedziała się, że to sławny poeta Krzysztof Kamil Baczyński.

Coś nade mną czuwało

Z doktor Krystyną Kiełczyńską-Prekier spotykam się w jej domku na warszawskich Bielanach. Biały segment w szeregówce, w drzwiach wita mnie uśmiechnięta szczupła, energiczna kobieta oparta o laskę.

Przygotowuje kawę i ciasteczka, nie pozwala sobie pomóc. Ma dziewięćdziesiąt sześć lat, mieszka sama, syn, także lekarz, wyemigrował do Australii w latach osiemdziesiątych. Pytam, czy nie żałuje, że jedynak jest tak daleko. A skąd.

– Matka nie może być egoistką – uważa pani Krystyna. – Zawsze chciałam, żeby Wojtek wyjechał, bo w naszym kraju wciąż coś się dzieje. Jak nie Hitler, to Rosja albo stan wojenny. A świat nie jest już taki wielki jak kiedyś, mamy kontakt, syn dzwoni codziennie! Przez chwilę nawet nie myślałam o tym, żeby go zatrzymać. Widziałam wielu ludzi, którzy w pewnym okresie starości przechodzą pod opiekę dzieci. Nie chciałam tego. Nie chciałam, żeby syn mój patrzył, jak się starzeję. Jest lekarzem, dość się napatrzył. Niech ma w pamięci ładną matkę… Nie jestem już taka śliczna jak na tym zdjęciu z powstania.

Doktor Kiełczyńska-Prekier twierdzi, że nie wyobraża sobie innego zawodu. Pediatra musi być po trosze psychologiem, psychiatrą, pedagogiem, a nawet czymś w rodzaju weterynarza… Ale zanim została lekarką, wydarzyło się tak wiele, że mogłyby powstać o tym dwie książki.

– Nic dziwnego, żyję już prawie sto lat – mówi pani Krystyna.

Od początku

Jej rodzinne miasto to Łódź, chociaż przychodzi na świat 29 lipca 1924 roku w Kaliszu, bo tam u kuzynów akurat przebywają rodzice. Państwo Sypniewscy, Domicela i Tadeusz, mieszkają w Łodzi, są nauczycielami, mają domek… Tam Krysia spędza szczęśliwe dzieciństwo, zaczyna edukację. Kiedy przychodzi jesień 1939 roku i okupacja, akurat ma iść do trzeciej klasy gimnazjalnej. Ale jak wiadomo, ten rok szkolny się nie

zacznie i wszystko będzie już inaczej. Przede wszystkim Sypniewscy muszą opuścić swój dom.

– Niemcy przyszli do nas w grudniu – wspomina doktor Kiełczyńska-Prekier. – Zapytali o Ausweis, kazali się spakować i wyjechać w ciągu trzech godzin, bo zajmują dom. Zbieraliśmy rzeczy w pośpiechu, a mama, zamiast myśleć o płaszczu czy jakimś futrze, a była zima, myślała o rodowych łyżkach stołowych. Rodzice postanowili jechać do Łęczycy, ponad trzydzieści kilometrów od Łodzi, bo tam mieliśmy domek letniskowy. Ojciec znalazł jakiś wóz drabiniasty, zapakowaliśmy te łyżki i kożuchy też, co się dało, i jakoś dojechaliśmy. Domek był nieopalany, ładny, z ogrodem, ale nie pobyliśmy tam długo, bo kiedy Niemcy weszli do Łęczycy, to wyrzucili nas i stamtąd. Zostaliśmy tułaczami.

Znajdują schronienie w klasztorze Bernardynów. Zakonnicy udostępniają im kwaterę z kryjówką w piwnicy.

– Ta piwnica mnie ocaliła przed wywózką – mówi pani Krystyna. – Niemcy chodzili z psami po domach i zabierali dziewczyny do eksperymentów, zwłaszcza blondynki. Wejście do piwnicy było w podłodze kuchni. Mama co wieczór stawiała na nim miskę z wodą i kładła na podłodze jakiś gałgan. Maskowała właz, a ja musiałam siedzieć pod podłogą. W tej piwnicy stała wielka beczka, chowałam się w niej, a potem nie mogłam wyjść… W końcu rodzinnie postanowiono, że to zbyt niebezpieczne.

Umiera babcia Krystyny i cała rodzina spotyka się w Łęczycy na pogrzebie. Brat matki, Zygmunt, decyduje: „Krysia nie może tu zostać, trzeba załatwić przerzut przez zieloną granicę, do Bronki”. Bronka to ich siostra, mieszka w Warszawie. Postanowione. Domicela Sypniewska uczy na tajnych kompletach polskiego, ma kolegę nauczyciela, który przeprowadza dzieci do Generalnej Guberni. Łęczyca zalicza się przecież

teraz do „Faterlandu”, czyli do Rzeszy. W zimie, w styczniu, organizują przerzut – kolega przeprowadza dwie dziewczynki przez granicę do Łowicza, a potem do Warszawy.

Warszawa, lata czterdzieste

– Pamiętam, że kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, padał duży śnieg – opowiada doktor Kiełczyńska-Prekier. – Najpierw zamieszkałam u ciotki, a potem u urszulanek. Uczyłam się u sióstr w dwóch zakonach: wcześniej u nazaretanek w Łodzi, gdzie skończyłam dwa oddziały gimnazjalne, a trzeci już w Warszawie, u tak zwanych czarnych urszulanek. Stało się tak, bo w okupowanej Warszawie było ciężko o żywność, a ciotka Bronka sama miała dwie córki. Jadłyśmy buraki i zupę pluj[17], więc kiedy utworzono internaty RGO[18], ciotka orzekła: „Marysię i ciebie, Krysiu, oddamy do RGO, bo tu ciężko was wyżywić”.

Internat RGO prowadzą właśnie czarne urszulanki. Dziewczynki uczą się tam, dostają posiłki, a ponieważ RGO instytucja działa za zgodą władz okupacyjnych, są względnie bezpieczne.

– Dostawałyśmy jedzenie w takich małych miseczkach – wspomina pani Krystyna. – Mięsa nie widziałyśmy na oczy. Skończyłam gimnazjum i pierwszą klasę licealną u urszulanek, a gdy miałam iść do drugiej, wybuchło powstanie. Byłyśmy do niego przygotowane: cztery z nas, starszych uczennic, należały do AK i już wcześniej zaczęto nas przyuczać do pracy sanitariuszek. Składałyśmy przysięgę przed nauczycielami w czterdziestym drugim roku, ja przyjęłam pseudonim „Stella”. Dlaczego? Wspominałam wakacje w Łodzi, gdy byłam jeszcze nastolatką. Ojciec uwielbiał patrzeć w gwiazdy. Często leżeliśmy, przyglądając się niebu, a on opowiadał o gwiazdach. Jakie to piękne słowo „Stella”, mówił. Chyba

dlatego. Poszłyśmy do powstania: do opatrunku, do noszenia toreb, do pomagania rannym chłopakom. To był mój pierwszy kontakt z medycyną.

Krystyna Sypniewska, pseudonim „Stella”, należy do zgrupowania „Róg”, batalion „Dzik”, jest w służbach sanitarnych. Mają punkt zborny w ratuszu naprzeciwko Teatru Wielkiego – tam udaje się 1 sierpnia na godzinę siedemnastą.

Tak wspomina powstanie warszawskie:

– Panowała niesamowita atmosfera, podniecenie i poczucie wielkiego braterstwa. Wszyscy czułyśmy się jednością. W punkcie w ratuszu zastałyśmy już salę przygotowaną na rannych, sienniki i dziwne łóżka, które potem, już w pracy, widziałam tylko w Rosji: wojskowe prycze z cienkich blach. Dwadzieścia cztery sanitariuszki, z których przeżyje sześć. Pałac Blanka, ratusz, klasztor Panien Kanoniczek, plac Teatralny, Bank Polski, Wileńska to są te punkty, gdzie byłyśmy. Ciągle biegałyśmy, powstanie wspominam jako nieustanną bieganinę, wciąż spadały bomby… Proszę popatrzeć na mapie, tu jest Bank Polski i tu była cała nasza grupa. Ratusz miał wieże, w nich byli nasi chłopcy. Niemcy szli dołem i strzelali, ale nasi zdobyli pałac Blanka. Już w czwartym dniu powstania dostałyśmy informację, że w pałacu są ranni i musimy tam lecieć. Ale jak, skoro dzielił nas mur? Ktoś wziął deskę albo jakąś drabinę i po niej poszły trzy dziewczyny, wśród nich ja. Kiedy weszłyśmy do wnętrza, to oniemiałam, w życiu nie widziałam czegoś takiego. Wszędzie lustra, rozstawiony stół, na stole pozostawione talerze z zupą, amarantowe dywany. I cały czas straszna strzelanina. Tynk odpadał, sypało się szkło szyb i luster. Niemcy strzelali z Senatorskiej, potem przerzucili się na plac Teatralny i snajperzy celowali do naszych na wieżach. Naprzeciwko pałacu jest duży dom z oknami i stamtąd strzelali. Wczołgałyśmy się i położyłyśmy na ziemi. Patrzymy: dwóch już leży pod oknem, więc idziemy na kuckach po

dywanie, żeby ściągnąć ich do tej naszej deski i wynieść. Pokazał się jeszcze jakiś mężczyzna, powstańcy chyba wysłali go nam na pomoc. Podczołgałam się do leżącego chłopaka: blondyn, średniego wzrostu, subtelny, szczupły. Nie był predestynowany do tego, żeby być żołnierzem, nie wiedziałam wtedy, kto to jest. Uklękłam koło niego. Zakrwawiony trochę, na skroni dziura jak jajko, w niej coś białego. Teraz wiem, że to był mózg. Ściągnęłyśmy go na dół. Nikt nic nie wiedział, lekarz zaczął go oglądać, potem sprawdzili jego dane i okazało się, że to Krzysztof Kamil Baczyński. Nie żył. Musiał stać w oknie albo próbował strzelać i snajper z naprzeciwka go trafił. Siedem osób leżało na trawniku pod oknem, wszystkie trupy przykryte białą materią. Odbyła się msza, ale pochówku nie widziałam, bo pobiegłyśmy dalej, do następnych rannych. Podczas tej strzelaniny napatoczył się nam nawet ranny Niemiec, którego przenieśliśmy do Szpitala Maltańskiego. Miał uszkodzony kręgosłup i miednicę, podobno sami Niemcy wyrzucili go z okna, bo zdecydował o kapitulacji. Jak dziś pamiętam tę rozmowę: zastrzelić go czy nie? Tego grubasa jednego. Dowódcy powiedzieli: „Nie”. My w przeciwieństwie do Niemców szanowaliśmy konwencję genewską. Nazywał się Fribolin, był oficerem Wehrmachtu.

Nazajutrz kazali nam iść na Zapiecek, do takiego domu, gdzie mieszkał pewien stomatolog. Wciąż tam były porozrzucane narzędzia dentystyczne. Miałyśmy tam odpocząć, ale Niemcy znów zaczęli bardzo intensywnie strzelać. Potem była Starówka, przeszłam całą. To było piekło. Marli przy mnie powstańcy, między innymi Leszek, ładny młody chłopak, w rowie. Zresztą na Starówce nie było już ulic, każda ulica była rowem. Domy łączyły się tymi rowami i piwnicami, a my nimi chodziłyśmy. Bywałyśmy śmiertelnie zmęczone. Pamiętam, jak położyłam się na ławce w jakimś kościele i od razu zapadłam w sen. Na Starym Mieście pomagała nam

Armia Ludowa. Pamiętam, jak mnie wezwano do rannego z AL. Nie znam jego nazwiska, był tak strasznie gruby i taki wielki, jakiś dowódca, koło pięćdziesiątki. Cały w postrzałach jak sito. Pochyliłam się nad nim, a on zaczął krzyczeć: „Gdzie jest moja Hanka? Hanka. Chcę Hankę, Hankę”… A Hanki z AL już nie było, najpewniej zginęła. Byłam ja, „Stella” z AK, z dwiema koleżankami. Nie wiedziałyśmy, co z nim robić. Torby sanitariuszek wcale nie były tak wspaniale wyposażone, więc to, co miałyśmy, to robiłyśmy. Obmyłyśmy rany, jak się dało, i wołałyśmy naszych chłopaków, żeby go zanieśli do szpitala na Długiej. Ale na czym? Chłopcy znaleźli jakieś drzwi, położyli go i zabrali. Nie wiem, co dalej się z nim stało.

Piętnasty sierpnia był straszny. W naszych głowach to było święto, Cud nad Wisłą. I o tym w tym dniu myślałyśmy. Miałam takiego rannego, który był dziennikarzem, miał aparat i fotografie, był ciężko ranny. W trójkę z jakimś chłopakiem i jeszcze inną dziewczyną znosiliśmy go po schodach z piętra w starej Prochowni, przez dziury w domach dostarczyłyśmy go do punktu sanitarnego. Był jeszcze taki Zbyszek, też ciężko ranny, który cały czas mówił: „Pocałuj mnie, pocałuj, Stella”… Ale go nie pocałowałam, chociaż mi się podobał. Wtedy myślałam, że jak go pocałuję, to zaraz będę miała dziecko… Widzi pani, byłam wychowana u nazaretanek i jak wieczorem powiedziałam: „Gdzie mój jasiek?”, to siostra zakonna zwróciła mi uwagę: „Tak się nie mówi, Krysiu, nie jasiek, poduszeczka!”.

Pamiętam też próbę przejścia nocą na drugą stronę ze Starówki do Śródmieścia. Co za głupi pomysł, nie wiem, co tym dowódcom przyszło do głowy. Niemcy wybiliby nas jak kaczki. Ale próbowaliśmy i byliśmy szczęśliwi, myśląc, że tak się przedrzemy do Śródmieścia. To była noc trzydziestego sierpnia. Widok niesamowity: jedno przy drugim, w niesamowitej ciszy i ciemności szliśmy jak widma, a potem nad ranem

dostaliśmy rozkaz: wracać na swoje pozycje, wracać na pozycje. Wróciliśmy. Próba się nie powiodła.

Więc na drugi dzień do kanałów. Sanitariuszki z rannymi… Młodość jest inna, nie wiem, skąd miałyśmy siłę i odwagę. Przecież szliśmy po gównach, po trupach, po szczurach. Szłyśmy powiązane sznurami, żebyśmy się nie zgubiły. Patrzyłam na ten kanał i myślałam, jak się z tym swoim rannym tam zmieszczę. Ale weszło się szybko, nie miałam cienia wahania, nie bałam się, to były dziwne uczucia. Wiedziałyśmy, że musimy iść i prowadzić rannych. Mogłyśmy iść tylko z chłopakami, którzy mieli sprawne nogi. Ranni w nogi zostali w szpitalach i pewnie ich rozstrzelali. Szłyśmy długo, ze trzy, cztery godziny, w ciszy, nie wolno było mówić, bo Niemcy przez otwory strzelali albo wrzucali gaz i bomby. Szliśmy więc w milczeniu. Nie zdawałyśmy sobie sprawy ze zmęczenia i napięcia. Dopiero jak nas zaczęli wyciągać, to odczułyśmy wysiłek. Byłyśmy wyczerpane. Każdy, kto wychodził, wyglądał okropnie, niesamowicie; byliśmy umęczeni, brudni, śmierdzący. Ja wychodziłam przy Tamce. Przygotowana tam była miska z wodą, pumeks, żeby się obmyć. Ludzie, którzy tam byli, dali nam ciepłej wody, bo w tym czasie na Powiślu panował jeszcze względny spokój. Położyłyśmy się spać, o jedzeniu się nie myślało. Potem poszłyśmy na Okólnik, tam zebrali się ci z naszego zgrupowania, „Roga”, co jeszcze żyli. I znów miałam szczęście, bo we dwie z koleżanką pobiegłyśmy po rannych, a Niemcy zaczęli nalatywać na elektrownię na Powiślu. I nie miałyśmy już gdzie wrócić, bo z punktu na Okólniku nic nie zostało, nie przeżył nikt… Podłączyli nas do innego zgrupowania i przeszliśmy na drugą stronę w Śródmieściu, na Wspólną. Tam na Wspólnej koło wielkiego banku znów ledwie uniknęłam śmierci. Przeszłyśmy wykopem do domu, który był naszym punktem zbiorczym. Mieszkanie jakiegoś artysty, piękne, z puszystym dywanem, na którym się

nareszcie wyspałyśmy. W tym mieszkaniu zginęły wszystkie sanitariuszki prócz mnie. Było to tak: wróciłyśmy po robocie, byłyśmy strasznie zmęczone i głodne. Któraś z nas przyniosła duży bochen chleba, a „Baśka” dostała jakąś puszkę. Wszystkie się rozłożyły, żeby odpocząć, bo przecież cały czas biegałyśmy pod obstrzałem. „Baśka”, która była bardzo energiczna, mówi do mnie: „Stella, weź ten chleb, podziel na części, leży na stoliku, ja w kuchni odgrzeję puszkę, zjemy śniadanie”. Pomyślałam sobie: „Boże, tak mi się nie chce”, ale wstałam, podeszłam do stolika, który był w samym rogu pomieszczenia i to mnie uratowało. Bo nagle gruchnęło i zatrzęsło budynkiem. „Baśka” wychodziła z kuchni i uklękła, z tą puszką, i tak została… Podmuch jej nie przewrócił, nie wiem czemu… To był koszmarny widok. Położyłam się na stół z tym chlebem, czułam, jak podmuch rozerwał mi medalik. Słyszałam potem, jak ktoś nawoływał: „Czy tam ktoś jest?”. Ściągnęli mnie na dół, bo to była kamienica piętrowa. Wszystkie dziewczyny zginęły. Potem, w czterdziestym szóstym roku, odnalazł mnie jej [„Baśki”] narzeczony, chciał się upewnić, czy zginęła, od tego uzależniał wyjazd na zachód. Zginęła jak one wszystkie. A ja nic nie widziałam, czułam tylko, jak krew płynie mi po twarzy. Ocalałam tylko ja. Z dwudziestu czterech sanitariuszek pod koniec powstania było tylko sześć. Ale walka to był nasz obowiązek patriotyczny, nikt nie miał wątpliwości. Kiedy słyszę dyskusje, czy warto było walczyć w powstaniu, myślę: „Nie zaznaliście takich czterech lat jak my w okupację. Takich, że nie można bezpiecznie wyjść na ulicę, bo cię aresztują albo rozstrzelają, ciebie albo twoich bliskich”. Jak można żyć, widząc codziennie trupy wiszące na latarniach i w oknach? Czytać obwieszczenia, ilu Polaków tego dnia zabili okupanci? Nie można było dłużej tego znosić.

Wyjście z Warszawy

Powstanie się kończy, mówi się o kapitulacji. Dowódcy nakazują, żeby ci, którzy mają rodziny, znajomych, szli do nich, udawali cywilów. Mówią: „Macie dwa wyjścia: albo wychodzicie jako wojskowi, albo jako ludność cywilna. Co będzie z wojskowymi, nie wiadomo, obiecują potraktować jak kombatantów, ale pewnie nas pozabijają”. „Stella” udaje się ze swoją kuzynką Tereską Siedzieniewską do jej domu, na ulicę Piusa, zastają tam jej matkę, Zofię Siedzieniewską. We trzy wychodzą z miasta z cywilami, trafiają do obozu przejściowego w Pruszkowie, gdzie spędzą dwa dni i trzy noce w okropnych warunkach. Głód, brudne prycze i wszy, a „Stella” ma ładne długie włosy… Dostają nakaz wyjazdu. Jadą w zaplombowanych wagonach towarowych, nie wiadomo dokąd, tyle że kierunek Berlin, oby na roboty. Okazuje się, że tak. Trafiają z grupą Polek do miejscowości Ufa Babelsberg, do pracy w wytwórni filmowej, jednej z większych w Niemczech. Mają wielkie szczęście, bo Niemcy chodzą, oglądają transport i decydują, która z dziewcząt może zostać, a która ma jechać dalej do Niemiec jako materiał do eksperymentów. Krystyna z Teresą i kilka innych dziewcząt szczęśliwie przechodzą selekcję – w przydziale dostają sprzątanie pomieszczeń w wytwórni. Matka Teresy oznajmia, że umie gotować, i trafia do kuchni. To też fart, bo kuchnia oznacza jakiś dostęp do żywności.

– Zawsze nam coś podkradła, wyniosła i na kozie robiła nam coś do zjedzenia. Kartofel, woda, co złapała i tak jakoś przeżyłyśmy – wspomina doktor Kiełczyńska-Prekier. – Wody ciepłej nie mieliśmy wcale. Ale pamiętam taki epizod: siedziałam na górze razem z dziewczynami, pięć nas było, i patrzyłyśmy na aktorów niemieckich, jak chodzili od popielniczki do popielniczki i zbierali resztki, żeby potem sobie zrobić skręta z gazety. Wśród nich też była nędza. Poszli na przerwę. Przerwy były

trzydziestominutowe, więc wyskoczyłyśmy na dół, na scenę, i zaczęłyśmy grać na fortepianie, śpiewać jakieś francuskie szlagiery. Niemcy wrócili i stanęli jak wryci. Co to za robotnice? Jedna mówi po francusku, druga gra na fortepianie. Kto to w ogóle jest? I tak minął rok do wyzwolenia, jakoś przeżyłyśmy. Bywało nawet romantycznie, bo obok były obozy jeńców francuskich… Kiedy Francuzi dowiedzieli się, że przyjeżdżają Polki, byli uszczęśliwieni. Po kilku dniach, kiedy już się jakoś rozgościłyśmy, to się pokazali w stołówce i zaczęli nas adorować. Niedzielę miałyśmy wolną, mogłyśmy wyjść z obozu, podjechać do małego miasteczka Babelsberg. Bynajmniej nie same. Ciotka poprosiła jedną z naszych towarzyszek, zresztą przedwojenną hrabinę: „Pani Wando, czy pani może być przyzwoitką tych panien, skoro tak bardzo chcą wyjść?”. Chciałyśmy, nawet nie po to, żeby się spotkać z chłopakami, bo chłopaków to my się bałyśmy, ale pragnęłyśmy ogromnie wyjść poza obóz. Więc w niedzielę z panią Wandą jako przyzwoitką wyszłyśmy. Hrabina, która jakimś cudem przemyciła swoje perły, znała świetnie francuski i czuwała nad nami, a chłopcy zaczęli nas zabawiać rozmową. Jeden, miał na imię Louis Marcell, chciał się ze mną żenić, pisał do mnie codziennie. Mówił: „Jakie ty masz piękne włosy”. Był dziennikarzem i namawiał mnie, żebym po wszystkim pojechała z nim do Francji, bo już przeczuwaliśmy wyzwolenie. Ale ciotka powiedziała: „Nie, nie ma mowy. Krysia musi wrócić do matki i będzie się uczyć, a nie myśleć o ślubach”. Wszystko się skończyło, kiedy weszli Rosjanie. Rozwalili, co tylko mogli, całe to niemieckie kino, wytwórnię, ale wyzwolili obóz. Wracałam razem z ciotką Zofią i Teresą do Polski. Pamiętam, że wzięłam z garderoby jakiś czarny płaszcz z kołnierzykiem. Ciotka postarała się o wózek, zabrałyśmy kawałki materiałów, żeby sobie w Polsce poszyć sukienki. Wiadomo było, że tam po wojnie nic nie ma. Kiedy wsiadałyśmy na małej stacyjce w Niemczech,

ciotka i Teresa jakoś weszły do przedziału, a ja nie i jechałam całą drogę do Poznania na dachu wagonu. W Poznaniu pożegnałyśmy się, bo one jechały do zburzonej Warszawy, a ja do Łodzi szukać rodziców. Na tym skończył się wojenny etap.

Po wojnie

Krystyna z workiem klamotów z obozu wysiada na dworcu Łódź Kaliska, dociera pieszo do rodzinnego domu, ale tu spotyka ją zawód: rodziców nie ma. Sąsiad, z początku podejrzliwy, poznaje ją i wyjaśnia, że pojechali do Łęczycy na Zielone Świątki i wrócą nazajutrz. Tak się dzieje – rodzina łączy się po wojennym rozstaniu. Zaczyna się nowe życie. Krysia ma po obozach nadszarpnięte siły i zdrowie, ale kiedy dochodzi do siebie, rodzice decydują, że musi skończyć liceum, zdać maturę i zacząć studia. Jakie? Po doświadczeniach wyniesionych z powstania Krystyna nie ma wątpliwości.

– Medycyna była dla mnie jedynym wyborem – mówi. – Zawsze chciałam pracować z ludźmi. Patrzyliśmy też na to praktycznie: trzeba było się utrzymać, coś jeść, a ten zawód jest apolityczny i potrzebny w każdych czasach.

Matka pisze do sióstr urszulanek. Dostaje zaświadczenie, że Krystyna Sypniewska ukończyła u nich dwa oddziały liceum. Teraz musi zdać maturę. Zabiera się do nauki ochoczo, bo ma w sobie pęd do wiedzy, jak wszyscy z pokolenia, któremu zakazano się uczyć. Jeszcze tego samego roku, w maju 1945, zdaje maturę jako eksternistka, a w pierwszych dniach października – egzamin na medycynę w Łodzi. Początkowo wiąże się z Łodzią.

– Tu mieszkałam – wyjaśnia. – Tu miałam rodziców. Skończyłam studia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, w tym samym wyszłam za mąż

za kolegę ze studiów, Edwarda Kiełczyńskiego. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim urodziłam syna. A w sześćdziesiątym piątym zrobiłam doktorat i rozeszłam się z mężem.

Pani doktor

W jednym na pewno doktor Kiełczyńska-Prekier się nie pomyliła – w decyzji, by zostać lekarzem pediatrą.

– Kocham ten zawód – wyznaje. – Całe życie lubiłam patrzeć na dzieci, na ich rozwój. Przeszłam wszystkie oddziały pediatryczne, włącznie z noworodkami, a doktorat zrobiłam z reumatologii dziecięcej. Miałam też prywatną praktykę, gabinet w Łodzi.

Czas mija głównie na pracy: szpital, żłobek, dyżury. Doktor Kiełczyńska robi kolejne stopnie specjalizacji, jest ordynatorem oddziału dziecięcego w szpitalu, a w wolnych chwilach chodzi na francuski, żeby nie zapomnieć języka. Życie prywatne w Łodzi jednak się gmatwa.

Rozwodzi się w 1967 roku i zastanawia, co dalej. Znów przypadek pokieruje jej losem. Na francuskim siedzi obok pewnej pani, żony adwokata, która zainteresowana prywatną praktyką zaczyna rozmowę. Krystyna zaprzyjaźnia się z całą jej rodziną. Pewnego dnia spotyka u przyjaciół Jana Prekiera, adwokata i radcę prawnego z Warszawy. Wiele ich łączy: Jan jest melomanem, ona także, przecież chodziła do konserwatorium w Łodzi, dzięki staraniom matki otrzymała przedwojenne wykształcenie. Oboje kochają muzykę i podróże. Krystyna podejmuje życiową decyzję – przeprowadza się dla niego do Warszawy i zostaje panią Prekier. Jest rok 1967, od tego czasu mieszka w Warszawie. A w 1978 roku, kiedy na papieża wybrano Polaka, jedzie do Maroka.

Polka w Maroku

Refleksje po tej podróży doktor Kiełczyńska-Prekier ma przygnębiające.

– Francuzi są nieufni wobec Polaków, a Polacy są zazdrośni. Nie jesteśmy dobrym narodem, obgadujemy się. W Maroku, w szpitalu państwowym spotkałam najbiedniejsze dzieci, jakie kiedykolwiek widziałam w życiu. Do szpitala w Marrakeszu przychodzili ludzie z gór ze swoimi dziećmi. Tam były skrajności: wielkie bogactwo i wielka nędza. Pracowałam tam ja i dwoje kolegów: Francuzka Monika i Jean ze środkowej Afryki, wykształcony w Paryżu. Pracowaliśmy w trójkę w szpitalu, w którym dzieci leżały w łóżeczkach na słomie. Nie było okien. Kupowałyśmy za własne pieniądze koce i cięłyśmy je na te łóżeczka. Były dotacje z Francji, ale niewielkie, starsze leki, ale jeszcze zbawienne dla tamtych ludzi. Wówczas w Maroku, przeciwnie niż w Polsce, wszystko można było kupić, tylko ludzie nie mieli pieniędzy. A z kolei tutaj w Polsce, kiedy wyjeżdżałam, to na półkach był tylko ocet. Ale widok tej biedy był trudny. I chciałam wrócić.

Wraca w 1982 roku i przechodzi na emeryturę, lecz długo jeszcze pozostaje w zawodzie – pracuje w spółdzielni profesorsko-ordynackiej jako pediatra. Już nie praktykuje, to oczywiste, ma dziewięćdziesiąt sześć lat. Kiedy dzwonię czasami, żeby się dowiedzieć, jak się czuje, mówi krótko: „Dzień dobry, ja żyję i pani żyje. To już coś!”.

17* Zupa gotowana z jęczmienia w czasie powstania warszawskiego (przyp. red.).

18 Rada Główna Opiekuńcza – charytatywna instytucja społeczna działająca w latach 1940–1945, pomagająca dzieciom inteligentów przerzuconym przez granicę (przyp. red.).

Rozdział 6

Joanna Dobrowolska

„Choroby psychiczne to takie same choroby jak inne. Przyjęło się, że można leczyć skutecznie to, co jest od brody w dół, czy to jest tarczyca czy trzustka, czy wątroba, a to, co powyżej szyi, to już nie. Bzdura. (…) Głowa też da się leczyć”.

Doktor Joanna Dobrowolska ma za sobą pięćdziesiąt sześć lat pracy w psychiatrii. Wciąż czynna zawodowo, zabiegana, kursuje pomiędzy dwoma miastami na Podlasiu: Białymstokiem i Łomżą. „Widziałam tylu pacjentów, że powinnam mieć odciski na oczach” – mówi. Do emerytury pracowała w szpitalu psychiatrycznym w Choroszczy, w gabinetach pracuje do dziś. Nigdy nie żałowała swoich wyborów – ani zawodowych, ani prywatnych. A to, co się nie udało – i tak wyszło jej w życiu na dobre.

Doktor Joanna od „szkaradków”

Dziesięć lat temu, w siedemdziesiąte urodziny, postanowiła spełnić dwa marzenia: nauczyć się malować i przeczytać całą literaturę antyczną. Kiedy rozmawiamy w obszernym mieszkaniu, w którym nowoczesność miesza się z historią, oglądam obrazy malowane jej ręką i różną techniką. Kwiaty,

naczynia i pejzaże miast: uliczki, bramy, zakamarki Białegostoku, warszawskiej Starówki. To porcelana, to szkło, to naczynia srebrne, to niklowane. Nie mogę uwierzyć, że – jak twierdzi – na początku nie umiała narysować kółka. Na półce stoi seria klasyków: Homer, Owidiusz, Horacy…

– Z tym poszło gorzej. – Doktor Dobrowolska się uśmiecha. Szczupła blondynka o ciemnych oczach, młodzieńcza, w popielatym golfie i szarych dżinsach. Nikt by nie pomyślał, że w lipcu będzie obchodzić osiemdziesiąte urodziny. Na następną dekadę ma kolejne życzenie. – Zastanawiam się, czy nie powrócić do malowania, bo w pewnym momencie stwierdziłam, że Matejką nie będę, i zostawiłam to. Poza tym czas okiełznać internet… Nastały takie czasy, że sieć to podstawa.

Rozmawiamy wiosną 2020 roku, w czasie pandemii Covid-19.

– Wie pani – zwraca się do mnie doktor Dobrowolska – bardzo wiele zależy od tego, w jakim miejscu i czasie przypadnie czyjeś życie…

– A pani doktor jest zadowolona ze swojego miejsca i czasu?

– Nie narzekam – odpowiada. – Zawsze jakoś wszystko wychodziło mi na dobre, jakby przez całe życie coś nade mną czuwało. Może właśnie Opatrzność? Mam na to wiele dowodów. Opowiem.

Odium choroby zawinionej

Matka pani Joanny była przed wojną nauczycielką w białostockiej szkole specjalnej, uczyła dzieci niepełnosprawne umysłowo – „szkaradki”, jak mówiła z czułością o swoich uczniach. A te w czasach przedwojennych, jak zresztą w każdych, nie miały łatwo. Opowiadała o nich w domu, więc mała Joasia obcuje z tematem niepełnosprawnych od zawsze. Później, w latach sześćdziesiątych, kiedy na studiach medycznych przyjdzie jej wybrać

specjalizację, psychiatria wydaje się najbardziej naturalną ścieżką. W dodatku specjalistów w tej dziedzinie brakuje i szpital w Choroszczy – największa placówka psychiatryczna na Podlasiu – funduje studentom czwartego roku stypendium w zamian za deklarację pracy.

Joanna, wówczas jeszcze Szymczukiewicz, podpisuje umowę ze szpitalem, lecz nawet jej się nie śni, że przepracuje w Choroszczy czterdzieści lat. Odejdzie ze szpitala dopiero na emeryturę w 2004 roku. Teraz, w czasie pandemii, wprawdzie nie jeździ już między miastami Podlasia, ale udziela teleporad – i te rozmowy trwają jeszcze dłużej niż klasyczne spotkanie w gabinecie. Pacjenci często wyrażają nadzieję, że następne będzie już realnie, chcą widzieć się w cztery oczy.

– Właściwie nie wiem czemu – mówi ze śmiechem pani doktor. – To ja bardziej potrzebuję zobaczyć pacjenta, bo do diagnozy liczy się wszystko, także postawa, spojrzenie, mowa ciała. Widocznie człowiek pragnie kontaktu wzrokowego z lekarzem, któremu powierza swoje zdrowie. A ja widziałam już tylu pacjentów i tyle przypadków, że powinnam mieć odciski na oczach – dodaje zamyślona.

Stawiam hipotezę, że może szczególnie potrzeba kontaktu, gdy chodzi o choroby psychiczne, ale doktor Dobrowolska zaprzecza.

– Choroby psychiczne to takie same choroby jak inne – podkreśla. – Czy pani widziała oddzielnie latające głowy? Ano nie. Przyjęło się, że można leczyć skutecznie to, co jest od brody w dół, czy to jest tarczyca czy trzustka, czy wątroba, a to, co powyżej szyi, to już nie. Bzdura. Zaburzenia psychiczne to taki sam defekt metabolizmu. Głowa też da się leczyć, zapewniam.

– Dlaczego choroby umysłu inaczej traktujemy niż choroby ciała?

– Moim zdaniem w zbiorowej świadomości wciąż działa odium choroby zawinionej – mówi doktor Dobrowolska – a jego źródła sięgają

czasów inkwizycji. Kogo palono wówczas na stosach? To były osoby „inne”, takie, które miały nieprzeciętne zdolności. Nikt z nas nie wie, dlaczego takie były. Może w dzisiejszych czasach część tych odmienności zdefiniowalibyśmy jako takie czy inne zaburzenia, na przykład hipomania, schizofrenia. Te osoby posądzano o kontakty z diabłem i być może dlatego w podświadomości późniejszych pokoleń pozostało, że istnieje choroba zawiniona, jakby grzeszna, czyli obłęd. O chorobach ciała nikt tak nie myśli. Może pani objadać się, pić, palić, w konsekwencji chorować na żołądek i płuca i w niczyich oczach nie będzie to choroba zawiniona… Mimo że na jej skutki pacjent jak najbardziej zapracował.

Dieta i sposób żywienia są według doktor Dobrowolskiej kluczowe dla zdrowia. Cała rodzina wie, że babcia Joasia uwielbia gotowanie i jest rzeczniczką zdrowej kuchni. Zgadza się, pani Joanna pokazuje mi książkę *Twój drugi mózg. Komunikacja umysł – jelita* Emerana Mayera. Patrzę na ręce, które wypisały setki recept, konsultacji i opisów przypadków – ładne, ale bez ozdób.

– Pierścionków teraz nie noszę ze względu na covid – tłumaczy doktor Dobrowolska. Zdjęłam też obrączkę. Mąż się buntuje – dodaje figlarnie. – „Co ty, singielkę udajesz?”, pyta. Nie zaprzeczam. Żeby przez wiele lat utrzymać dobry związek, trzeba wciąż flirtować i dbać o niezależność.

Mąż, Ryszard Dobrowolski, jest doświadczonym inżynierem, budował wielkie obiekty za granicą i w Polsce. Na przykład projekt skomplikowanego stadionu w Syrii zbudowanego w strefie sejsmicznej to jego dzieło. Odbyły się tam igrzyska śródziemnomorskie (krajów basenu Morza Śródziemnego) w 1987 roku. Pani Joanna z dumą opowiada o dokonaniach męża, który wiele lat pełnił również funkcję przewodniczącego Rady Podlaskiej Okręgowej Izby Inżynierów w Białymstoku. Są małżeństwem już pięćdziesiąt sześć lat, ale od zawsze

mieli oddzielne rachunki, auta, życie zawodowe. I tego doktor Joanna uczy swoje wnuczki: kochaj, ale nigdy nie bądź zależna od faceta.

Miłość, małżeństwo i medycyna

Poznali się z mężem w małych Pionkach koło Radomia, gdzie Joanna odbywała staż w 1963 roku, zaraz po studiach. Dlaczego tam? W Pionkach mieszkała stryjeczna siostra ojca, Wanda.

– Ściągnęła mnie do siebie, bo była samotna. Jej narzeczony zginął w powstaniu warszawskim, potem nie wyszła już za mąż. W jej rodzinie też wiele się działo. Jej brat w wieku dziewiętnastu lat przeszedł operację wyrostka. Ktoś dał mu książkę, która przeniosła szkarlatynę, i chłopak zmarł. Ciągle mieli jakieś przygody. Na przykład jej ojciec ukrył w lecie pieniądze w piecu kaflowym, a matka, robiąc porządki, wszystko puściła z dymem. Ciotka Wanda przed wojną skończyła szkołę pielęgniarską i potem wiele dobrego zrobiła dla partyzantów; jej imieniem nazwano nawet po wojnie szkołę w Pionkach. Przez wiele lat była szefową krwiodawstwa, przeżyła tam całe, niedługie zresztą życie, bo zmarła na udar, wcześnie, jeszcze przed emeryturą. Często bywała w Białymstoku. Uwielbiała jeść, a u nas dobrze się jadało… Utrzymywała kontakt z naszą rodziną i uparła się, żebym przyjechała do niej na staż, no to pojechałam.

Lata sześćdziesiąte, miasteczko znane z Zakładów Tworzyw Sztucznych „Pronit”. Joanna przyjmuje pacjentów w przyzakładowej przychodni, bywa, że zostaje tam sama na nocnych dyżurach. Pracuje w szpitalu, głównie na chirurgii, dojeżdża też do Kozienic. Ciotka najwyraźniej chce wydać bratanicę za mąż. Zabiera ją do przyjaciółek, zwłaszcza do tych, które mają synów. Na jednej z takich wizyt Joanna poznaje Ryszarda Dobrowolskiego.

– Pamiętam to jak dziś. Siedzimy sobie i gadamy u jakiejś znajomej ciotki – opowiada. – Nagle wchodzi jakiś facet, pyta o Marka, syna pani domu. Marka wprawdzie nie ma, ale on i tak wchodzi, zagaduje. Spodnie latają po nogach, chudy, ale bystrzak. Ja siedzę cicho w amarantowym mięciutkim wietnamskim swetrze, bo dzięki kontaktom ojca dostawaliśmy paczki z zagranicy i miałam ładne ubrania. Sądzę, że przykułam jego uwagę. Słucham, co gada, a ciotka pyta go: „A co robisz? A mieszkanie już masz?”. On na to: „Jasne, muszę mieć, przecież nie zainstaluję żony przy kaloryferze w pokoju u kolegi. Trzeba myśleć przyszłościowo”. I to mnie zastanowiło, że ten chłopak ma coś jednak w głowie, ale wówczas na tym się skończyło.

Niemniej ciąg dalszy miał nastąpić. Pewnego dnia, na dyżurze Joanny karetka przywozi pacjentkę z kamicą żółciową. Drobna szatynka leży na sali w towarzystwie postawnej blondynki. Na obchodzie blondynka mówi do Joanny: „Pani doktor będzie moją synową!”. Na to odzywa się ta nowa: „Nie, proszę pani, ta pani doktor będzie moją synową!”. Joanna ze śmiechem odpowiada: „A ile ja będę jeszcze na to szczęście czekać? Synek jeszcze pewnie w szkole?”. Niemożliwe, żeby ta kobieta miała dorosłego syna. A i owszem. Jak się okazuje, drobna pacjentka to żona leśniczego, wydana za mąż jako siedemnastolatka. „Syn ma dwadzieścia pięć lat – mówi z dumą. – Skończył politechnikę, budownictwo, dobrze zarabia, ma mieszkanie i oszczędności, akurat mąż dla pani”. Joanna śmieje się z tych swatów, ale życie lubi zaskakiwać: oto syn pacjentki przychodzi podziękować pani doktor za opiekę nad mamą. Okazuje się, że już się znają. To Ryszard. Proponuje kolację w Kasynie, najlepszej pionkowskiej restauracji, ale Joanna jest po dyżurze, ledwie odeszła od stołu operacyjnego, więc zaprasza go na kolację do mieszkania ciotki.

– To był piątek – wspomina – więc go nakarmiłam śledzikami. On wcześniej śledzi nie tykał, ale siedział grzecznie i jadł. I od tego się zaczęło… Jak zaczął dziękować, tak dziękuje do dzisiaj. Ślub odbył się rok później w Warszawie, w kościele Świętej Anny, a przyjęcie w Sali Rycerskiej. Dwadzieścia osiem osób, wcale niemałe wesele jak na tamte czasy. W stolicy, bo mąż wtedy pracował w Warszawie, a my stwierdziliśmy, że rodzina z różnych stron łatwo się tu zjedzie. Nie było miejsca w restauracji w sobotę, to zorganizowaliśmy przyjęcie w czwartek. Czemu nie? Dostałam tak ogromny bukiet róż, że nie było odpowiedniego wazonu. Kelnerzy wstawili je w końcu do wiadra.

Ze ślubnego zdjęcia patrzy szczęśliwa młoda para. W Warszawie jednak nie zostali.

– Mój mąż był dyrektorem technicznym, zastępcą szefa ZBM-u[19] na Woli, w związku z tym miał mieszkanie służbowe, trzypokojowe, na Jelonkach, ale ja się uparłam, żeby mieszkać w Białymstoku, przy swoich.

Być może dlatego, że pochodzi ze starej białostockiej rodziny.

Korzenie

Urodzona w 1940 roku w Białymstoku była pupilką rodziny, bo babcia już straciła nadzieję na wnuki.

– Tata miał troje rodzeństwa, wszyscy bezdzietni, bo dwóch księży i siostra, która nie miała zamiaru wychodzić za mąż – wspomina pani Joanna. – Ojciec pracował, dobrze zarabiał, dużo wyjeżdżał. Nadzorował budowę kolei z Gdyni do Wieżycy, nie spieszył się z małżeństwem. Miał już trzydzieści trzy lata, kiedy żenił się z mamą. Zresztą pokarało go, bo zawsze wyśmiewał się z nauczycielek, że takie same mądre jak i te bachorki, które prowadzają… A potem zakochał się w nauczycielce.

Ożenek omal nie doszedł do skutku, bo brali ślub w Wilnie, w Ostrej Bramie, pewnie dlatego, że tam na Uniwersytecie Batorego studiowali obaj bracia taty. Tata włożył na ślub odpowiednie pantofelki, o skórzanych, ręcznie robionych podeszwach. A rano zrobiła się ślizgawica i ledwie zdążył na pociąg do Wilna. Mama powiedziała, że gdyby nie przyjechał, nie byłoby drugiej szansy, nie wyszłaby za niego. Ojciec mój nie urodził się w Białymstoku, lecz w Gadczynie koło Petersburga, ponieważ dziadek pracował jako konduktor na kolei i obsługiwał trasę Warszawa–Petersburg, a że Warszawę uważał za miasto niesprzyjające mieszkaniu, to osiadł koło Petersburga, w Gadczynie. Przed rewolucją przywiózł rodzinę do Polski, zostawiając zarobki z wielu lat u kolegi dróżnika. Cały worek pieniędzy. Nigdy tego nie odzyskał, bo nigdy tam nie pojechał, a tamten go nie szukał. Więc przyjechał dziadek do Białegostoku z czwórką dzieci, kupili mały drewniany domek na Antoniuku, ale jakoś wszystkich wychowali. Ojciec mój był zadaniowcem. Na przykład w czasie wojny przywiózł spod Grodna siostrę mojej babci, swoją ciotkę. Została zupełnie sama. Tuż przed wojną jedyny syn utopił się w jeziorze, a mąż zginął w pierwszych dniach wojny. Ojciec pracował już na kolei w Białymstoku, więc wykupił cały wagon, z którym pojechał do Grodna, zabrał ciotkę, jej krowę i kozę… I raptem na Antoniuku, na oczach sąsiadów rozgrywa się taki widok: na maluteńkie podwórko wchodzi babcia, a za nią krowa i koza. No i zamieszkała u moich dziadków, z dobytkiem. Uważam, że dlatego nie mieliśmy nigdy gruźlicy w czasie, kiedy większość dzieci miała – dzięki mleku, zwłaszcza kozy, nas ta choroba ominęła. Ta babcia była cudowną kobietą. Ojciec mój pewnego razu przywiózł z podróży marynowane kilki, takie malutkie rybki, które żyją u ujścia rzek, bardzo głęboko. Częstuje tę babcię z Grodna, babcia je, międli, międli w ustach i ciotka ją podpuszcza: „No co ty, nic nie mówisz, taki rarytas dostałaś”. A babcia na to: „No wiesz, jakoś tak i wypluć szkoda,

i połknąć nie można”… W naszej rodzinie były raczej silne kobiety. Siostra ojca była ważną osobą w moim życiu, ukształtowała mnie i traktowałam ją jak drugą matkę. Przed wojną ukończyła szkołę przemysłową, to była szkoła, w której malarz uczył dziewczęta zestawiania barw. Świetnie gotowała, jak to się mówi „grała na garnkach”, piekła bankuchen na zwykłej płycie, pięknie szyła. Jej stół do święcenia wyglądał jak na filmach: baby, prosiaki, zielone oczy z grochu, jajko w pysku. A ja – Joasia ulubienica – jeśli chciałam stać na tym stole, to stałam, ksiądz stół święcił, to i Joasię święcił. Mama urodziła po mnie jeszcze czworo dzieci, a ojciec przyjmował każde dziecko jak ósmy cud świata, potem tak samo wnuki. Z zagorzałego kawalera zrobił się rodzinny tatuś. Zbierał cegiełki na budowę kościoła Świętego Rocha. Miał zebraną dużą kwotę, ale że był człowiekiem otwartym i ufnym, w związku z tym wychodził do pracy i nie zamykał drzwi… i pewnego dnia wrócił, a pieniędzy nie było. Wszedł ktoś i ukradł. Ojciec powiedział: „Trudno, oddam pieniądze z własnych”, i cała gratyfikacja z pracy poszła na cegiełki. Czyli tam w kościele Świętego Rocha całkiem niemały wkład jest mojej rodziny.

Szkoła, studia, praca

Rezolutna Joasia idzie do szkoły i okropnie się nudzi. Poziewuje na lekcjach, co jest destruktywne wobec innych uczniów. Wychowawczyni karnie przenosi ją od razu do drugiej klasy. Tu jest trudniej, zaczynają się gorsze stopnie. Po interwencji matki, która zna niepokorną naturę córki i obawia się, że Joasia w ogóle odmówi edukacji, nauczycielka zaczyna stawiać uczennicy opisową ocenę: „Widziałam, Wojtowicz, w/W”.

– To mnie dopiero wkurzyło – wspomina pani Joanna. – Ile miesięcy można dostawać w przez w? Wszyscy dookoła normalne stopnie, a ja nic,

tylko to wu łamane przez wu.

Ale podziałało mobilizująco. W czwartej klasie nazwisko Joanny już wisi w gablocie wśród przodowników nauki. Kiedy w szkole średniej kolega kpi, że dziewczyny nie nadają się do nauk ścisłych, Joanna na złość wygrywa olimpiadę z chemii. Maturę zdaje z trzecią lokatą w szkole i otrzymuje nagrodę od dyrektora – perfumy Soir de Paris. Co dalej? Wybiera medycynę, chociaż rozważa też studia techniczne.

– Mogłam zostać inżynierem – mówi. – Tata był inżynierem, w domu zawsze leżały „Horyzonty Techniki”, była to bliska mi tematyka. Ale ojciec noce spędzał nad deską kreślarską, ślęczał nad tymi projektami. Wiedziałam, że tego nie wytrzymam, ja potrzebowałam pracy z ludźmi.

Jest rok 1957, egzaminy wstępne na uczelnię. Joanna przystępuje do nich, mimo że siedemnaście lat skończy dopiero 18 lipca. Kandydaci na medycynę w Białymstoku piszą w Małej Auli w pałacu Branickich. Joanna rozwiązuje zadania, daje ściągnąć koledze, ale ten twierdzi, że jest źle zrobione. Dziewczynę trafia szlag.

– Wzięłam papiery, żeby obok niego nie siedzieć, poszłam i oddałam pracę jako druga. Podobno to właśnie zadecydowało, że dostałam wyróżnienie z fizyki i dostałam się na studia od razu. Na pracach pisaliśmy wtedy swoje dane. Profesor popatrzył na wiek i powiedział: „Niedługo chyba niemowlaki będziemy przyjmować”.

Studia Joanna kończy jako dwudziestodwulatka, po stażu zaczyna pracę w Choroszczy. Nigdy tego wyboru nie żałuje.

– Ja w ogóle nie mam rozterek, bilansuję i decyduję: to albo tamto. Nigdy nie miałam do szkoły pod górę, nikt mnie nie wykorzystywał, odwrotnie jakby coś za mnie działało. Dlatego mówię, że ja się niczego nie boję. Gdybym była lękliwa, to nie pracowałabym na psychiatrii w latach sześćdziesiątych.

Pytam o tę pracę, podobno to niebezpieczna specjalizacja.

– Czy miałam niebezpieczne przygody? Kiedyś pacjent uderzył mnie w twarz. Okazało się potem, że miał halucynacje, usłyszał coś, czego nie powiedziałam. Prowadziłam obchód, podeszłam do niego do łóżka, a on wyskoczył jak z procy i strzelił mnie pięścią pod brodę. Wszyscy się na niego rzucili, kaftan bezpieczeństwa i tak dalej, a ja wzięłam go na bok i pytam: „Co to było?”. Pacjent, szalenie zdenerwowany, jąka się przepraszająco: „Przecież tylko lewą ręką, przecież nie mocno… bo pani powiedziała, że więcej mnie rodzina nie odwiedzi…”. „No dobrze – mówię – odwiedzi, odwiedzi, tylko niech pan się już uspokoi”. Niebezpieczni są niektórzy pacjenci sami dla siebie. Bo kiedy chory ma wewnętrzne nakazy, żeby sobie coś zrobić, to może powiesić się na klamce albo pod łóżkami na sprężynach. Kiedy zaczynałam pracę, pacjenci byli bardzo biedni. To były czasy, kiedy rolnicy nie byli jeszcze ubezpieczeni, wyglądali jak łazarze, często zawszeni, brudni. My, lekarki, nosiłyśmy w kieszeniach papierosy, bo oni zwykle byli palaczami. Prosili o nie, potrafili wybierać pety z popielniczek… A kiedy trzeba było wyprawić pacjenta do domu, niejednokrotnie kupowałyśmy bilet za własne pieniądze. A wypisać trzeba było, bo przychodzili nowi, potrzebne były miejsca. Pacjenci leżeli w korytarzach na materacach. Na oddziale też bywało różnie. Miałam raz takie zdarzenie: wchodzę pewnego dnia na oddział, a oddziały to były ogromne hale, łóżka stały poprzecznie, w nocy rozkładało się dodatkowo w przejściu między łóżkami materace i pacjenci spali na materacach. Nieraz mnie złapali za kostki, kiedy szłam między nimi… Patrzę, a jeden pacjent ma granatowy czubek nosa. Pytam: „Co tu było?”. „A nic, nic”. A ja wiem, co to znaczy: porachunki mafijne wśród pacjentów. Jedni drugich sobie podporządkowali, a jak się któryś naraził, to nos granatowy. Doszłam, że zrobił to taki siłacz, były bokser. Mówię do oddziałowego: „Kaftan,

proszę”. Oddziałowy, czerstwy facet w sile wieku, na to: „Pani doktór, ja mu tego nie założę”. Mówię: „Proszę przynieść”. Przynieśli. Wzięłam kaftan, pochodzę do faceta i mówię: „Wiem, że mógłby pan zrobić ze mnie mokrą plamę, ale inaczej nie mogę, musi pan to włożyć”. Popatrzył na mnie i włożył. Zawiązałam. Wszyscy spięci patrzyli ze zdumieniem, a ja: „Dziękuję, proszę teraz się położyć i pomyśleć, co to było”. Nie chciałam go upokarzać wobec innych, a jednocześnie musiałam pokazać hierarchię. Osobowość psychiatry to bardzo ważna rzecz, zwłaszcza w ciężkich przypadkach, na zamkniętych oddziałach.

Doktor Dobrowolska pracowała przez wiele lat także jako biegły sądowy. Podsądni za wszelką cenę chcieli się wydostać z więzienia. Orzeczenie choroby psychicznej było dla nich furtką, więc na przykład dokonywali samookaleczeń.

– Pamiętam przypadek jednego z pacjentów, pilnowałyśmy go z koleżanką, czesałyśmy przed rozprawą, a on i tak specjalnie narobił w portki na sali rozpraw, żeby go wyprowadzono, bo nie chciał być sądzony. Był facet, który sobie bez przerwy rozpruwał brzuch. „O, mam flaki na wierzchu”, mówił. I wolność, bo wyjazd z więzienia do szpitala… Aż mu założyli platynową siatkę. Wtedy z dumą pokazywał na brzuch: „No, mam tu majątek. Może by i kto kupił, ale ja wiem, pruć czy nie… szkoda”.

Bywało, że chciała zmienić miejsce pracy, odpocząć od ciężkiej psychiatrii, ale się nie udało.

– I dobrze – stwierdza. – Wielokrotnie doświadczyłam tego, że niezałatwienie czegoś okazało się czymś najlepszym, co się mogło stać. Na przykład, kiedy mieszkaliśmy na Wesołej, zaczęli budować przychodnię przy Bema, bliziutko. Pewna para małżeńska złożyła deklarację, że obejmie tam etaty psychiatrów, ale się rozmyślili i ja dostałam tę propozycję.

Pracowałam wtedy na bardzo ciężkim pododdziale zakaźnym. Myślałam, że zmiana może być racjonalna, bo miałam małe dzieci. Poza tym wśród pacjentów była masa podsądnych, bokserów, charakteropatów. „Byłoby wygodniej i bezpieczniej, spróbuję”, myślę. Ale jak tylko się zgodziłam, owa para wróciła i nie dostałam etatu. Dziś, z perspektywy czasu, widzę, że gdybym tam poszła, nie nauczyłabym się tego, co w szpitalu. Tu było moje miejsce. Później, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, dostałam propozycję przejścia z oddziału do kliniki, która też mieściła się w Choroszczy, do profesora Falickiego. Zgodziłam się i dobrze zrobiłam. Wszyscy psychiatrzy, którzy pracowali z profesorem Falickim, świetnie potem dawali sobie radę z małą psychiatrią, która zaczęła się dość dynamicznie rozwijać. Profesor pierwszy zaczął przyjmować prywatnie. Pacjenci z problemami psychicznymi byli tak liczni, że siedzieli na schodach pod gabinetem.

Gabinetów psychiatrycznych powstaje coraz więcej, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych. Wielu kolegów doktor Dobrowolskiej otwiera prywatne praktyki, ona początkowo nie chce, bo dzieci, mąż bardzo czynny zawodowo wyjeżdżał, budował wielkie obiekty, ale z czasem powoli się wszystko układało, a koledzy nalegali. W 1992 roku otwiera gabinety – najpierw w Łomży, potem w Białymstoku. I prowadzi je do dziś.

Psychiatria wczoraj i dziś

Dlaczego teraz, na początku XXI wieku, mamy nagły wybuch tych depresji, natręctw, zaburzeń? Znak czasu?

– Nie – mówi doktor Dobrowolska. – Te choroby zawsze były, w latach sześćdziesiątych już to mieliśmy, tylko nie leczyło się tego tak powszechnie lekami. Teraz zresztą też jest wiele głosów, że wszystko można naprawić

psychoterapią. Ja się z tym nie zgadzam, uważam, że to są zaburzenia metabolizmu. Nerwice też na pewno mają związek z neurohormonami i w tym kierunku, w kierunku szukania coraz lepszych farmaceutyków, powinny iść badania. To, że już są, bo jest pewna ilość leków antydepresyjnych czy neuroleptyków (uważam, że wciąż za mała), to jest bardzo dobre. Proszę pomyśleć: jeśli ktoś ma niedoczynność tarczycy i wyłączy sobie leki, to będzie miał wole i guzy tarczycy. Komu przyszłoby do głowy kwestionować podawanie tego leku czy zmieniać dawkę? Dlaczego więc tutaj, kiedy komuś brakuje serotoniny, to zaczynają się dyskusje albo pacjent odmawia przyjmowania leków, bo to ingerencja w jego tożsamość czy grzebanie w osobowości? Bzdura, jeśli czegoś brakuje, to uzupełniamy. Nie wiemy jeszcze wszystkiego, ale jeśli zasadą jest, że po określonych lekach dolegliwości ustępują, to trzeba je brać. Jak mówiłam, choroba psychiczna to choroba jak każda inna, tylko ma inne objawy, wszystko się odbywa jakby na innej platformie. Mam wśród pacjentek dziewczyny, które w szkole średniej miały pierwsze objawy schizofrenii, z zaburzeniami typu wytwórczego, czyli omamy, urojenia. I co? Ukończyły studia, powychodziły za mąż, żyją normalnie. Ale przez całe lata brały leki. I musiały je brać, nie ma innego sposobu. Jedna z tych pacjentek dopiero po trzech latach przyznała, że brała leki tylko dlatego, że nie chciała zrobić przykrości mnie i rodzicom. Dopiero później zrozumiała, po co to było, co jej dały. Efekty działania niektórych leków są czasami spektakularne. Chory człowiek niszczy sobie różne płaszczyzny życiowe, bo ma głowę zajętą czym innym, trapią go niepokoje, zaburzenia myślenia, w niektórych przypadkach ma doznania wytwórcze. Kiedy to się normalizuje, nagle brzydka, opuszczona osoba rozkwita i intelektualnie, i fizycznie. Każdy z nas bierze jakieś leki po trzydziestce: ci mają problemy kardiologiczne, tamci latają do urologów, inni do gastrologów. Dlatego

kiedy do mnie ktoś przychodzi, to ja otwarcie mówię: albo podejmuje współpracę ze mną i kontynuujemy leczenie przy użyciu farmakologii, albo niech sobie idzie, bo nic z tego nie wyjdzie.

Co się zmieniło w psychiatrii na przestrzeni dekad, które przepracowała?

– Trochę się zmieniło w ostatnich latach – potwierdza doktor Dobrowolska. – I w mentalności pacjentów, w podejściu do chorób psychicznych, i w samych lekach, które nie dają tylu objawów ubocznych jak kiedyś. Nie wyłączają człowieka z normalnego funkcjonowania. Elektrowstrząsy nadal się stosuje w bardzo głębokich depresjach, w katatonii, w Polsce i za granicą, z tym że mamy dostępne nowoczesne aparaty, więc i elektrowstrząsy są inne. Nie robi się teraz wstrząsów insulinowych. Niegdyś były praktykowane: doprowadzało się do bardzo niskiego poziomu cukru i wynikłymi z tego wstrząsami leczyło na przykład lunatykowanie. Robiło się też wstrząsy kardiazolowe; też należą do przeszłości. Dziś jest więcej leków o szerokim spektrum, ale najważniejsza jest wciąż dobra diagnoza i liczy się doświadczenie lekarza, bo najczęściej przypadki są bardziej skomplikowane niż te opisane w podręcznikach.

Siedzimy przy stole i pijemy specjalną kawę z ziaren przetrawionych przez luwaki. Interesująca i smaczna. Doktor Dobrowolska nie jest panią od schabowego i bigosu, lubi ciekawostki kulinarne, kuchnię egzotyczną – poznała ją podczas kontraktu w Syrii. Raczej poczęstuje gości humusem z mango i pomarańczami, zupą tajską niż mielonymi i rosołem. Przykłada dużą wagę do diety, uważa, że jakość jedzenia leży u źródła wielu chorób. Podchodzi do tematu także filozoficznie.

– Czy widziała pani kiedykolwiek przekaz, w którym Pan Bóg albo aniołowie coś jedzą? – pyta. – Czasem myślę, że nasza kara za grzech

pierworodny to właśnie przymus jedzenia. Ile rzeczy byłoby prostszych, ilu wojen i chorób by nie było, gdybyśmy nie musieli jeść?

Coś w tym jest, chociaż kiedy kosztuję marcepana własnej roboty, który rozpływa się w ustach, myślę, że jedzenie to także dar. Pytam o przepis na ten rarytas, ale jest on sekretny.

– Dostałam od pewnej siostry zakonnej pod warunkiem, że nikomu nie zdradzę. Każdy inny, ale nie ten. To tajemnica, jak zawodowa! – mówi doktor Joanna. – Moje córki i wnuczki też go nie dostały, chociaż podpatrywały, jak robię…

Bo przez te wszystkie lata doktor Joanna Dobrowolska była także mamą, potem babcią, a teraz urodziła się pierwsza prawnuczka: Pola Joanna. Jedna z córek i jedna z wnuczek zostały stomatologiem. Młodsza wnuczka Majka wybiera się na medycynę, jej brat na informatykę. On zamierza studiować w Warszawie, ona w Białymstoku, bo chce być blisko rodziny. Być może historia rodzinna zatoczy krąg i wnuczka przejmie pałeczkę po babci. Bakcyl medycyny jest silny w pokoleniach lekarskich rodzin. A dzięki najukochańszej wnuczce Karolinie my mogłyśmy się poznać i porozmawiać.

---

19 Zarząd Budynków Mieszkalnych (przyp. red.).

Rozdział 7

Halina Jędrzejewska

„Takiego zachowania lekarzy jak w czasie powstania nie widziałam już nigdy w życiu, a widziałam wiele szlachetnych postaci i pięknych czynów. To, w jakich warunkach pracowali, i wysiłki, jakie podejmowali, żeby ratować ludzi…”

Halina Jędrzejewska, uczestniczka powstania warszawskiego, pseudonim „Sławka”, urodziła się w Warszawie w 1926 roku. Tu spędziła dzieciństwo i czas wojny, tu walczyła, studiowała medycynę, mieszkała całe życie i leczyła pacjentów. Specjalizacja, którą wybrała, to ortopedia. Pierwszy raz pomyślała o medycynie, kiedy miała trzynaście lat, w 1939 roku. Niemcy zbombardowali pociąg, którym jechała z rodzicami na wschód. Bezradna wobec nieszczęścia i ran obiecała sobie na peronie w Równem, że zostanie lekarką. Doświadczenie powstania warszawskiego, w którym była sanitariuszką w zgrupowaniu „Radosław”, utwierdziło ją w tym postanowieniu.

„Sławka”

Przedwojenna kamienica przy ulicy Wawelskiej w Warszawie. Takie domy mają swój klimat: wiele pamiętają, należą do nielicznych budynków, które mimo że nadkruszone i zranione, w całości przetrwały niemiecką zemstę na zbuntowanym mieście w roku 1944. Pamiętają zło, zbrodnię i bohaterstwo. Twarde i niezłomne tak jak niektórzy ludzie. Halina Jędrzejewska, pseudonim „Sławka”, z batalionu „Miotła”, należy do takich osób. Rozmawiam z nią w mieszkaniu, które pamięta od zawsze – tu się urodziła, tu przeżyła szczęśliwy czas dzieciństwa, Wigilie z rodzicami i siostrami, lata szkolne i trudny czas okupacji. Stąd 1 sierpnia 1944 roku wychodziła do powstania. Na sąsiednim podwórku rozstrzelano jej ojca. O powrót do rodzinnego domu uparcie walczyła w latach PRL-u. W końcu się udało. O tym, że została lekarzem, zadecydowało wojenne zdarzenie z dzieciństwa.

Pierwsze poczucie bezradności

W sierpniu 1939 roku Halina ma prawie trzynaście lat i jest beztroską nastolatką, która myśli o powrocie do szkoły po wakacjach. Mieszka z rodzicami w obszernym mieszkaniu w kamienicy przy Wawelskiej. Ojciec pracuje w ministerstwie komunikacji, ona uczęszcza do gimnazjum imienia Słowackiego. Pod koniec wakacji myślami jest jeszcze na obozie harcerskim w Górach Świętokrzyskich, zachwycona wyjazdem i harcerstwem. Spokojne życie dziewczyny – jak wszystkich z tego pokolenia – burzy wojna. Nowego roku szkolnego nie będzie. Ojciec, Mateusz Dudzik, dostaje nakaz ewakuacji na Kresy z całym ministerstwem i z rodziną. Wyjazd piątego września. Dudzikowie pakują najcenniejsze rzeczy i razem z trzema córkami ruszają na dworzec. Tu czeka ich niemiła

niespodzianka: przedział przydzielony im w nakazie jest zajęty przez nieznanych ludzi. Obca rodzina, niechętnie nastawiona, przestraszona, ani myśli opuścić wagon. Usiedli tam, gdzie znaleźli miejsce, też chcą uciekać z Warszawy. Pan Mateusz sprawdza, czy na pewno nie ma omyłki, ale nie ma – to ich miejsca, tyle że zajęte. Proszą, żeby intruzi im ustąpili, ale ci odmawiają: czasy takie, że każdy ratuje skórę i kto pierwszy, ten lepszy. Interweniuje pracownik kolei, na próżno. Robi się problem. Konduktor chce wzywać policję, ale Dudzik się nie zgadza. Mówi: „Trudno, weszli wcześniej, zajęli, lepiej niech nam pan znajdzie jakieś inne miejsce”. Konduktor znalazł inny przedział, jakoś ruszyli w nieznane z niepewnością w sercu. Pod Równem atak lotniczy, niemieckie bomby spadają na pociąg. Dudzikowie uchodzą cało, ale bomby całkowicie zniszczyły przedział, którym mieli pierwotnie jechać. Pasażerowie zginęli co do jednego.

– Co za pech! – mówi zamyślona pani Halina. – Było nam bardzo przykro, czuliśmy się w jakiś sposób winni. Ci ludzie niejako zginęli za nas.

Ona, wówczas trzynastoletnia dziewczyna, na zbombardowanej stacji po raz pierwszy przeżywa poczucie absolutnej bezradności. Na peronach chaos i rozgardiasz, krzyczą ranni, płaczą bliscy zabitych, biegają urzędnicy i kolejarze. To wtedy postanawia: będzie lekarzem.

– Miałam poczucie, że nic nie umiem, nikomu nie mogę pomóc – wspomina. – Pomyślałam sobie, że muszę zostać lekarką. Nigdy więcej nie chcę takiej sytuacji, że nic nie umiem, nic nie mogę zrobić, gdy ranni ludzie proszą mnie o pomoc. I to postanowienie jakoś nigdy się nie zmieniło.

Dalej jechać się nie da. Dudzikowie zatrzymują się w Równem, ale kiedy miasto zajmują Sowieci, Polacy nie są tam bezpieczni – Ukraińcy nastawieni wrogo, Rosjanie też. Ktoś z zaprzyjaźnionych Żydów ostrzega rodzinę: są na liście aresztowanych, czeka ich wywózka na Sybir, muszą uciekać. Uznają, że najlepiej wracać do Warszawy, do domu. Ojciec ze

starszymi córkami pierwszy przedostaje się przez zieloną granicę na stronę okupowaną przez Niemców. Halina z matką próbuje to zrobić w Przemyślu – tu strefę radziecką od niemieckiej oddzielają budynek i wielka brama. Pod nią kłębią się tłumy ludzi, nie ma jak się przedostać. A trzeba czym prędzej, bo nie jest tu bezpiecznie. Szczególnie kobiety są narażone na gwałt ze strony ukraińskich wojaków. Halinkę i jej matkę wypatrzył sobie pewien Ukrainiec. Pani Dudzikowa oddaje mu wszystkie kosztowności, aby ocalić siebie, córkę i kobiety z ich grupy. Udaje się jej – Ukrainiec znika, ale trudność z przekroczeniem granicy pozostaje. Ludzie podpowiadają, żeby przerzucić dziewczynkę przez bramę. Jeśli dziecko znajdzie się po drugiej stronie, Niemcy wpuszczą matkę. Tak robią: Halinka dzięki wysiłkowi życzliwych osób ląduje po drugiej stronie bramy, trochę poturbowana i potraktowana przez Niemca kopniakiem. Ale metoda skutkuje: wywołują jej matkę i Maria Dudzikowa jako Polka wracająca z dzieckiem do Warszawy legalnie przekracza granicę i dociera do okupowanej stolicy. W mieszkaniu przy Wawelskiej czeka mąż i tu przetrwają okupację aż do powstania.

Młodość pod znakiem okupacji

Okupowana Warszawa. Ciężka zima 1942 roku, godzina policyjna, braki w zaopatrzeniu i ogólny strach dają się mieszkańcom stolicy we znaki. Ale życie musi się toczyć, warszawiacy jakoś sobie radzą, szybko się organizują i myślą, jak przetrwać, gdzie zarobić, jak mimo wszystko kształcić dzieci… Oczywiście polskie ministerstwo komunikacji już nie istnieje, edukacja też nie, szkoły ponadpodstawowe są dla Polaków zakazane, nie mówiąc o uczelniach. Szkolnictwo schodzi do podziemia. Starsza siostra Haliny, Danusia, studiuje na tajnym uniwersytecie, na wydziale lekarskim. Niektóre zajęcia odbywają się w salonie Dudzików. Pełna konspiracja: w dniu zajęć

żadnych znajomych, najlepiej wyjść z domu. Przychodzi profesor i pięcioosobowa grupa studentów. Studiują anatomię. Wychodzą pojedynczo, w sporych odstępach czasu. Trwa to przez wszystkie lata okupacji, bez wpadki. Mechanizm podziemia działa doskonale, tajemnic dochowuje się tak, że nawet siostry nie wiedzą o swojej działalności.

– Danusia była w konspiracji i ja także, ale nie wiedziałyśmy o sobie. Domyślałyśmy się, ale nigdy o tym nie wspomniałyśmy. Rodzice tak samo domyślali się, ale o nic nie pytali. Ojciec do niczego się nie wtrącał, nigdy nie mówił: co wy robicie, narazicie cały dom… Nie pytali, gdzie wychodzimy. Tylko dwa razy zdarzyło mi się, że mama stanęła w drzwiach i poprosiła, żebym nie wychodziła: „Błagam, nie idź. Nie wypuszczę cię”. Nie wiedziałam, co robić. Raz odpuściła, poszłam i nic mi się nie stało. Drugim razem nastawała bardzo mocno, miała złe przeczucia. Doszłam do wniosku, że muszę jej posłuchać. Zostałam w domu i dobrze, zginęłabym tam, gdzie się wybierałam. Był straszny kocioł, wszystkich zabrali.

Poza przeczuciami działa też sieć telefoniczna. Warszawiacy ostrzegają się wzajemnie, dzwonią z informacjami, gdzie na mieście są łapanki. Komunikaty w słuchawkach brzmią mniej więcej tak: „A ty wiesz, że na Marszałkowskiej ludzie się pobili, diabelna awantura!”. Albo: „Na placu Zbawiciela ktoś wypadł z tramwaju, kolizja”. Oznaczało to: nie wchodź w ten rejon, a jeśli musisz wyjść, idź inną trasą. Ludzie muszą sobie jakoś radzić, co więcej – pomagają krewnym i przyjaciołom. U Dudzików mieszka w tym czasie Irenka, córka przyjaciółki, dziewczyna z Grodna. Zajmuje mały pokój, a odwiedza ją pewien młody człowiek. Nikt jednak nie pyta kto i po co. Romantyczna historia wojennej miłości? Konspiracja? W pewnym momencie młodzieniec przestaje przychodzić. Dudzikowie pytają o to Irkę. Może chłopak zginął, może go aresztowali… Prawda okazuje się bardziej prozaiczna i dla rodziców, ludzi przedwojennej daty,

nieco skandaliczna. Halinka słyszy, jak ojciec mówi do matki: „Lilka, ja tego nie rozumiem, dziewczyna z przyzwoitej rodziny, a chłopak wydawał się taki sympatyczny! Bałem się, że go aresztowali, zapytałem, czemu nie przychodzi, a Irka powiada, że on nie ma teraz czasu, bo handluje mięsem! Mięsem! Nie mogę tego pojąć”.

Poruszenie ojca pani Halina wspomina z rozbawieniem. „Handluje mięsem! Lilka, przecież to skandal!” Rodzice wciąż myśleli kategoriami przedwojennej epoki…

Irka nie przetrwała wojny – zginęła w powstaniu. Szła ze Śródmieścia na Czerniaków pomiędzy swoim narzeczonym a jego kolegą. Nagle zachwiała się i upadła. Chłopakom nic się nie stało, ona zginęła na miejscu od niemieckiej kuli. Musiał ją trafić strzelec wyborowy.

Wojnę przetrwała inna lokatorka Dudzików. Tajemnicza kobieta mieszkała u nich kilka miesięcy. Byli pewni, że należy do konspiracji i wykonuje ważne zadania. Pewnego dnia bez wyjaśnienia oznajmiła, że musi się wynieść. Dudzikowie zrozumieli, że dla bezpieczeństwa ich rodziny. Nie wyprowadziła się daleko – zajęła mieszkanie na samej górze, na ostatnim piętrze, by w razie czego łatwiej uciekać. I tak się stało. Pewnego dnia w kamienicy zjawili się Niemcy. Poszli prosto na górę, przeszukali dokładnie mieszkanie, ale nikogo nie zastali. Jak się potem okazało, kobieta była już w łóżku, gdy usłyszała patrol. Uciekła przez suszarnię i słuch po niej zaginął. Po wojnie okazało się, że przeżyła.

Powstanie

Rok 1944. Halina wkrótce skończy osiemnaście lat. Działa oczywiście w podziemiu, należy do AK, do zgrupowania „Radosław” i batalionu „Miotła”, jest sanitariuszką. Otrzymuje pseudonim „Sławka” – przez całe

życie będzie jej bliższy niż własne imię. Kiedy pierwszego sierpnia wychodzi z domu, matka mówi tylko: „Wróć, dziecinko!”. Halina sądzi jak wszyscy, że wróci za tydzień, tymczasem nie zobaczy matki i siostry ponad trzy miesiące. Ojca nie ujrzy już nigdy. Jej szlak bojowy biegnie daleko od domu, na Woli. Za to siostra Danusia, studentka tajnej medycyny, przypadkiem dostaje przydział do szpitala polowego urządzonego w domu obok. Sąsiedzkie numery przy Wawelskiej początkowo są odgrodzone siatką. Pierwszego dnia powstania mieszkańcy zdejmują odgrodzenie i walczą z okupantem jako jedna placówka. Reduta Wawelska przez jedenaście dni będzie bohatersko dawać odpór Niemcom, którzy nie mogą zdobyć dwóch niezbyt wielkich budynków. Z pewnością nie bez znaczenia jest to, że wśród mieszkańców są ludzie, którzy je budowali. Inżynierowie znający ich konstrukcję wiedzą, jakie są połączenia piwnic i wejścia do kanałów. Dzięki nim po jedenastu dniach powstańcy będą mogli się przekopać i wyjść z placówki. Cywile muszą przetrwać, siedzą w mieszkaniach, schodzą do piwnic. W czasie ostrzału domu jedna z mieszkanek zaczyna rodzić. Poród jest trudny, wody odeszły, ale akcja porodowa się zatrzymała. W kamienicy naprzeciwko akurat jest lekarka, która utknęła u znajomych. Poproszono ją o pomoc, nie odmówiła. Powstał jednak problem, jak ją przetransportować do rodzącej. Ktoś wpadł na zbawienny pomysł: obwiązano panią doktor sznurem i po drugim zawieszonym między oknami została przeciągnięta jak po linie nad podwórkiem. Uratowała tę kobietę i dziecko – przetrwali wojnę. Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. Niemcy, a dokładnie oddział RONA, 11 sierpnia wchodzą do zbuntowanych domów, wyciągają mężczyzn na dziedziniec i strzelają. Na podwórku sąsiedniej kamienicy wraz z grupą sąsiadów zostaje rozstrzelany Mateusz Dudzik.

„Sławka” o tym nie wie, jest daleko na Woli. Przemierza swój powstańczy szlak bojowy z gorącą wiarą w zwycięstwo, mimo że powstanie się przedłuża, oczekiwanej pomocy ze strony sojuszników nie widać, a sytuacja w Warszawie jest coraz trudniejsza. Walki miały trwać tydzień, a mijają kolejne tygodnie. Brak broni, brak żywności, brak wody, powoli zostaje tylko nadzieja. Na Woli, gdzie los rzuca ją z batalionem „Miotła”, rozgrywa się prawdziwe piekło. Sanitariuszki transportują rannych, których przybywa z dnia na dzień, w szpitalach nie ma już miejsc, nawet na podłodze, za to rośnie stos amputowanych kończyn. O „Sławce” koledzy mówią, że ma silne ręce, więc zaczyna marzyć, że będzie kiedyś chirurgiem, o ile to wszystko przetrwa. Nie boi się, w kieszeni ma ukrytą broń, mimo że jest sanitariuszką, a te broni nie noszą. Dowódca wcisnął jej w rękę mały pistolet i szepnął: „Weź, na wszelki wypadek, Sławka, różnie może być”. Przydał się w nieoczekiwanym momencie.

– Czasem musiałyśmy prosić cywili o pomoc – wspomina pani Halina. – Na Woli pewnego razu miałam dwóch ciężko rannych i nie wiedziałam, jak ich przetransportować do szpitala, a to było moje zadanie. Cały czas myślałam, skąd wezmę ludzi, którzy mi ich zaniosą? I patrzę: stoją, cholery, pod płotem! Cywile. Mówię: „Bardzo panów proszę, pomóżcie zanieść ciężko rannych do szpitala, bo sama nie dam rady w żaden sposób”. Nie. Nigdzie nikogo nie zaniosą, boją się o swoje życie. „Musicie pójść, bo ci ludzie umrą, zrozumcie to”, przekonuję. Cywile: „Nie i już!”. No więc wyciągnęłam tę spluwę, wymierzyłam i mówię: „Albo bierzecie ich, albo strzelam”. Musiałam tak wyglądać, że uwierzyli, chwycili nosze i zanieśli… sterroryzowani przez drobną i zdeterminowaną dziewczynę.

Czy rzeczywiście użyłaby broni?

– Gdyby odmówili, strzeliłabym – dodaje po chwili zamyślenia. – To było moje zadanie: ratować rannych powstańców. Jeden zmarł nam po

drodze. Tym bardziej zależało mi, żeby ocalić tego drugiego…

Niestety ta bohaterska przygoda nie ma happy endu. Kiedy docierają do szpitala, kładą rannego na jakimś wolnym skrawku podłogi. Ludzie leżą kalosz koło kalosza, a przecież sanitariuszki przynoszą tylko bardzo ciężko rannych. Inni są poddawani leczeniu na bieżąco w oddziałach, w punktach medycznych. W szpitalach brakuje wszystkiego, a chirurdzy operują bez przerwy, dzień i noc, dzień i noc. „Sławce” bardzo, ale to bardzo, za wszelką cenę, zależy na tym, żeby ten chłopak przeżył. Jakby to był jakiś symbol tego, o co walczą. Łapie za fartuch przechodzącego lekarza, błaga, żeby brał jej rannego na stół: „Kolega z walk na Stawkach, doktorze, miły chłopak, piękny głos, w przerwach od walk tak ładnie śpiewał i grał!”. Lekarz, widząc determinację dziewczyny, a może trud, z jakim dostarczyła rannego, zgadza się, bierze go na stół, a jej każe czekać. Po pół godzinie daje jej znak, by weszła, ale na zmęczonej poszarzałej twarzy doktora nie ma już żadnej nadziei. „Sławka” rozumie – jej ranny umiera.

– Był przytomny. – Nawet po siedemdziesięciu pięciu latach wspomina tę chwilę ze wzruszeniem. – Wcześniej, podczas transportu nie, ale kiedy weszłam, tak, odzyskał przytomność. Rozpoznał mnie. „Pozdrów chłopców, Sławka. Niech mnie pomszczą”, powiedział. Umarł z tymi słowami na ustach. Wyszłam z sali, usiadłam w kącie na podłodze i zaczęłam okropnie, rozpaczliwie płakać, szlochać jak dziecko. Nie mogłam tego przeżyć, nie mogłam pogodzić się z tą śmiercią. Strasznie się tego wstydziłam i wstydzę się do dzisiaj, ale już spokojnie o tym mówię. Myślałam, że go uratujemy.

Tylko raz w czasie powstania płakałam, właśnie wtedy.

Batalion „Miotła”, do którego należy „Sławka”, przechodzi wszystkie punkty miasta z wyjątkiem Mokotowa. Na Czerniakowie walczą krótko, przedostają się do centrum od strony Wilanowa. Dostają zadanie: nie

dopuścić, żeby Niemcy weszli do Śródmieścia. A Niemcy mają kolosalną przewagę – usadowieni wysoko na piętrach budynków widzą ulicę jak na dłoni, strzelają do powstańców jak do kaczek… Kończy się wrzesień, walka zakrojona na tydzień trwa dwa miesiące, coraz trudniej walczyć, coraz trudniej trwać w powstańczych warunkach. Dziewczęta bardzo odczuwają kłopoty z higieną. Przy szpitalach jest jeszcze jako tako, ale sanitariuszki i łączniczki w oddziałach, które ciągle zmieniają miejsca postoju, mają bardzo ciężko. Żadnych sanitariatów, noclegi w piwnicach, zaczynają się chłodne noce. Przy tak silnym stresie nie odczuwają głodu, nie mają miesiączek, ale bardzo brakuje im wody.

– Koledzy zachowywali się bardzo elegancko – wspomina pani Halina. – Bardzo o nas dbali. Kiedy znaleźli jakieś ustronne miejsce, mówili: „Dziewczyny, nas nie ma, my nie widzimy, będziemy was osłaniać”. Raz znalazłyśmy jakiś staw, można było się umyć, rozkoszowałyśmy się tą wodą, niezbyt czystą, ale dość przyzwoitą.

Te walki na Stawkach doktor Jędrzejewska będzie pamiętać do końca życia. Wszystko dudni, sanitariuszki biegają do rannych, ale na miejscu nie szyją ani nie opatrują. Pod obstrzałem trzeba ich szybko zabierać i uciekać. Jak się da, zjeżdżać, ciągnąć i jakoś donieść do szpitala.

– Czołgałam się pod gradem kul do rannych za kolegami. Jednej sytuacji nie zapomnę do końca życia. Usłyszałam: „Sanitariuszka!”. Popełzłam. Leżało ich dwóch. Ten przytomny, którego chciałam ratować, bo moim zdaniem miał szansę przeżyć, chociaż był ranny, miał postrzały w nogi i w piersi. Drugi leżał na brzuchu nieprzytomny. Takiej rany na plecach nie widziałam nigdy wcześniej ani potem. Rozwarstwione otwarte ciało, widoczny kręgosłup. Chciałam nieść przytomnego, ale się nie zgodził, kazał zabrać kolegę. Przeżył. Miał odłamki w płucach, w osierdziu, a nogi przeszyte jak sito. Chciano mu je amputować, nie zgodził się.

Spotkałam go rok później, już po wyzwoleniu, i wpadłam w rozpacz. Z dziurek w całych łydkach sączyła się ropa, był w ciężkim stanie. Wyszedł z tego, bo pomógł mu profesor z naszej uczelni. Była między powstańcami solidarność. I to, co mnie zawsze wzrusza, co warto zapisać dla młodszych: że kiedy trzeba było wybierać kolejność rannych do niesienia pomocy, to nasi koledzy zawsze wołali, żeby ratować kolegę, nie jego. Oni po prostu tacy byli.

Medycyna powstańcza

– Co się działo w szpitalach, nie potrafię pani opowiedzieć. Nie do uwierzenia, jak wyglądał Szpital Jana Bożego. Ale gdyby nie było tego szpitala, to byłaby klęska…

Tak wspomina „Sławka” powstańczą medycynę, swój pierwszy kontakt ze światem szpitalnych łóżek i pacjentów. Szpital Jana Bożego odegrał ważną rolę w czasie powstania. Przed wojną psychiatryczny, został przekształcony w szpital wojenny. Działał długo przy linii frontu. W sierpniu stopniowo zaczęto ewakuować pacjentów, ale wciąż przybywali nowi. Pod koniec sierpnia klęska była nieunikniona.

„Sławka” i ośmiu kolegów dostają rozkaz utrzymania tego szpitala przez dobę, do następnej zmiany. Sytuacja jest koszmarna: dookoła Niemcy, mają miotacze ognia i zaczynają podpalać piwnice. Tragiczny obraz: część pacjentów chorych psychicznie, których nie zdążono ewakuować, w panice biega po budynku. Kobiety w samych koszulach, z rozwianym włosem, mężczyźni z obłąkanym wzrokiem. „Sławka” i koledzy obiecują sobie, że jeśli Niemcy wejdą do placówki, a oni nie będą mieli możliwości ucieczki, to kolejno wzajemnie odbiorą sobie życie. Ona patrzy na nich z prośbą, bo niełatwo zastrzelić koleżankę, a to ją właśnie czekałby najgorszy los.

Rozumieją to, słyszy dodatkowe zapewnienie: „Nie zostawimy cię Niemcom, Sława, bądź spokojna”. Wycofują się w ostatnich dniach sierpnia, gdy Niemcy podpalili piwnice. Szpital spłonie doszczętnie.

– Takiego zachowania lekarzy jak w czasie powstania nie widziałam już nigdy w życiu, a widziałam wiele szlachetnych postaci i pięknych czynów – mówi pani Halina. – To, w jakich warunkach pracowali, i wysiłki, jakie podejmowali, żeby ratować ludzi… Zdobywali leki i środki opatrunkowe. Jedna z sanitariuszek chodziła po nie ze Starego Miasta do Śródmieścia, w nocy się przekradała do jakiegoś szpitala. Ze Szpitala Maltańskiego w przeddzień wybuchu powstania nasze dwie koleżanki sanitariuszki wiozły rikszą w biały dzień kule i środki opatrunkowe. Pod kolanami miały paki, ale kul i dużego sprzętu nie da się ukryć, coś tam wystawało. Równolegle chodnikiem szło po dwóch kolegów ze schowaną bronią. Mieli rozkaz zabezpieczenia tych dziewczyn i ładunku. Co mogli zrobić? Gdyby ich zatrzymali, zginęliby wszyscy. Woleliby się zastrzelić wzajemnie, niż oddać w ręce Niemców.

Niestety nadeszła klęska powstania i kapitulacja. Wielki zawód dla powstańców. Nie wierzą w decyzję dowództwa, nie chcą słyszeć o rozmowach dotyczących zaprzestania walk.

– Byliśmy na Książęcej, kiedy nadeszła kapitulacja – opowiada pani Halina. – Obdarci, głodni, umordowani skrajnie chcieliśmy dalej walczyć. Mieliśmy w sobie wszystkich przyjaciół, którzy zginęli na naszych oczach. Uważaliśmy naiwnie, że ci, co obiecali pomóc, może chociaż w ostatniej chwili jednak nam pomogą, a jak pomogą, to wygramy. Przecież na początku dobrze szło to powstanie. Naprawdę. Książęcą utrzymaliśmy tyle czasu, do końca. Ale powrócił dowódca z narady szefów i powiedział, że kończymy walkę. Ogromnie się zgryźliśmy.

„Sławka” wychodzi z miasta z powstańcami jako jeniec wojenny. Myśli, że jej najbliżsi nie żyją.

– Broń zakopaliśmy, to, co zostało, zniszczyliśmy. Przy sobie nic, bo gdyby Niemcy zobaczyli przy kimś broń, od razu śmierć. Mieliśmy rozkazy, kto i jak wychodzi, nie było to bezładne. Pamiętam, że marzłam. Do powstania poszłam w zwykłej szarej sukience przerobionej z harcerskiego mundurka. I kiedy tak szliśmy pod lufami Niemców, ludzie rzucali nam chleb, czasem kromkę, a czasem bochenek. Ja trzęsłam się z zimna. Jakaś kobieta podbiegła i otuliła mnie grubą kurtką. To był dla mnie skarb. W obozie jenieckim zachorowałam, miałam czterdzieści stopni gorączki. Ocaliła mnie lekarka, która była z nami. Nie wiem nawet, czym mnie leczyła, bo antybiotyków nie było.

Wspomnienia z marszu zwyciężonych są trudne. Warszawiacy zostawiają za sobą swoje miasto obrócone w ruiny i zgliszcza. Niosą resztki dobytku, co kto zdołał złapać, zapakować w tobołek. Jedna z dziewczyn, Hanka, znajoma „Sławki”, dźwiga ciężką walizę, zbyt ciężką na jej siły. Ludzie obok doradzają jej, żeby rzuciła ją w diabły. Pomagają, ale złość narasta. W pewnej chwili ktoś, kto akurat niósł tę walizę, się potknął. Wysypały się z niej na drogę te ciężkie skarby Hanki. Albumy i zdjęcia przewiązane tasiemką, fotografie jej rodziny, domu, zwierząt, dzieciństwa, narzeczonego, który zginął w powstaniu. Całego jej własnego minionego świata. Dziewczyna, łkając, zbierała fotografie. „Nie mogę tego stracić”, mówiła. Ludzie milczeli, nikt już nic nie powiedział.

– Nie wiem, co się z nią potem stało – odpowiada doktor Jędrzejewska na moje pytanie, czy ta osoba przeżyła. – Ale zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

„Sławka” trafia do Stalagu XB w Sandbostel, dostaje numer obozowy 224 292. Potem przenoszą ją do obozu jenieckiego dla kobiet-żołnierzy

Armii Krajowej w Oberlangen. Jest już rok 1945, nadchodzi wyzwolenie. Z grupą towarzyszek zostają przewiezione do Holandii, potem do Wielkiej Brytanii. Tu pracuje w Pomocniczej Lotniczej Służbie Kobiet w polskich siłach lotniczych WAAF. Koniec wojny zastaje ją w Londynie. Co robić? Zastanawia się nad studiami na uniwersytecie w Edynburgu, ale proponują jej tylko biologię, a marzenie o medycynie tli się przecież w duszy. Marzy o powrocie do Polski, ale wszyscy dookoła przestrzegają: nie wracajcie, nie ma już Warszawy, nie ma dawnej Polski, jest komunizm, zabiją was, nigdy nie zobaczycie swoich bliskich. A jednak część Polaków decyduje się wyjechać. „Sławka” jest wśród nich. Płyną statkiem niepewni, co ich czeka.

– Kiedy schodziłam z trapu w Gdyni, bałam się. Wszyscy się baliśmy. Szpaler żołnierzy pod bronią patrzył na nas jak na wrogów.

Jednak Polska

O najbliższych nic nie wie, myśli nawet, że nikt nie przetrwał, bo takie wieści przyniósł jeden z kolegów. Nie ma pojęcia, czy przy Wawelskiej ujrzy ruiny, czy może przetrwał kawałek domu rodzinnego. Zastaje, o dziwo, kamienicę prawie wcale niezburzoną, a w dawnym mieszkaniu – matkę i Dankę. Maria Dudzikowa z młodszą córką wróciły do stolicy w styczniu 1945 roku, mimo potwornego mrozu uczepione schodów pociągu. Starsza została na Podlasiu, tam, gdzie walczyła w partyzantce. Przeżyły wszystkie trzy, ale zostały same. Halina dopiero teraz dowiaduje się, że ojciec zginął i że nigdy nie znajdą jego szczątków. Nie mają grobu.

Łzy i żałoba nie są jednak czymś wyjątkowym w ówczesnej Warszawie. Tu każdy kogoś stracił, niektórzy wszystkich i wszystko. Mimo to stolica zaczyna tętnić życiem. W ruinach zapalają się światła, chociaż niektórzy wspinają się do swoich mieszkań po drabinach lub po gruzach. Rusza

wielka odbudowa stolicy. Odradza się handel, otwierają szkoły. Młodzi ludzie muszą jakoś żyć, pomyśleć o przyszłości, także Halinka Dudzik, która w 1946 roku ma dwadzieścia lat. Bolesne jest, że trzeba ukrywać powstańczą przeszłość i przynależność do AK. „Sławka” znów jest Haliną, musi zapomnieć o powstańczym pseudonimie. Pamięta za to o swoim postanowieniu, decyduje się studiować medycynę.

Zaczyna studia w Poznaniu i tu spotyka kolegę z powstania: Tadeusza Jędrzejewskiego „Wszebora”. To on przyniósł jej kubek wody, gdy była bardzo spragniona, a ona wypiła, mimo że woda była brudna i mętna. Z nim zetknął ją los, kiedy znaleźli się w obozie jenieckim. I teraz spotyka go w Poznaniu. Najwyraźniej przeznaczenie. Wychodzi za niego za mąż, a kiedy tylko staje się to możliwe, wracają do Warszawy. Halina, już Jędrzejewska, kontynuuje studia na Uniwersytecie Warszawskim, na wydziale lekarskim, który wkrótce zostanie przekształcony w odrębną Akademię Medyczną. Studia wspomina jako trudny, ciemny czas. Trwają aresztowania, wśród studentów panuje nieufność, profesorowie znikają. Stalinowska Warszawa nie przypomina tej przedwojennej. Pani Dudzikowa z dwiema córkami mieszka w swoim dawnym mieszkaniu, ale nie mogą się pozbyć dodatkowego lokatora. O prawo do własnego mieszkania pani Halina będzie walczyć dziesięciolecia. I w tej sprawie pomogą, jak się okaże, przyjaźnie jeszcze z powstania.

Studia są ciężkie, ale przychodzi wreszcie ich kres. Specjalizacja? Chirurgia, może psychiatria?

– Całkiem poważnie myślałam o psychiatrii – wspomina doktor Jędrzejewska – ale poruszył mnie bardzo widok chorych umysłowo dzieci. Na jednym z wykładów wbiegły na salę; zrozumiałam, że nie dam rady w tej specjalizacji. Wybrałam ortopedię. Życie powoli zaczęło się układać. Pracowałam cały czas w klinice ortopedycznej na Lindleya. Mieliśmy tam

trzy oddziały: dziecięcy (dla dzieci z wadami wrodzonymi), dla dorosłych i urazowy. Najmniej lubiłam ten dla dorosłych. Papierosy paliłam tylko na ostrych dyżurach; tam paliliśmy wszyscy, było bardzo nerwowo. W powstaniu też zapaliłam kilka papierosów, ale kiedy chłopcy dzielili się z nami zdobyczą, oddawałam je najbardziej potrzebującym, tym, którym ich brak bardzo doskwierał… Czas płynął. Udało się odzyskać rodzinne mieszkanie na Wawelskiej. Urodziłam dzieci. Mąż był dziennikarzem. Ja pracowałam tak, jak sobie obiecałam: jako lekarz ortopeda. Przeszłości wciąż lepiej było nie wspominać. Do tego stopnia, że kilka lat pracowałam w przychodni na Lindleya z dwoma kolegami, przyjaźniliśmy się, spotykaliśmy całymi rodzinami towarzysko i nie wiedzieliśmy, że wszyscy walczyliśmy w powstaniu. Nie mówiło się o tym.

W końcu przyszły czasy, że udział w powstaniu warszawskim stał się chlubą, a oni bohaterami. „Sławka” z chęcią włączyła się w kombatancką aktywność, by wspominać powstańców, opowiadać o tych trudnych i wzniosłych dniach, mówić i zapisywać historię. Co roku bierze udział w obchodach kolejnych rocznic powstania, organizuje spotkania kombatantów. Tak wielu ich już nie ma. Teraz, kiedy nareszcie z dumą można mówić głośno o ich poświęceniu i bohaterstwie, warkocze dziewcząt dawno są już białe, a i o chłopcach-żołnierzach można powiedzieć słowami harcerskiej piosenki: „Każda twarz się uniesieniem płoni, każdy laskę krzepko dzierży w dłoni”. Z pewnością trzeba „bohaterski wskrzeszać czas”.

Rozdział 8

Irena Sarosiek

„Często, kiedy wieczorem wracam autem z kliniki, myślę za kierownicą o dniu, który minął. Mam taki własny test wartości dnia: ilu ludziom dziś pomogłam, podałam rękę, dałam nadzieję? Co zrobiłam takiego, co mogłabym uznać za ważne, czego nie zrobiłam wcześniej?”

Irena Sarosiek, jedna z czterech kobiet profesorów na Uniwersytecie Medycznym w El Paso, ma wiele sukcesów i nagród w zakresie gastroenterologii, ale chyba największy jest ten, że dała radę wrócić do zawodu po dziesięcioletniej przerwie, w obcym kraju, do którego przybyła, nie znając języka, i wspięła się na szczyty kariery naukowej. Białostocką uczelnię medyczną ukończyła w 1979 roku i podjęła pracę jako ginekolog dziecięcy. W 1986 roku wyjechała do USA i zaczęła wszystko od nowa. Wiąże się z tym pewna romantyczna historia.

Uparta Polka z Podlasia

Spotykamy się w Białymstoku, w gościnnym pokoju hotelowym, w którym mieszka profesor Irena Sarosiek, honorowy gość na inauguracji roku akademickiego 2019/2020 na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku.

Czekam z dyktafonem, swoimi książkami i lekką tremą. Pani profesor z dużymi osiągnięciami w nauce. Jedna z zaledwie czterech kobiet profesorów na Uniwersytecie Medycznym w El Paso. Zaraz tu wejdzie. Wyobrażam sobie postawną poważną osobę. Nic bardziej mylnego: wchodzi niewysoka energiczna szatynka, ciepła i bardzo rodzinna, uczuciowa i roześmiana. Pierwsze sekundy i wiem, że będzie się nam dobrze rozmawiało. I rzeczywiście: gadamy i gadamy ponad ustalony czas. Szkoda kończyć tę rozmowę, ale profesor Sarosiek ma spotkanie z władzami uczelni. Dokładnie czterdzieści lat temu była absolwentką wówczas Akademii Medycznej, dziś Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Przyjechała ze Stanów Zjednoczonych, z Texas Tech University Health Sciences Center w El Paso, z ciekawym projektem współpracy placówek.

Na uroczystej inauguracji roku akademickiego profesor Sarosiek ma wykład o kobietach w świecie nauki. Nie mają łatwo, sama wie o tym najlepiej. Przeszła wyboistą drogę, bo musiała poradzić sobie z dziesięcioletnią przerwą w pracy, zacząć wszystko od nowa na emigracji i pogodzić karierę naukową z macierzyństwem. Udało się.

– Jeszcze teraz czasem szczypię się, żeby sprawdzić, czy to nie sen – mówi wzruszona. A wszystko zaczęło się na Podlasiu.

PRL, Białystok, lata siedemdziesiąte

Rodzina Skiepków, jak setki innych, mieszka w bloku na jednym z białostockich osiedli. Jan Skiepko jest zatrudniony w wojsku jako mechanik samochodowy, jego żona Anna pracuje w biurze i prowadzi dom, mają dwie córki i obie chcą się kształcić. Halinka, starsza o trzy lata od Ireny, już poszła na studia na Politechnikę Gdańską. Wyjechała z domu jako

osiemnastolatka. A teraz Irena mówi o medycynie. Ojciec nie jest zachwycony, w domu się nie przelewa. Mówi: „Po co to? Studia długie i trudne, jeśli już, to może zdawaj do szkoły pielęgniarskiej, szybciej pójdziesz do pracy”. Irena ma jednak wielkie wsparcie w matce. Anna Skiepko zawsze szanowała zawód lekarza, sama o nim marzyła, ale jej młodość przypadła na wojnę i nie miała szans na studiowanie. „Chcesz iść na medycynę? – mówi do córki. – To pójdziesz!”

– Ona była moją pierwszą mentorką – wspomina profesor Sarosiek. – Wiele przeszła, w czasie wojny była w obozie pracy w Niemczech. I jak wróciła z obozu do Białegostoku, okazało się, że nie ma już czasu na szkoły. Wyszła za mąż, urodziła córki. Robiła, co mogła: szyła nam ubrania, robiła swetry i kamizelki na drutach, przeszywała kurtki, kaptury. Pozwalała nam iść własną drogą. Była silna, a silna kobieta w rodzinie daje moc młodszym pokoleniom.

Irenka od dziecka chce być lekarką. Ratuje ptaki, leczy lalki, wie, że to jej powołanie.

– Nie zmieniłabym tego – mówi po czterdziestu latach. – Lekarz to zawód uniwersalny, globalny, tak samo potrzebny na całym świecie. Kiedy się ma tę wiedzę, pomóc można każdemu człowiekowi w każdym miejscu, nawet bez znajomości języka.

Po maturze Irena zdaje egzamin do Akademii Medycznej w Białymstoku i tak zaczyna się jej przygoda z medycyną. Nie przypuszcza, że przyjdzie jej zacząć swoją historię zawodową dwa razy i że kiedykolwiek wyjedzie z Białegostoku.

Miłość i medycyna

Diagnostykę na internie prowadzi asystent Jerzy Sarosiek, dziewięć lat starszy doktorant. Jest wymagający i surowy wobec studentów, szczególnie młodej Ireny, którą wyróżnia, ale niejako odwrotnie: wciąż wyrywa ją do odpowiedzi, a kiedy ktoś czegoś nie wie, do niej kieruje fachowe pytania i uwagi.

– Myślałam, że mnie bardzo nie lubi. – Pani Irena się uśmiecha. – Wracałam do domu i mówiłam mamie i babci: „Czemu on mnie tak nie znosi? Uwziął się czy co?”.

A jednak na trzecim roku asystent wybiera Irenę do swojej grupy i wygląda na to, że jednak bardzo ją lubi. Kiedy świętuje obronę doktoratu, to Irena wręcza mu kwiaty w imieniu studentów: „Panie doktorze, gratulujemy!”. Świeżo nominowany doktor nauk medycznych wzruszony dziękuje, ale nie puszcza jej ręki, stara się przedłużyć tę chwilę na scenie.

Po latach kolega Jerzego zdradził jej tajemnicę. Zapytał, czy pamięta praktykę po pierwszym roku, na okulistyce. Pamiętała, oczywiście, takie były zasady: studenci co roku mieli obowiązek praktyk w wakacje. Najpierw pracowała w szpitalu jako salowa, potem jako pielęgniarka. Dostała przydział na okulistykę. Doktor Sarosiek przychodził tam jako konsultant internista, żeby badać pacjentów przed operacjami, a ona przynosiła mu ich karty. „Ty tego nie wiesz – rzekł kolega męża – ale już wtedy Jurek zwrócił na ciebie uwagę. Powiedział nam, że jest na okulistyce taka dziewczyna po pierwszym roku i jeśli do trzeciego nie wyjdzie za mąż, to on się z nią ożeni”.

Dopiął swego, po czwartym roku wyszła za niego za mąż. Wcześniej, zaproszony na bal połowinek tego rocznika, zapytał ją: „Czy pani przyjdzie sama?”. „Tak”, odpowiedziała. „Więc ja też”, oznajmił. Tańczą na tym balu, jakby byli parą. Dobrze im się tańczy i tak już zostanie.

– Kiedy Jerzy mi się oświadczał, uprzedził, że wyjedzie na stypendium naukowe za granicę, bo chce prowadzić badania. Ja byłam młoda i zakochana, czasy były trudne, myślałam: „O czym on mówi? Jaki wyjazd?”. Kiedy po kilku latach rzeczywiście wyjechał, nie sądziłam, że pojadę za nim. A jednak tak się stało. Potem przeszliśmy razem bardzo dużo. Dziś, kiedy minęły czterdzieści dwa lata wspólnego życia, wiem, że jeśli chodzi o małżeństwo, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Pierwsze kroki w zawodzie

Rok 1979, koniec studiów, czas na wybór specjalizacji. Irena chce zostać pediatrą, ale słyszy, że nie ma dla niej etatu, bo za dużo jest kobiet w tej specjalizacji. Etaty dostają dwaj koledzy z roku. Trafia do profesor Izabeli Sipowicz na ginekologię. Akurat powstaje tam ginekologia dziecięca, coś dla niej. Pracuje w Państwowym Szpitalu Klinicznym w Białymstoku z ginekologami, ale też w pewien sposób ma kontakt z pediatrią, która ją zawsze interesowała. Sama też szybko zostaje mamą. Kiedy idzie na ostatni egzamin z medycyny sądowej, mąż zbiega za nią po schodach pałacu rozradowany: „Poczekaj, coś ci jeszcze powiem… Nie, nie chodzi o egzamin. Widziałem twoje wyniki, jesteś w ciąży!”.

– Oszołomiona tą wiedzą poszłam na ostatni egzamin – wspomina profesor Sarosiek. – Urodził się nasz pierwszy syn, po półtora roku drugi, a potem córka. W wieku dwudziestu siedmiu lat miałam trójkę dzieci i wszystko robiłam w ostrym tempie. Nie miałam wolnej minuty: kolki w nocy, kołysanki, pieluchy, kursy, praca. Nie było lekko. Mąż po raz pierwszy wyjechał do Stanów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym

pierwszym roku, a tu u nas wprowadzono stan wojenny. Zostałam z trójką dzieci, mama bardzo mi pomogła…

Sytuacja życiowa zmusza panią Irenę do tego, by sięgnąć po nowe umiejętności. Opanowuje jazdę samochodem. Boi się okropnie, ale instruktor, mądry facet, spokojnie wyjaśnia jej, o co chodzi, i radzi sobie. Maluchem wozi dzieci do rodziców, potem szpital, pacjenci, dyżury. Mąż pracuje w Nowym Jorku, w New York Medical College. Irena jedzie tam na kilka tygodni, ale bardzo przeżywa rozstanie z dziećmi, które zostały z jej siostrą i mamą. Szybko wraca. Jerzy zostaje dłużej, stypendium z roku przedłuża się do dwóch… Kiedy wreszcie przyjeżdża, dzieci nie poznają taty, więc decyduje się zostać w Polsce, ale jest już cenionym naukowcem i po roku dostaje następną propozycję. Pyta żonę, czy może wrócić do Stanów. „Do pieluch się nie nadajesz – mówi Irena. – A ja nie mogłabym pogodzić się z myślą, że blokuję ci coś ważnego. Chcesz jechać, to jedź”.

Tak więc doktor Jerzy Sarosiek wyjeżdża na uczelnię w Charlottesville w Wirginii, raz w miesiącu dzwoni, co tydzień pisze list, a tutejsze polskie życie toczy się swoim trybem. W kwietniu 1986 roku nowa katastrofa: awaria i wybuch elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Lekarze z akademii, gdzie pracuje Irena, wiedzą pierwsi – liczniki Geigera szaleją, trzeba zadbać o dzieci, podać płyn Lugola jak największej liczbie maluchów. Irena jeździ do pacjentów i do dzieci znajomych, jest bardzo aktywna, daje z siebie wszystko, co kończy się osłabieniem organizmu i zapaleniem płuc. Jerzy dzwoni do domu, wie już o wybuchu, jest zdenerwowany. Nie słyszy słów uspokojenia, przeciwnie: żona leży w szpitalu, ma wyjść za kilka dni. Cisza w telefonie, wreszcie mówi, że zadzwoni w środę wieczorem, a jeśli Irenka jeszcze będzie w szpitalu, wsiada do pierwszego samolotu. Nie ma takiej potrzeby. Kiedy dzwoni, ona jest już w domu, czuje się dużo lepiej.

Ale mąż mówi: „Spakuj dzieci i przyjeżdżaj. Polska po Czarnobylu to nie jest zdrowe miejsce”.

Tym razem przyznaje mu rację. W kraju jest ciężko, nawet o mleko trudno. Irena wsiada do malucha, jedzie do Warszawy załatwić wizy. Dostaje je, kupuje bilety na samolot. Zabiera dzieci i trzy walizy, leci do męża.

– Leciałam na rok, może mniej – wspomina z uśmiechem – a zostałam trzydzieści lat. Tęskniłam za krajem, za rodzicami i siostrą. Mąż nieraz mówił: „Jeśli chcesz, to wracajmy”, ale jego kariera się rozwijała, wiodło się nam coraz lepiej, a przy tym mieliśmy duży problem zdrowotny z oczami dzieci i to też nas zatrzymało w Ameryce.

Witaj w Stanach

Jest rok 1986, kiedy Irena Sarosiek z trojgiem dzieci przybywa do Stanów. Nie zna języka, nie ma szans na podjęcie pracy, czeka na nią małe mieszkanie w akademiku i ukochany mąż z niewielką pensją. W kraju zostawiła całkiem poważny dorobek zawodowy, teraz przypada jej rola żony i matki. Bardzo doskwiera jej brak języka. W szkole uczyła się niemieckiego, na studiach łaciny, ale angielskiego nie. Nauczycielami stają się jej własne dzieci, które żądne kontaktu z rówieśnikami chłoną angielski jak gąbka. Kiedy ktoś puka do drzwi Mrs. Sarosiek w akademiku, to dzieci tłumaczą mamie, o co chodzi. Finansowo jest bardzo ciężko – pracownicy naukowi zarabiają w Stanach tak mało, że trudno za to przeżyć. Irena odkrywa w sobie niespodziewaną gospodarską zaradność: potrafi żyć oszczędnie, przerobić gazy ze szpitala na efektowne firany wykończone własnoręcznymi koronkami. Skupia się na rodzinie: gotuje polskie potrawy, bo tak jest taniej, jej dom jest przyjazny i okoliczne dzieciaki chętnie

odwiedzają polskich kolegów. Czasem całkiem spora gromadka zasiada przy jej stole, a Irena dzieli się tym, co ma. „Przecież nie ubędzie mi ziemniaków albo kurczaka – wzdycha w duchu. – Ich matki pracują…”

A ona wciąż nie. Mija dekada. Nie żałuje, to dobry czas dla dzieci i dla nich – czas, który Irena inwestuje w rodzinę. Ale nie przypuszczała, że aż tyle potrwa jej rozstanie z medycyną. Praca lekarki została daleko w Polsce, kariera Jerzego się rozwija, więc powrót wciąż nie wchodzi w grę. W dodatku wszystkie dzieci mają kłopoty ze wzrokiem: cierpią na silnego zeza i przez to niedowidzą. Doktor Sarosiek ze wzruszeniem wspomina swoją trójkę.

– Takie malutkie trzy grzybki w okularach… z zaklejonymi plastrem oczami, bo miały korekcję, grzywki krzywo przycięte, bo na fryzjera nie było pieniędzy i mąż strzygł je sam pod przysłowiowy garnek. Patrzyłam i płakałam, wyglądały strasznie… I sprawa z oczami była poważna.

Okazuje się, że Krzyś prawie nie widzi na jedno oko. Ma siedem lat, zbliża się do granicy, kiedy utrata wzroku będzie bezpowrotna, ponieważ uratowanie ośrodka widzenia jest możliwe tylko do ósmego roku życia. Potem, jeśli oko nie pracuje, nic już nie da się zrobić. Irena mobilizuje siły, szuka pomocy, zabiera Krzysia do okulisty.

– Na szczęście byliśmy bardzo biedni – mówi. Na szczęście, bo w tej sytuacji opieka służby zdrowia należy im się za darmo. Specjalista każe zakleić zdrowe oko i założyć grube okulary. Irena wyprowadza synka z gabinetu prawie niewidomego. – Prowadziłam go za rękę – wspomina. – Krzyś płakał i płakałam ja. Padał śnieg i świeciło słońce, ale on tego nie widział. Przez cały rok, kiedy wstawaliśmy rano, pierwsze, co robiliśmy, to zaklejaliśmy Krzysiowi zdrowe oko i dopiero można było zacząć dzień. I wyciągnęliśmy go z tego. Wzrok syna poprawił się do tego stopnia, że mógł w ogóle zdjąć okulary.

Z kolei córka Ola musi przejść operację oczu w specjalistycznej klinice w Wirginii. Irena pyta lekarza, czy córka zdejmie okulary po operacji. Lekarz nie należy do optymistów. „W mojej praktyce zdarzyło się to tylko raz”, mówi. „To nasz przypadek będzie drugi”, odpowiada Irena. I tak się dzieje – operacja kończy się sukcesem, a Ola, obecnie prawniczka, już nigdy nie włoży okularów. Rodzice innych pacjentów, widząc znaczącą poprawę, pytają, jakim cudem. Lekarz, sam zdumiony, odpowiada: „Idźcie zapytać jej matkę. To jej dzieło, nie moje…”.

Życie powoli się układa, mąż zarabia lepiej, dzieci rosną, pozostaje tęsknota za medycyną. Irena marzy, by wrócić do zawodu. I nadchodzi ten moment: dostaje propozycję pracy na uczelni od szefa męża, który mówi: „Irene, przyjdź do nas na internę, robimy fajne badania”. Pracuje tam wówczas legendarny Barry Marshall, lekarz z Australii, nagrodzony Noblem za odkrycie *Helicobacter pylori* – bakterii wywołującej wrzody żołądka.

– Jego osiągnięcie to była niesamowita historia – opowiada profesor Sarosiek. – Marshall przełamał wszystkie ustalone mity, że wrzody żołądka są domeną mężczyzn, że są związane ze zmianą pogody, że pojawiają się jesienią lub ze stresu… Od dawna było wiadomo, że jak jest wrzód, to jest bakteria, ale nikt tego nie mógł udowodnić. Akurat była Wielkanoc. Marshall pobrał próbkę od pacjenta, zrobił badanie, wstawił do inkubatora, a pracownicy nie wyjęli tego wcześniej, tylko po pięciu dniach, jak wrócili do pracy. Wyciągnęli, patrzą: rośnie. Co to jest? Większa grupa bakterii *Helicobacter*… Jak udowodnić, że istnieje korelacja między nią a wrzodami żołądka, a nie jest to jedynie coś typowego dla tylko tego pacjenta? Barry Marshall rozcieńczył te bakterie z laboratorium i połknął. Zwijał się z bólu, męczył się, ale endoskopia wykazała wrzody żołądka. To były lata osiemdziesiąte, należało jeszcze przeprowadzić wiele badań, ale

w dwa tysiące piątym roku dostał Nobla. Mąż mój współpracował z nim i wierzył w koncepcję Marshalla, w którą świat nie chciał uwierzyć. Mawiał do studentów: „Nie bójcie się kwestionować hipotez swoich profesorów”. Słusznie, teraz to badanie na obecność bakterii stosuje się na całym świecie.

Dla Ireny rok 1996 to dobry moment na powrót do pracy: dzieci wyrosły, ona już dobrze zna język, organizuje sobie i pracę, i dom. Dołącza do zespołu, spełnia się jej marzenie o powrocie do pracy. Nie powstrzymuje jej fakt, że wszystko zaczyna od nowa jako czterdziestodwulatka. Musi podwoić siły, żeby nadgonić stracony czas. Syn pyta, co tata na jej akademickie ambicje. Odpowiada, że on ma swoją działkę, a ona swoją. Jest uparta i wytrwała, pracuje bardzo dużo, od dwunastu do czternastu godzin na dobę, przechodzi przez wszystkie kolejne stopnie. I wciąż ma nowe wyzwania. Mąż mówi: „Jak ty to robisz? Ja bym dawno to rzucił przy tylu zadaniach. Powiedz im po prostu, że nie masz czasu”. W odpowiedzi słyszy: „Jurek, nie mogę. Coś ważnego dla nich i dla pacjentów zależy od tego, czy mam ten czas…”. Ma jednak wsparcie męża i to bardzo dużo znaczy.

– Kiedyś w piątek wracałam bardzo zmęczona, to chyba był dzień niepowodzeń. Wyszłam zmęczona z garażu, z pracą domową pod pachą. Mąż widział to, zapalił światło. Nic nie powiedział, tylko nastawił muzykę, naszą melodię, *Power of Love* Céline Dion. Zapytał: „Zatańczymy?”. Rzuciłam te swoje torby i zaczęliśmy tańczyć. Wszystko mi przeszło.

Jakie jeszcze cechu charakteru pozwoliły jej dojść do miejsca, w którym jest?

– Upór, siła woli, pracowitość, ambicja – odpowiada. – Zawsze miałam taki przykład i tak wychowałam swoje dzieci. Najstarszy syn Konrad jest chirurgiem w Nashville. Drugi, Krzyś, jest docentem na Harvardzie, zrobił doktorat z molekularnej genetycznej farmakologii. Od dziecka się uparł, że

chce zrozumieć i zbadać, dlaczego rekiny w przeciwieństwie do ludzi nie mają nowotworów. Ma taką wizję, że w ten sposób pomógłby wielu ludziom, nie pojedynczym pacjentom… Aleksandra jest prawnikiem, zajmuje się prawem autorskim.

Rozrzuceni po Stanach spotykają się przy okazji świąt – często w domu rodziców w El Paso.

El Paso

Obecnie profesorowie Irena i Jerzy Sarosiek mieszkają i pracują w El Paso w Teksasie. Kiedy przenosili się tutaj z Kansas, ktoś zapytał: „Nie obawia się pani tej przeprowadzki?”. Irena odpowiedziała z uśmiechem: „Proszę pana, kilkanaście lat temu w Polsce zabrałam do samolotu trójkę małych dzieci, trzy walizki dobytku i przyleciałam z Warszawy. Mam się obawiać przejazdu z jednego stanu do drugiego?”.

W Medical Sciences Center w El Paso decyduje się na konkretną specjalizację: choroby układu pokarmowego związane z cukrzycą. Pracuje nad rozrusznikami do żołądka, stymulatorami, nowatorskimi urządzeniami diagnostycznymi. Praca przynosi efekty. Profesor Irene Sarosiek staje się liderem badań naukowych, otrzymuje medale i nagrody, w tym Tinsleya Harrisona za najlepszą pracę opublikowaną w „American Journal of the Medical Sciences” w 2016 roku. Obecnie jest dyrektorem instytutu GI Motility Neurostimulation Research na uniwersytecie w El Paso.

Lubi pracować i dużo pracuje; szkoda jej czasu na inne sprawy, skoro może coś podgonić zawodowo. Często jeździ na uczelnię w weekendy, bo wie, że nikt nie będzie jej przeszkadzał i zrobi dużo więcej. Mają z mężem gabinety obok siebie, ale pracują nad odrębnymi zagadnieniami, a do pracy jeżdżą osobno, dwoma samochodami.

– Auto to jedyne miejsce, w którym się kłócimy – przyznaje pani Irena. – Mąż jeździ szybko, krytykuje mój styl jazdy, więc mamy dwa samochody i tak jest lepiej. Często, kiedy wieczorem wracam autem z kliniki, myślę za kierownicą o dniu, który minął. Mam taki własny test wartości dnia: ilu ludziom dziś pomogłam, podałam rękę, dałam nadzieję? Co zrobiłam takiego, co mogłabym uznać za ważne, czego nie zrobiłam wcześniej? Myślę sobie: o, ten pacjent przyszedł do naszej kliniki i już nie martwi się, że nic się nie da zrobić, bo dotychczasowe leki i sposoby leczenia nie przyniosły dobrych rezultatów. Nie, jest nadzieja, bo są nasze badania naukowe, nowe metody diagnostyczne, nowe operacje. To ważne, to są właściwie sukcesy.

Są też następne nagrody, wyniki badań, listy od pacjentów. Tę dokumentację sukcesów profesor Sarosiek trzyma w pudełkach po butach. Brzmi to jak żart albo dziwna metafora, ale tak jest.

– I uczę tego studentki – mówi ze śmiechem. – Trzeba gromadzić dowody swoich sukcesów, bo przychodzi moment, kiedy bardzo się przydają. Pudełka po butach nadają się do tego idealnie. Są takie fajne, duże, ładne. Kiedy dostaję grant, publikuję wyniki badań albo wygłaszałam wykład na jakiejś konferencji, drukuję i wstawiam sobie te informacje do odpowiedniego pudełka przeznaczonego na ten rok. Mam je ustawione na półce. I kiedy potem trzeba zaprezentować pracę danego roku czy dekady, wyciągam odpowiednie pudełka. Są w nich także kartki od pacjentów i podziękowania, biedronki, bo kiedyś lubiłam i zbierałam biedronki. Mój gabinet był czerwony od biedronek, które dostawałam od pacjentów. I te biedronki ze mną zostały, stały się moim symbolem życia. Czasem ktoś mi mówi: „Widziałem na ziemi biedronkę, omal na nią nie stanąłem, ale pomyślałem o tobie i przeniosłem ją na trawę”. Mówię na to: „Dziękuję bardzo!”.

Pudełek jest bardzo dużo, wypełniają je sukcesy. Profesor Irena Sarosiek wiele dokonała.

– Tak, ale nie sama – zastrzega. – Mam zespół ludzi, fantastycznych, w tym kobiety. I w zespole badawczym, i na uniwersytecie. Mam taką refleksję, którą dzielę się na wykładach: jak człowiek jest sam świecącą gwiazdą, to jest naprawdę bardzo słabo widoczny. Fajnie się świeci, kiedy jest dużo takich gwiazd na niebie, wtedy można dopiero zajaśnieć, zrobić wrażenie. Każdy powie: „Wow, jakie piękne niebo!”. Współpraca jest najważniejsza. Ja się zajmuję klinicznymi badaniami na pacjentach, a są też ludzie, którzy mają doktoraty z genetyki molekularnej. Warto to połączyć. Miałam taką sytuację: na jednej z konferencji była pani, która przyjechała z Harvardu, młoda lekarka, która kiedyś pracowała u nas na uniwersytecie. Opowiadała z dumą, jaką ma aparaturę i co może robić w swoim laboratorium, o czym ja nie miałam pojęcia. Więc po spotkaniu podeszłam do niej i mówię: „Ty masz bardzo dobrą aparaturę, a ja mam bardzo dobre materiały, bo mam pacjentów. Mam krew, komórki, próbki tkanek pobranych z żołądka. Połączmy to!”. Ludzie słuchający z boku zaczęli mi bić brawo. I tak się stało. Połączyłyśmy siły, napisałyśmy grant, dostałyśmy pieniądze i zrobiłyśmy dobre, bardzo potrzebne badania. Na tej zasadzie działa współpraca z kobietami.

Kobieta kobietom

Profesor Irena Sarosiek jest społecznicą. Bardzo aktywnie pracuje dla Polonii, mobilizuje do działań Polaków, działa też na rzecz kobiet, to temat bliski jej sercu. Bo kobiety w Ameryce, zwłaszcza te, które chcą się zająć pracą naukową, wcale nie mają łatwo. Krótki urlop macierzyński, żadnych ulg – często muszą wybierać: dzieci czy kariera? Irena namawia je do

wspierania się wzajemnie, do pracy zespołowej. To ważne, bo kobiety często potrafią podstawić sobie nogę, zamiast podać rękę. A przecież te gwiazdy najbardziej spektakularnie rozjaśniają niebo razem, nie w pojedynkę. Nie godzi się też na to, by odmawiać kobietom umiejętności w działalności naukowej. „Jeśli potraficie zmieniać pieluchy, nadajecie się do wspaniałej pracy! Kobiety, uwierzcie w siebie!” – mówi.

W El Paso mobilizuje kobiety i organizują sobie święto kobiet.

– Ponieważ w Stanach ósmy marca nie jest tak uroczyście obchodzony, my, Polki na emigracji, pewnego roku zorganizowałyśmy sobie Dzień Kobiet same – opowiada. – Doszłyśmy do wniosku, że to było fajne w kraju: dostawałyśmy przysłowiowego goździka, rajstopy. Poszłyśmy więc do restauracji i podarowałyśmy sobie prezenty. Było nas kilka. Rozmawiałyśmy o tym, jaka kobieta miała znaczenie w naszym życiu, zrobiła na nas największe wrażenie. To było piękne, bo każda znajdowała kobietę silną, wspaniałą, dobrą, ciepłą i pomocną w swoim życiorysie. Pomyślałyśmy, jak możemy powiedzieć kobietom w mieście, że też są ważne…

Następnego roku Dzień Kobiet organizują w klubie golfowym, bo jedna z pań jest członkinią klubu. Przychodzi ponad sto trzydzieści osób ciekawych, co się dzieje. Organizatorki zbierają fundusze na cel charytatywny: pomoc ciężarnym bezdomnym, które zostały odrzucone przez rodziny. Odnoszą sukces i od tej pory co roku 8 marca organizują prawdziwe święto na forum całego miasta. Duszą przedsięwzięcia jest profesor Irena Sarosiek, wybrana na Inspirational Woman of the Year. Na uroczystości wręczenia nagrody patrzy na swoją córkę, która siedzi wśród gości. Wie, że Ola jest w ciąży i urodzi dziewczynkę. Dedykuje swój laur wnuczce, która dopiero ma przyjść na świat.

– I urodziła się cudowna Natalka – mówi wzruszona. – Dwa dni po moich urodzinach, jest tak jak ja Lwem. Ja z czternastego, ona z szesnastego sierpnia. Czuję z nią silną więź. Natalka jest taka właśnie jak ja: przebojowa, uparta. Jak sobie z czymś nie radzi, to kombinuje, aż znajdzie drogę i osiągnie to.

Współpraca z mężczyznami też układa się pani profesor nieźle, ale zawsze podkreśla swoją kobiecość. Mówi z uśmiechem:

– Jest siedem ośrodków ze Stanów wybranych na prowadzenie badań nad gastroparezą żołądka. To rodzaj paraliżu żołądka spowodowanego cukrzycą. Zjeżdżamy się regularnie, a ja tam jestem jedyną kobietą. I mam taką babską słabość: zawsze przed zjazdem myślę, w czym ja byłam na tym ostatnim zebraniu, co włożyć, żeby się nie powtórzyć? Śmieszna historia, bo ci faceci oczywiście nie pamiętają mojej sukienki sprzed miesiąca, ale to jest ważne dla mnie.

Z tęsknoty do Polski

– Na uczelni w El Paso panuje różnorodność, pracują tam ludzie z wielu krajów – mówi profesor Sarosiek. – Nie ma znaczenia, kto skąd pochodzi. Jest ich bardzo dużo i wszyscy jesteśmy tak samo ważni. *Diversity* to wartość. Amerykanie są cudownie wyrozumiali pod względem akceptacji tej różnorodności. Mówimy *diversity*, kiedy każdy inny wnosi coś nowego. Różnice się bardzo ładnie ścierają i uzupełniają, i dokomponowują. Ktoś, kto przyjeżdża z Indii, może mieć doskonałe przygotowanie naukowe, bo oni kończą swoje szkoły po angielsku, a przy tym mają inne bardzo ciekawe cechy kulinarne i kulturowe. Ktoś, kto mówi z akcentem, wcale nie jest gorszy. A ja miałam z tym problem, bo wiele lat trapiło mnie przekonanie, że jak mówię z akcentem, to wydaję się głupsza.

Na oddziale interny w klinice profesor Sarosiek zrobiła mapę świata, powiesiła ją na ścianie i powtykała szpileczki w miejsca krajów, z których przybyli pracownicy. Powstała barwna mapa zatytułowana *International Internal Medicine*. Są z tego dumni.

Kiedy rektor, zorganizowawszy współpracę uczelni z Wietnamem, opowiada, jak to się rozwija, ona nagle doznaje olśnienia i mówi prosto z mostu: „A może pan rektor chciałby rozwinąć projekt na Europę Środkowo-Wschodnią? Choćby z Polską, z moją rodzimą uczelnią w Białymstoku!”. On na to: „A chcesz się tym zająć? Czemu nie, ale to trudne!”. Irena Sarosiek odpowiada: „Wiem, dlatego chcę to zrobić!”.

Jak coś mówi, to robi. Jest uparta. Przechodzi wszystkie komisje aprobujące projekt, wreszcie dzwoni do rektora Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Słyszy: „Pani profesor, właśnie miałem dzwonić do pani z prośbą o wykład inauguracyjny u nas…”.

Czyli kosmos jej sprzyja. I w ten sposób profesor Irena Sarosiek odwiedza Białystok w październiku 2019 roku, dokładnie czterdzieści lat po tym, jak uzyskała dyplom. Wykład inauguracyjny dotyczy kobiet w amerykańskiej nauce. Prelegentka wspiera młode lekarki: „Mężczyźni czasem są nam bardziej pomocni niż my, kobiety, same sobie. Dziewczyny, nie dajcie się. Mężczyźni mają łokcie, ale my mamy biodra! Każdy atut trzeba wykorzystać. Pytam wnuczkę, która czyta bajkę *Sam and Sara*, czemu wszędzie Sam jest wymieniany jako pierwszy. Czy jest starszy, czy jest jej opiekunem, co robi takiego, że nie może być *Sara and Sam*? Ania mówi: «Nie wiem, babciu, ale będę o tym myślała». Ja na to: «*Thank you!* Na pewno wymyślisz»”.

Studentki po wykładzie otaczają ją kręgiem i chcą rozmawiać, dopytują, dziękują. Pada piękne zdanie: „Pani profesor, od tego wykładu będziemy inaczej myśleć”.

Profesor Irena Sarosiek twierdzi, że za parę lat przekaże studentkom pałeczkę: odda wyniki nowych badań i zostawi je same… Ale chyba nieprędko to nastąpi, bo ma własny test aktywności zawodowej: „Dopóki maluję rzęsy i noszę szpilki, dopóty będę pracować”.

Rozdział 9

Barbara Darewicz

„Chirurgia daje tę satysfakcję, że człowiek, który potrzebuje pomocy, szybko ją otrzymuje. To takie spektakularne działanie, nie czeka się miesiącami czy tygodniami na skutki działania leków, poprawa jest szybka i widoczna. (…) I to mi się bardzo podoba”.

Barbara Darewicz, jedyna w Polsce kobieta chirurg urolog z tytułem profesora, studiowała na Akademii Medycznej w Białymstoku (obecnie Uniwersytet Medyczny), tutaj podjęła pracę w klinice uniwersyteckiej i zdobywała kolejne stopnie naukowe. Oprócz urologii uzyskała specjalizację z seksuologii. Przez lata brała udział w pionierskich dokonaniach białostockich lekarzy w zakresie chirurgii urologicznej. Połączenie pracy naukowej z medycyną zabiegową nie jest łatwe. A dla kobiety, która godzi szpital i dom – jeszcze trudniejsze.

Kobieta w męskim świecie

Profesor Barbara Darewicz jest urologiem chirurgiem z długoletnim stażem i dokonaniami w nauce. Jako pierwsza spośród lekarek w Polsce rozbiła ten szklany sufit, ale przyznaje, że kobietom w specjalizacjach zabiegowych

nie jest łatwo. O tym właśnie, a także o urologii i niespodziankach, jakie niesie życie, rozmawiamy w domu państwa Darewiczów w Białymstoku. Dom i ogród ukryte za romantycznym murkiem sprawiają, że człowiek nie czuje tutaj oddechu miasta. Oczko wodne, altana, pies, kwiaty i zieleń, na świecie upał: 30 stopni Celsjusza. Pani domu wita mnie oparta o chodzik rehabilitacyjny, co mnie dziwi, bo wiem, że dużo pracuje i jest czynna zawodowo. I tak jest, mimo przebytej operacji, rehabilitacji i trudności w poruszaniu się. Wypadek? Niezupełnie.

Cztery lata temu poddała się operacji kręgosłupa. Wszystko miało być szybko i dobrze. „Za dwa tygodnie znów staniesz za stołem operacyjnym”, powiedział chirurg, zresztą kolega. Czasem jednak coś idzie nie tak. Barbara Darewicz po przebudzeniu się z narkozy usłyszała zupełnie inne wieści, złe: uszkodzone korzenie nerwowe. Wisiała nad nią groźba, że do końca życia pozostanie na wózku. A jednak ma waleczną naturę, podjęła wyzwanie. Leczenie, rehabilitacja. W tej chwili, a rozmawiamy w czerwcu 2020 roku, porusza się o kulach i z pomocą chodzika, ale samodzielnie. I najważniejsze: wróciła do pracy. Operować nie może, ale prowadzi zajęcia ze studentami, pracuje na oddziale kliniki, także w swoim gabinecie. Wciąż może być czynna zawodowo i pomagać pacjentom.

– Jest co robić – mówi. – Pacjentów jest teraz trochę mniej przez epidemię, ale nadal dużo. Rano jadę do kliniki, potem robię sobie przerwę i na czternastą jadę do gabinetu. Wczoraj wróciłam do domu po osiemnastej. Mnóstwo ludzi potrzebuje porady urologa, ma problemy związane z układem moczowym lub płciowym. W wielu przypadkach można pomóc lekami, ale brakuje mi bardzo pracy przy stole operacyjnym. Niestety, pewnych rzeczy z moją niepełnosprawnością już się nie da robić.

To silna kobieta, ale łza w jej oku błyska. Pytam, czy jest nadzieja na pełną sprawność.

– Może coś wymyślą. – Profesor Darewicz się uśmiecha, łza znika. Jest silna, to prawda, ale też wrażliwa. Tęskni za stołem operacyjnym. – Chirurgia w urologii była moim życiem, pasją. Ale ojciec, sam chirurg, odradzał mi ten wybór specjalizacji. Uważał, że kobieta może być okulistką albo diagnostą ambulatoryjnym, ewentualnie odnajdzie się w małej zabiegówce, ale na pewno nie powinna brać się za duże operacje. Ta praca wiąże się przecież z ostrymi dyżurami, zabiegi często odbywają się w nocy i są wielogodzinne, do rana stoi się za stołem operacyjnym. Wyrostki przywożone na chirurgię, urazy, ostre cholecysty to tylko niektóre zabiegi, które nie mogą czekać. Podobnie koledzy chirurdzy naczyniowi, jeśli mają robić przeszczep i czekają na organ, nie mogą sobie wybrać, kiedy to robić, rano czy w południe. Staje się do stołu operacyjnego natychmiast, kiedy jest organ od dawcy. Bywa, że czekają na transport całą noc i operują o świcie, gdy tylko dotrze do szpitala. Wiele lat dyżurowałam na urologii, gdzie zdarzają się ostre przypadki: zatrzymania moczu czy kolki nerkowe. I też trzeba wtedy stać w nocy przy stole. Na oddziale w normalnym trybie jest spokojniej, większość zabiegów mamy planowych.

Profesor Darewicz jest energiczną osobą, lubi działać skutecznie i to też wpłynęło na wybór specjalizacji.

– Owszem – przyznaje – chirurgia daje tę satysfakcję, że jak człowiek potrzebuje pomocy, to ją szybko otrzymuje. To takie spektakularne działanie, nie czeka się miesiącami czy tygodniami na skutki działania leków, poprawa jest szybka i widoczna. Interna kojarzyła mi się zawsze z tabletkami, z długim czekaniem na odpowiedź. Każda inna specjalizacja podobnie, a chirurgia jest taka natychmiastowa: człowiek przychodzi chory, wychodzi zdrowy. Oczywiście niestety nie zawsze, ale najczęściej. I to mi się bardzo podoba.

Może też odezwała się przekora, bo skoro wszyscy, począwszy od ojca pani Barbary, mówili, że chirurgia jest nie dla kobiet…

– Bo to obiektywnie nie jest łatwe – tłumaczy profesor Darewicz. – Kobiety były izolowane ze specjalizacji zabiegowych również ze względu na dzieci, na rodzinę. Trudno pogodzić macierzyństwo z dyżurami, ciąża i dziecko powodują, że wypada się na dłuższy czas z pracy. Dziećmi w moich czasach z reguły zajmowały się kobiety, w lekarskich rodzinach nie inaczej. A szefowie oddziałów raczej chcą mieć dyspozycyjnych pracowników. Pracy zawsze było dużo, specjalistów mało. Bywało, że latem braliśmy po piętnaście dyżurów w miesiącu, pracowało się w sobotę. Gdzie czas na wychowywanie dzieci?

Śladem ojca chirurga

Wybór studiów podyktowała tradycja rodzinna.

– Tata, Henryk Karasewicz, był chirurgiem – opowiada pani Barbara. – Dużo pracował: szpital, dyżury, a dla odreagowania: polowania i ukochana Biebrza. Dom i dzieci, czyli mnie i brata, wszystkie domowe obowiązki ogarniała mama, niewiele jej pomagał. Tata po studiach dostał nakaz pracy w Ełku, tam miał szefa, który przeniósł się do Koszalina. Chciał ojca zabrać i napisał do niego w tej sprawie, ale jak głosi rodzinna legenda, mama nie pokazała ojcu listu, bo nie zamierzała wyjeżdżać, chciała być bliżej rodziny. Akurat otwierał się szpital w Dąbrowie Białostockiej. Ojciec dostał tam pracę i tam zamieszkali. Wychowywaliśmy się z bratem w Dąbrowie, tylko w drugiej klasie podstawówki miałam taki epizod, że ze względu na poziom edukacji rodzice przenieśli mnie do Białegostoku. Przez rok mieszkałam u babci i tu chodziłam do szkoły. To jednak była zbyt duża rozłąka, mocno to przeżyłam. Uciekałam od babci do ciotki, więc ten jeden rok

wytrzymaliśmy i więcej takich prób nie było. Liceum ukończyłam w Dąbrowie Białostockiej.

Przez chwilę maturzystka z roku 1974 myśli jednak o AWF-ie, bo na te studia może się dostać bez egzaminu. Lubi sport, ma pewne osiągnięcia.

– Na szczęście rodzice przywołali mnie do porządku i zdałam na medycynę w Białymstoku. – Profesor Darewicz się uśmiecha. – Studiowałam w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt cztery–siedemdziesiąt dziewięć, a do pracy poszłam w osiemdziesiątym, bo rok czekałam na etat. Jeszcze staż, przerwa była krótka, i sześć lat specjalizacji. Na medycynie trzeba przebyć naprawdę długą drogę, zanim jest się w pełni gotowym do zawodu.

Jak trafia na urologię? Po studiach świeżo upieczona młoda lekarka Barbara Karasewicz chce podjąć pracę na chirurgii ogólnej. Niestety nie ma tu etatu dla kobiety, proponują jej chirurgię dziecięcą. Nie jest przekonana, uważa, że rozpiętość wiekowa pacjentów jest zbyt duża, od noworodka do osiemnastolatka. Poza tym w tych czasach inaczej niż obecnie przebiega proces zdobywania specjalizacji: jest dwustopniowa, wiąże się z etatem – po uzyskaniu trzeba popracować kilka lat na oddziale. Barbara nie bardzo siebie tam widzi. Kiedy zastanawia się nad tą chirurgią dziecięcą, okazuje się, że jest wolny etat na urologii.

– Nie zdecydowałam się więc na chirurgię dziecięcą, lecz na ten etat. Przyjęto mnie i najpierw byłam zatrudniona w szpitalu, dopiero potem na etacie akademickim.

Kobieta zmienia obyczaje

Urologia w tych czasach to bardzo zabiegowa specjalizacja, dużo bardziej inwazyjna niż teraz, dlatego konieczna jest specjalizacja z chirurgii.

Koledzy – zespół zdecydowanie męski – wcale nie pragną wśród siebie przedstawicielki płci pięknej. Ale profesor Musierowicz przyjął do pracy młodą doktor Karasewicz i tak zostaje jedyną kobietą w zespole.

– Jak już lepiej się poznaliśmy, to kolega opowiedział mi, jak bardzo mnie nie chcieli na tej urologii – opowiada pani profesor ze śmiechem. – „Wszyscy po kolei chodziliśmy do szefa z prośbą, żeby cię nie przyjmował". Urządzali te wędrówki, bo nie chcieli baby w zespole. Nie wiadomo, jak się będzie zachowywała, jak się zachowywać przy niej. Czy ma mieć jakieś ulgi, bo kobieta? Okazało się, że nie jest tak źle.

Młoda lekarka musi jednak włożyć w pracę wiele wysiłku.

– Pamiętam doskonale nieprzespane noce, kiedy robiłam specjalizację – wspomina. – Miałam dyżury, potem rano normalnie szło się do pracy. I jako najmłodsza i jedyna kobieta w zespole męskim musiałam opisywać wszystkie przypadki. Potem, już do mnie, na chirurgię przyszły dwie kobiety do pracy, mieliśmy też panią anestezjolog, to już było nas więcej. Na chirurgii urologii pracowałyśmy tak samo jak koledzy, bez taryfy ulgowej: badanie pacjentów, zabiegi, poradnia, dyżury nocą, nieważne, czy mamy małe dzieci, obowiązki w domu czy nie.

Niemniej prawdą jest, że kobiety łagodzą obyczaje. W lekarskim zespole chirurgów również. Profesor Darewicz to potwierdza:

– Kiedy przyszłam do pracy, koledzy nie przebierali w słownictwie, ale przy mnie, jako że nie byli już w swoim męskim gronie, zaczęli się hamować. Pewnie także dlatego, że ja nigdy nie lubiłam i nie używałam wulgaryzmów. Wiele osób wyobraża sobie kobietę chirurga jako herod-babę, która potrafi rzucić mocnym słowem, ale to nie ja. Powoli zmieniało się wszystko na plus. Okazało się, że pracuję tak samo i potem już pilnowali się, liczyli się z tym, co mówią. Ale muszę zaznaczyć, że jako fachowca traktowano mnie na równi ze wszystkimi członkami zespołu.

Nigdy nie miałam problemów z tym, żeby dojść do stołu operacyjnego. To, o czym słychać, że nie dopuszcza się młodszych czy kobiet do zabiegów, nigdy mnie nie dotyczyło. Dobrze trafiłam, bo bywa różnie. Ja na tej urologii miałam szczęście: nie było rywalizacji, chamstwa, wyścigu szczurów, podkopywania. Tam naprawdę była fajna atmosfera. Jeżeli ktoś chciał pracować, mógł pracować.

W pracy poznaje męża, Janusza Darewicza, specjalistę w zakresie urologii, który jest w tym czasie kierownikiem Kliniki Urologii na Akademii Medycznej. Wychodzi za mąż za szefa i przez to jest jeszcze trudniej.

– Pracowałam z mężem i to mi wcale nie pomagało – stwierdza. – Raczej musiałam więcej od siebie wymagać, bo inaczej byłam postrzegana. To było trudne, bo zawsze starałam się dużo pracować, chciałam być fair wobec kolegów, a i tak chodziły plotki, że jestem faworyzowana. Plotkowano oczywiście, że żona szefa ma przywileje, że ktoś mi pomógł, że coś mi dano. Kiedyś nawet mój kolega urolog odwiedził mnie w pracy i mówi: „Słyszałem, że wszystko podali ci na tacy. Musiałem przyjechać zobaczyć, jak pracujesz. I widzę doskonale, że to nieprawda”. W chirurgii, w zabiegówce, nie pomogą znajomości: albo się to coś ma, albo się tego nie czuje. Wielu rzeczy można się nauczyć, ale do operacji trzeba mieć smykałkę.

Jak zostaje się jedyną w kraju kobietą profesorem chirurgiem urologii?

– Musiałam to zrobić dwustopniowo. Teraz urolodzy mają staże na chirurgii, ja musiałam zdać egzamin z chirurgii pierwszego stopnia i dwójkę z urologii.

Do tego jeszcze decyduje się na specjalizację z seksuologii.

– Mąż mnie namówił, dlatego że urologia bardzo często spotyka się z zagadnieniami z seksuologii. Schorzenia męskich narządów płciowych,

zaburzenia erekcji… Zajmowaliśmy się tym jako pierwsza klinika w Polsce. Mąż mój to zapoczątkował, gdzieś w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym. Współpracowałam z nim, więc chciałam mieć uprawnienia. Poprosił: „Zrób tę seksuologię”. Zrobiłam, ale też nie było to proste, musiałam dostać specjalną zgodę ministra, bo u nas można robić seksuologię po ginekologii i psychiatrii, neurologii, pediatrii, a po urologii nie wiedzieć czemu nie. Dostałam tę zgodę.

W 1988 roku przyszło macierzyństwo – 9 czerwca rodzi się syn Maciej. Zabawne, bo ta data staje się rodzinną datą urodzin dzieci – dwoje dzieci bratanicy też przychodzi na świat 9 czerwca. Czerwiec to dobry czas na poród – potem jest lato, urlopy. Ale mijają miesiące, dziecko wciąż małe, a tymczasem pojawia się tęsknota za powrotem do pracy.

– Oj, działo się – wspomina profesor Darewicz. – Karmienie dziecka, spacery, pranie, gotowanie, wychowanie, sprzątanie, a to wszystko nie do końca moja bajka. Wreszcie mąż powiedział: „Wracaj do pracy, bo jesteś nie do wytrzymania”. Może nie jestem stuprocentową matką Polką, ale umiałam wszystko sobie zorganizować. Wykorzystałam urlop macierzyński i wypoczynkowy i po pół roku wróciłam do kliniki. Znalazłam nianię; cała moja pensja poszła na to, płaciłam za nią uczciwie ZUS. No i niania była z dzieckiem do piętnastej, a potem ja. Dopóki Maciek był mały, nie brałam dyżurów, dopiero kiedy zaczęło się przedszkole. Mąż jest mężczyzną starej daty, więc dom i wszystkie kobiece sprawy były na mojej głowie. A ja zawsze wolałam zarobić na pomoc w domu, a sama operować w szpitalu i przyjmować pacjentów. Habilitację pisałam nocami, po godzinie dwudziestej drugiej, kiedy moi mężczyźni spali i panowała cisza. W tym domu mieszkamy ponad dwadzieścia lat, budowaliśmy go w latach dziewięćdziesiątych i oczywiście budowa też była na mojej głowie.

Mimo to godzi wszystkie sfery życia, zdobywa kolejne stopnie naukowej kariery: habilitację, profesurę belwederską i kiedy w 2001 roku mąż odchodzi na emeryturę, to ona przejmuje po nim kierownictwo kliniki i jest na tym stanowisku do dzisiaj.

– Co mi pomogło? – zastanawia się. – Upór, parcie do wiedzy, nie do tytułów i zaszczytów, bo dla mnie zawsze najważniejszy był pacjent. Najbardziej interesowali mnie chorzy i ich problemy, chciałam im pomóc, a młodym lekarzom mówiłam: „Tak traktujcie pacjentów, jak sami byście chcieli być traktowani albo jakby to była wasza rodzina”. Myślę, że po prostu wykorzystałam dane mi szanse. Trochę było w tym moim życiu zawodowym zbiegów okoliczności: że trafiłam na oddział kliniczny, że akurat był etat, że potem nie miałam kłopotu ze zrobieniem doktoratu i kontynuacją kariery naukowej. Po kolei przyszły specjalizacje, habilitacja, profesura. Przy specjalizacjach zabiegowych trudniej jest prowadzić pracę naukową, bo my na co dzień nie zajmujemy się badaniami, nie siedzimy w laboratorium, tylko zajmujemy się pacjentem i w dużej mierze w kwestiach naukowych musimy współpracować z innymi zakładami.

Wysiłek fizyczny?

– Zawsze byłam silna fizycznie. Bywało, że przy stole koledzy byli spoceni, ja nie. Zawsze byłam aktywna, bawiłam się różnymi dyscyplinami w sporcie, trochę lekkoatletyki, na studiach pływałam, a do tego nieszczęsnego zabiegu co roku starałam się być na nartach tydzień. To też z pewnością sprzyjało kondycji.

Stres przy operacjach?

– Wydaje mi się, że byłam bardzo opanowaną osobą. Przy zabiegach na dużych naczyniach potrzebne jest opanowanie, na przykład kiedy wyjmuje się nerkę. Nawet gdy występowało krwawienie i trzeba było się spieszyć, to potrafiłam być opanowana, stres mnie mobilizował, skupienie

przychodziło. Zresztą zabiegi duże czy małe potrzebują skupienia. Kiedyś wyjęłam taką dużą zmianę w okolicy nerki: przypadek, który koledzy odsyłali i nie bardzo chcieli się podjąć operacji. Udał mi się i miałam naprawdę wielką satysfakcję. Ale tak dużo było tych różnych zabiegów: stulejki, torbiele i podobne historie. Robiłam je na porządku dziennym jak moi koledzy urolodzy. Chleb powszedni.

Takie rzeczy to tylko w Białymstoku

Klinika białostocka szczyci się nowatorskimi dokonaniami w urologii na skalę kraju, a nawet Europy. Stoi za nimi zespół, w którym przez lata pracowała profesor Darewicz. Wiele dokonała też jako pionierka edukacji seksualnej, organizując interdyscyplinarne konferencje.

– W klinice w Białymstoku robiliśmy rzeczy, których nikt przed nami nie robił – mówi. – Na przykład rekonstrukcję nasieniowodów, odtworzenie ich ciągłości zniszczonej przez antykoncepcję męską. W Polsce taka antykoncepcja jest karalna, lecz nasz pacjent przyjechał z Brukseli, miał tam wykonane zamknięcie nasieniowodów. Związał się z nową partnerką, pragnęli mieć dziecko drogą naturalną. Operowałam go w ramach leczenia niepłodności. Pamiętam, że płacił szpitalowi jakieś śmiesznie małe pieniądze, sam się śmiał z tej stawki. Po dziewięciu miesiącach, kiedy urodziło się dziecko, przysłał mi kartkę z podziękowaniem. I to była duża satysfakcja. Pamiętam to dobrze, bo z reguły pacjenci z problemami tego typu wolą się odciąć, zamknąć temat i nie wspominać procesu leczenia. Ja to rozumiem, to często dolegliwości wstydliwe, różne skrzywienia, nieprawidłowości członka, to problemy związane z najbardziej intymnymi częściami ciała. Przecież tutaj, w Białymstoku, leczyliśmy z powodzeniem pierwsze złamania prącia. To naturalne, że pacjent, który ma coś takiego za

sobą, chce jak najszybciej zapomnieć i żyć normalnie. I dobrze, pracuje się bez oczekiwania na wdzięczność. Ale zdarzają się pacjenci, którzy przez wiele lat po zabiegu dzwonią z podziękowaniami i życzeniami na święta, pamiętają, czasem przynoszą kwiaty. To jest bardzo miłe i daje satysfakcję. Mamy tu, w Białymstoku, taki można powiedzieć monopol na leczenie niektórych chorób. Jest na przykład takie schorzenie występujące w starszym wieku: zwłóknienie osłonki białawej. Leczymy to operacyjnie, mamy w tym największe doświadczenie w Polsce. Ja już nie staję do stołu, oddałam pałeczkę kolegom i zajmuję się diagnostyką, ale wcześniej bardzo często to operowałam. Mam także niemałe doświadczenie w leczeniu skrzywienia prącia utrudniającego odbycie stosunków seksualnych. Robi się to w Polsce u nas w Białymstoku i w Gdańsku u profesora Krajki. Koledzy przysyłają nam tu takie przypadki z całego kraju. Mamy tu takie swoiste „zagłębie", jeśli chodzi o ten zabieg. Zresztą wcale nie jest taki trudny. To kwestia wprawy, trzeba wiedzieć, gdzie naciąć, ile naciąć, bo od tego zależy wynik tego zabiegu. Byliśmy także w naszej klinice pionierami leczenia impotencji. Do momentu wejścia viagry, słynnej niebieskiej tabletki, wykonywaliśmy zabiegi naczyniowe, robiliśmy arteriolizację żyły grzbietowej prącia, wszczepiało się dodatkowy dopływ krwi, aby podczas podniecenia dochodziło do wzwodu. Nigdzie się tego nie robiło, tylko u nas. Zdarzyły nam się dwa czy trzy przypadki przyszycia odciętego członka. Na jednego pacjenta czekaliśmy do trzeciej nad ranem, bo był jakiś problem z transportem organu. To była akcja prawie ogólnopolska. Powodzenie w takim przypadku zależy od wielu czynników: kiedy i gdzie to się stało, jak to pacjent zrobił, w jakich warunkach, jak przechowano narząd. Nie mówi się o tym głośno, ale większość pacjentów, którzy dokonują takiego samookaleczenia, zmaga się z problemami psychiatrycznymi. Robią to sobie ludzie z silnymi zaburzeniami,

psychopaci, osoby, które ulegają nagłym wizjom. Bywa to akt desperacji, gdy coś nie układa się w związku. Kiedyś, gdy zaczynałam pracę i kolega był na dyżurze, wołał mnie, bo przywieziono pacjenta, któremu partnerka obcięła członek. Pamiętam dobrze ten przypadek, bo narząd był nie do końca odcięty. To jest duże krwawienie, kolega musiał dokonać amputacji, trzeba było zabezpieczyć ciała jamiste, założyć szwy, ratować życie pacjenta. Co spowodowało taki akt agresji, może obrony? Nie wiemy. Z pewnością jednak na jakimś wcześniejszym etapie zabrakło pomocy psychiatry czy psychologa.

Edukacja seksualna

Białostoccy specjaliści mają także niemały udział w tym, że problemy związane z seksualnością czy dolegliwości urologiczne, nieraz zresztą powiązane ze sobą, przestają być tak wstydliwe i ukrywane. Coraz więcej ludzi rozumie, że to się leczy i nie warto się zadręczać w ukryciu.

– W mentalności pacjentów wiele się zmieniło – potwierdza profesor Darewicz. – Są bardziej świadomi. Prasa, internet, rozwój seksuologii sprawia, że do gabinetu przychodzą już oczytani, wiedzą, że można coś zrobić z ich kłopotami, szukają pomocy. Przychodzą do mnie pary i otwarcie mówią o swoich problemach. Mówię czasem, że jestem ostatnią deską ratunku w tych sprawach. Jak już zawiodą rady z internetu, jak wszystkich obejdą, lekarzy we własnych ośrodkach i Warszawę, to trafiają do mnie. Przyjeżdżają z całej Polski. I nie dziwię się, bo wciąż często spotykają się z lekceważeniem problemu. Niedawno miałam pacjenta z problemami seksuologicznymi, który mówi, że przychodzi do mnie, bo poprzedni lekarz mu powiedział: „Niech pan w PESEL zajrzy, to pan będzie wiedział, gdzie przyczyna. Czego chcieć w tym wieku?”. Niestety zdarzają

się i takie sytuacje. Często mężczyźni przychodzą z polecenia, bo odczuwają jednak tę barierę kobieta–mężczyzna. Potem, kiedy mija pierwsza wizyta i nieśmiałość, to przysyłają mi kolegów… W mojej specjalizacji pacjentami są w większości mężczyźni. Oczywiście, że istnieje bariera mówienia o swoich problemach, zwłaszcza do kobiety, więc trzeba wziąć na siebie rozpoczęcie rozmowy. Bardzo wiele zależy od podejścia lekarza, ważna jest osobowość. Potrzeba delikatności i umiejętności pociągnięcia za język, w ogóle mówienia o tych sprawach. Istnieje wprawdzie język medyczny, ale nie wszyscy go rozumieją, w potocznym często brak odpowiednich określeń. Samo badanie urologiczne, kiedy mężczyzna musi zdjąć spodnie, badanie narządów płciowych lub *per rectum* bywa dla pacjenta trudne, niekomfortowe, ale to też jest kwestia podejścia. Młodzi chłopcy częściej się wstydzą, kiedy mają jakiś problem, i długo się z nim mierzą, zanim się zgłoszą do specjalisty, bo trzeba pokonać tę barierę wstydu. Dlatego wielka szkoda, że nie mamy edukacji seksualnej w szkołach, zwłaszcza że rodzice nie umieją o tym rozmawiać, często też nie chcą. Rolę edukatora odgrywa internet, a to nie zawsze profesjonalny specjalista.

Profesor Darewicz sama zaangażowała się w edukację dotyczącą zaburzeń seksualnych i męskich problemów. Jeździła z wykładami, w 2002 roku zorganizowała pierwszą konferencję medyczną na temat zaburzeń seksualnych, bo uważa, że również lekarzom potrzebna jest interdyscyplinarna edukacja skierowana do wielu specjalizacji. Do czasu pandemii rokrocznie odbywały się takie konferencje w Białowieży, dokąd zjeżdżali się wykładowcy, endokrynolodzy, ginekolodzy, seksuolodzy i urolodzy z całej Polski.

Urologia w rozwoju

– Co się zmieniło w urologii na przestrzeni ostatnich lat? Weszły mało inwazyjne zabiegi, które dają dostęp do zmienionych chorobowo miejsc – tłumaczy profesor Darewicz. – Z niewielkich otworów wchodzi się do jam ciała i można wykonać zabieg. Duże znaczenie w chirurgii urologicznej odgrywa teraz robotyka, w Polsce wciąż mało wykorzystywana, bo brak sprzętu, pieniędzy na roboty, które na świecie stosowane są powszechnie. Ważna jest wczesna diagnostyka, bo radiologia jest obecnie na bardzo wysokim poziomie i szybsza niż niegdyś, nie trzeba czekać tak długo na przykład na wyniki rezonansu. Problemy są raczej z dostępnością do diagnostyki, bo do bezpłatnych zabiegów są kolejki, więc część pacjentów czeka, część idzie prywatnie. Brakuje specjalistów, pediatrów, anestezjologów. Urologów może mniej, bo nie ma aż tak dużego zapotrzebowania wśród pacjentów, ale już chirurgów urologów tak, bo część kolegów z urologii nie chce się wiązać z chirurgią. Zresztą do tego naprawdę trzeba mieć dryg. Widziałam już w swojej karierze lekarzy, którzy zamarzyli sobie być zabiegowcami, zrobili specjalizację, a potem nikt im nie chciał asystować, bo partaczyli robotę. Natomiast świetnie odnaleźliby się w innych specjalizacjach. Dlatego tak ważny jest ten wybór. Wiele się też zmieniło w zakresie badań, na przykład cystografię robi się inaczej niż przed laty, bo jest nowoczesny sprzęt, miniaturyzacja, są zupełnie inne cewniki, narzędzia są malutkie, wprowadzenie cewnika do moczowodu nie jest już trudne i bolesne. Zacewnikowanie dziewczynki krótkim cewnikiem nie jest problemem, ale u chłopca to już trzeba mieć wprawę i umiejętności, bo można pacjentowi uszkodzić cewkę i zafundować kalectwo do końca życia. Dlatego pielęgniarki mogą cewnikować kobiety, ale mężczyzn już tylko lekarze. Zabiegi wykonuje się pod kontrolą kamery, można wszystko studentom pokazać na ekranie, są

specjalne endokamery. Endoskopia? Na przykład nakłucie nerki pozostało takie samo jak było, trzeba nakłuć, wytworzyć kanał, żeby wprowadzić endokamerę, ale powstały renoskopy giętkie, takie cieniutkie narzędzia, które można wprowadzić od strony cewki i laserem rozbić kamień w nerce, z tym że to bardzo drogi sprzęt. Możliwości leczenia na poziomie światowym mamy, tylko narzędzi brak. A jak nie ma narzędzi, to i ludzi się nie szkoli tylu, ilu potrzeba, bo trudno uczyć na sprzęcie za milion złotych. Nikt nie da studentowi do ręki takiego renoskopu, bo w razie uszkodzenia drugiego w szafie nie ma…

Życie lubi zaskakiwać

Profesor Darewicz ma urodziny 4 grudnia. Przyniosła sobie imię.

– Miałam być Ewą, ale że przyszłam na świat w Barbórkę, to zostałam Basią – mówi. – Od dawna wychodzę z założenia, że w życiu pewnych rzeczy się nie przeskoczy, i do takich należy mój nieudany zabieg. To wyglądało naprawdę niegroźnie: bóle kręgosłupa skłoniły mnie, żeby się zbadać, zwłaszcza że kuzynka zachorowała na szpiczaka. Rezonans i okazało się, że to guz międzykręgowy bezobjawowy. Miał być usunięty i już, ale się nie udało. Kiedy leżałam w łóżku i dręczyła mnie wizja wózka, to był trudny moment w życiu. Teraz chodzę po schodach, a do pracy wożą mnie koledzy. Pacjenci mnie jeszcze potrzebują, syn też, a na świecie pojawiła się wnuczka. Niepełnosprawność to duże utrudnienie, nie powiem, ale skoro mogę przy tym pracować, to już jest dobrze. Ja prawie nie byłam na zwolnieniu przez całe swoje życie zawodowe; wszystkiego chyba dwa razy. Zawsze byłam w pracy, żadnej tam temperatury, przeziębienia, nadciśnienia, nic takiego. Lubiłam rano wstawać, wypić w domu kawkę przy muzyce, a potem do roboty. Jestem zadowolona ze swojego życia:

wiele widziałam, zwiedzałam, jeździłam na nartach. Syn Maciej też został lekarzem, rodzinna tradycja została podtrzymana.

Źródła

Binding Karl, Hoche Alfred E., *Die Freigabe der Vernichtung lebensunwerten Lebens. Ihr Maß und ihre Form* [Wydanie zniszczeniu istot niewartych życia], Verlag Felix Meiner, Lipsk 1922.

Chudzik Katarzyna, *#HerStoria: Justyna Budzińska-Tylicka. Sto lat temu to ona walczyła o kobiety*, https://kobieta.wp.pl/herstoria-justyna-budzinska-tylicka-sto-lat-temu-to-ona-walczyla-o-kobiety-6270145505282177a.

Droga Katarzyna, *Doktor Irka. Wojna, miłość i medycyna,* Znak literanova, Kraków 2020.

Grassman Magdalena, *Niewielki domek, wielka idea,* „Medyk Białostocki" 2016, nr 8 (146), s. 13, https://www.umb.edu.pl/aktualnosci(6)/niewielki_domek,_wielka_idea.

Henry Natacha, *Uczone siostry*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2016.

Historia Powstania Akademii Medycznej w Białymstoku. Uniwersytet Medyczny w Białymstoku 2012.

Janicka Iwona, *Medycynierki, medyczki, lekarki – dyskryminacja naukowa i zawodowa kobiet-lekarek w wybranych państwach europejskich oraz*

USA w XIX wieku, „Studia Historica Gedanensia”, 2013, t. 4, s. 69–91.

Janicki Kamil, *Anna Tomaszewicz-Dobrska. Pierwsza polska lekarka była ofiarą szykan i niewybrednych ataków*, https://wielkahistoria.pl/anna-tomaszewicz-dobrska-pierwsza-polska-lekarka-byla-ofiara-szykan-i-niewybrednych-atakow/.

Kaczkowska Barbara, *Magdalena Bendzisławska – pierwsza polska uznana lekarka*, „Galicyjska Gazeta Lekarska”, nr 2, 2018, https://ggl.com.pl/450-2/.

Krajewska z Kosmowskich Teodora, *Pamiętnik*, KAW, Warszawa 1989.

Kulikowski Jerzy, *Medycynierka*, „Pomocnik historyczny”, dodatek do „Polityki”, 2009, nr 34.

Lis Tomasz Jacek, *Teodora Krajewska. Bośniacka doktor Quinn*, www.o-historii.pl.

Olkuśnik Ewa, *Bronia, która ogarniała rzeczywistość. Barwne życie Bronisławy Dłuskiej*, https://www.historiaposzukaj.pl/wiedza,osoby,992,osoba_bronislawa_dluska.html.

Pilsztynowa z Rusieckich Regina Salomea, *Proceder podróży i życia mego awantur*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957.

Pluta Michał, *Osiemnastowieczne metody leczenia nieprofesjonalnego w pamiętniku Reginy Salomei z Rusieckich Pilsztynowej* [w:] *Medycyna nowożytna: studia nad historią medycyny. 1231–1960*, 2003, t. 10, z. 1/2.

Prawidła o examinach urzędników medycznych, art. VII § 1, *O examinach bab położniczych*, art. VII § 2, Sankt Petersburg 1810, Biblioteka Uniwersytetu Wileńskiego F2-KC 396.

Sopek Mieczysław, *Lekarze białostoccy. Irena Białówna*, „Medyk Białostocki”, 2012, nr 108, s. 22–23.

Ślubowski Michał, *Pierwsza linia obrony. Chirurdzy, czyli rzemieślnicy od brudnej roboty*, https://atlastrojmiejskichosobliwosci.pl/chirurdzy/.

Teczka Ireny Białówny, Fundacja Archiwum Pomorskie Armii Krajowej, https://kpbc.ukw.edu.pl/Content/197764/Bialowna_1610_WSK.pdf.

Urbanik-Kopeć Alicja, *Nonsens i lekarz bastard. Anna Tomaszewicz-Dobrska (1854–1918)*, http://ihnpan.pl/wp-content/uploads/2021/01/2020-1-A.-Urbanik-Kopec.pdf.

Wajs-Baryła Ewelina, *Bronisława Dłuska – doktor wszech nauk medycznych*, Piękniejsza Strona Nauki, Warszawa 2018.

Wajs-Baryła Ewelina, *Bronisława Dłuska i jej badania nad karmieniem piersią*, http://piekniejszastronanauki.pl/bronislawa-dluska-i-jej-badania-nad-karmieniem-piersia/.

Wierni powołaniu, praca zbiorowa na 30-lecie Szpitala Psychiatrycznego w Choroszczy 1930–2020, Choroszcz 2020.

Wierzchowska Weronika, *Pani Doktor*, czyta Ada Fijał, Storytell Original, 2017.

Walewska Cecylia, *W walce o równe prawa. Nasze bojownice*, „Kobieta Współczesna", Warszawa 1930, https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/walewska-w-walce-o-rowne-prawa-nasze-bojownice.html.

Zieleniewska Monika, *„Precz z Polski z dziwolągiem kobiety-lekarza!" Mówił słynny chirurg o dr Annie Tomaszewicz-Dobrskiej*, https://www.medonet.pl/zdrowie,pierwsza-polka-z-dyplomem-lekarza-medycyny---dr-anna-tomaszewicz-dobrska,artykul,41500738.html.

Żmijewska Monika, *Doktor Judym w spódnicy*, https://wyborcza.pl/AkcjeSpecjalne/7,155762,23177880,akademia-opowiesci-doktor-judym-w-spodnicy-zapisany-zlotymi.html.

Sięgnij po więcej!

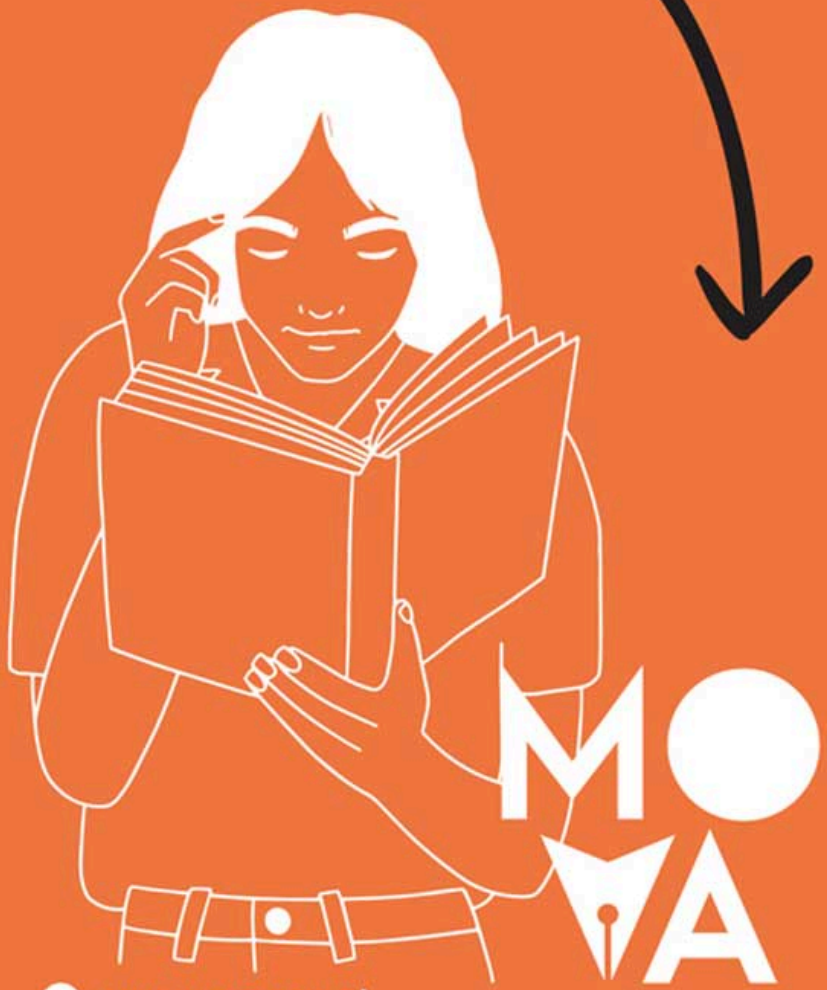

MOVA

www.mova.com.pl

facebook.com/wydawnictwo.mova

instagram.com/wydawnictwomova

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczynie: Agnieszka Fiedorowicz, Małgorzata Święcicka
Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © neirfy / Stock.Adobe.com

Copyright © 2021 by Katarzyna Droga

Copyright © 2021, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-67069-21-2

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/wydawnictwo.mova

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik